Romans historyczny

TESSA DARE

Ich gwiazdy

Przekład
Katarzyna Przybyś-Preiskorn

AMBER

Korekta
Hanna Lisińska
Magdalena Stachowicz
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Daria_Cherry/Shutterstock

Tytuł oryginału
The Governess Game

Copyright © 2018 by Eve Ortega.
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6919-1

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla moich dzieci. Zdaje się, że dla tej serii powstała pewna reguła – dedykuję kolejne książki osobom, które nigdy ich nie przeczytają, a przynajmniej taką mam nadzieję. Moja córka była genialną konsultantką w kwestii charakterków Rosamund i Daisy, a mój mądry synek przekonał mnie, że niektóre dzieci najlepiej się uczą w niekonwencjonalny sposób. Dzieciaki, bardzo Was kocham. Obiecuję, że z całej książki każę Wam przeczytać tylko tę dedykację i nic więcej.

(Bonus: Właśnie zawstydziłam Was przed mnóstwem obcych ludzi. Czyli kolejne mamuśkowe osiągnięcie!)

Prolog

Alexandra Mountbatten miała zdrowy rozsądek. A przynajmniej tak uważały jej przyjaciółki.

W rzeczywistości Alex była go kompletnie pozbawiona, gdy chodziło o szarmanckich dżentelmenów o przekornym spojrzeniu zielonych oczu. Bo gdyby miała go choć odrobinę, nie zrobiłaby z siebie takiej idiotki przed Donżuanem z Księgarni.

Nawet teraz, gdy minęło ponad pół roku od ich spotkania, wciąż przypominała sobie tę żenującą scenę i w myśli przeżywała wszystko, co się wydarzyło, jakby patrzyła na teatralną sztukę.

Miejsce akcji: księgarnia Hatcharda.

Czas akcji: środowe popołudnie w listopadzie.

Osoby: Naturalnie, sama Alexandra. Do tego trzy jej najbliższe przyjaciółki: Nicola Teague, lady Penelope Campion i Emma Pembrooke, księżna Ashbury. Oraz, po raz pierwszy na scenie, znany gwiazdor (tu głośne fanfary) – Donżuan z Księgarni.

A oto, jak się to odbyło:

Alexandra trzymała w jednej ręce stos książek wybranych przez Nicolę, a w drugiej – czytany właśnie skarb, który wypatrzyła – egzemplarz *Katalogu gromad gwiazd i mgławic* Messiera wyszukany na półce z używanymi książkami. To była prawdziwa perełka. Na nowy *Katalog* nie było jej stać, więc od lat polowała na egzemplarz z drugiej ręki.

W jednej chwili trzymała w dłoni bezcenny tom i niebotycznie szczęśliwa przeglądała opisy mgławic, a w następnej…

Bang. Kolizja na kosmiczną skalę.

Przyczyna do dziś pozostaje niejasna. Może cofnęła się o krok, może nieopatrznie się odwróciła. Nieważne. Niezależnie od tego, kto kogo trącił łokciem, prawa fizyki zażądały, by reakcja była równa akcji. Potem wystarczyła już tylko grawitacja. Wszystkie książki znalazły się na podłodze. Kiedy przestała się na nie gapić i podniosła wzrok – stał przed nią On.

Zmierzwione kasztanowe włosy, modny strój, woda kolońska, która pachniała jak grzech w szklanej fiolce, i uśmiech, który bez wątpienia doskonalił od dziecka, żeby zawsze dostawać od kobiet, co tylko zechce.

Z miłym uśmiechem pozbierał książki. Ona nie była w stanie.

Spytał, jak się nazywa. Wydukała coś niewyraźnie.

Potem poprosił, by mu poleciła książkę dla dwóch małych dziewczynek. Bąknęła coś bez ładu i składu.

Przysunął się tak blisko, że odetchnęła aromatem wody kolońskiej – żywicznej, ziemskiej i męskiej ponad wszelkie wyobrażenie. O mało nie padła zemdlona na półkę ze starodrukami.

Wtedy rzucił jej ciepłe spojrzenie zielonych oczu – naprawdę na nią spojrzał. Mało kto się na to odważał, bo takie spojrzenie sprawia, że ludzie otwierają się na innych. Akcja równa się reakcji.

Sprawił, że poczuła się jedyną kobietą w księgarni. A może nawet na całym świecie. Albo raczej we wszechświecie.

Ta chwila trwała w nieskończoność… a zarazem skończyła się aż nazbyt szybko.

Potem skłonił się zamaszyście, pożegnał i odszedł z katalogiem Messiera w dłoni, pozostawiając Alexandrę z tomikiem nudnych opowiadań dla grzecznych dziewczynek.

Koniec bajki.

A przynajmniej powinien to być koniec.

Alex próbowała zetrzeć ją z tablicy swego umysłu, ale Penny – ta nieuleczalna romantyczka – nie pozwoliła jej na to. Ponieważ nieznajomy się nie przedstawił, nadawała mu coraz zabawniejsze przezwiska. Z początku był tylko Donżuanem z Księgarni, ale w miarę upływu tygodni błyskawicznie wspinał się po szczeblach drabiny społecznej. Wkrótce został Sir Molem Książkowym, potem Lordem Literatury, a w końcu Udzielnym Księciem na Hatchard.

Przestań, powtarzała sobie Alex bez przerwy. Było, minęło. Od dawna o nim nie myślę. A już na pewno on nie myśli o mnie. To była chwila bez znaczenia.

Z tym, że nie do końca. Wspomnienie zakorzeniło się w jakimś idiotycznym zakątku jej pamięci i rozbłysło tęczą oraz romantycznymi iskierkami, aż… stało się czymś znaczącym. Tak krępującym, że nie sposób było się do tego przyznać na głos. Nawet przed Penny, Emmą i Nicolą. Szczerze mówiąc, nawet przed sobą samą.

Rozglądała się za nim zawsze, gdy zachodziła do księgarni Hatcharda. Szczerze mówiąc, nawet w Świątyni Muz i w Bibliotece Minerwy. Wyobrażała sobie, że znowu się zderzą, że usiądą razem przy popołudniowej herbatce, która przedłuży się do kolacji i wtedy on wyzna, że też szukał jej po wszystkich księgarniach. Bo, oczywiście, przez te dwie minuty żenującej, jednostronnej konwersacji zrozumiał, że przez całe życie marzył o takiej speszonej, niezgrabnej dziewczynie z dołów społecznych… tak niskiej, że spokojnie może się zmieścić w kuchennej szafce.

Przez całe życie szukałem kogoś takiego, jak ty.

Wreszcie cię odnalazłem i nigdy nie pozwolę ci odejść.

Alexandro, jesteś mi potrzebna.

Do diabła ze zdrowym rozsądkiem.

Alex zarabiała na życie, regulując zegary w domach bogatych klientów, więc nie miała czasu na marzenia. Dla niej liczyły się cele, nie marzenia, i

ciężko pracowała, by je osiągnąć. Mocno stąpała po ziemi, zaciskała pięści i maszerowała prosto przed siebie.

W żadnym razie – absolutnie w żadnym – nie pozwalała sobie na romantyczne fantazje.

Szkoda, że jej wyobraźnia lekce sobie ważyła takie kategoryczne stwierdzenia. W snach na jawie herbatka we dwoje prowadziła do spacerów po parku, pocałunków pod gwiazdami, a nawet do ślubu. I niech diabli porwą poczucie godności.

Właśnie. Do ślubu.

Alexandro, czy bierzesz sobie za męża tego anonimowego Donżuana z Księgarni który nie potrafi nawet wybrać sensownej książki dla dziewczynek?

Co za absurd.

Po kilku miesiącach walki z tym szaleństwem poddała się w końcu. Przynajmniej miała wreszcie jakiś sekret. Przecież nikt nie musi wiedzieć o tych głupich marzeniach. Najprawdopodobniej nigdy więcej nie spotka Donżuana z Księgarni i już.

Tak jej się przynajmniej wydawało. Do chwili, gdy go spotkała.

1

Ostatnio wszystkie poranki Chase’a zaczynały się tak samo – od tragicznego zejścia z tego świata. Ten także nie był wyjątkiem.

– Umarła.

Przewrócił się na drugi bok i zamrugał. W ciemności zamajaczyła buzia Rosamund.

– Na co tym razem?

– Na tyfus.

– Jak miło.

Podniósł się z trudem i usiadł na sofie. Na moment ogarnął go niesmak, gdy przez budzący się mózg przepłynęły wspomnienia z poprzedniej nocy. Oraz porannej rozpusty. Potarł skronie i uznał, że przy okazji może pożałować całej swojej zmarnowanej młodości. Dzięki temu będzie miał trochę więcej wolnego czasu po południu.

– Moglibyśmy to odłożyć na później – oświadczył. Do czasu, aż ustanie dzwonienie w uszach i wywietrzeje piżmowy aromat francuskich perfum, dodał w myśli.

– W żadnym razie, bo zaraza może się rozprzestrzenić. Tak twierdzi Daisy. Już przygotowuje ciało.

Chase jęknął i uznał, że nie warto się sprzeciwiać. Najlepiej mieć to już za sobą.

Kiedy wspinali się po schodach do pokoju dziecinnego na trzecim piętrze, zapytał swoją dziesięcioletnią podopieczną:

– Nie możesz czegoś z tym zrobić?

– A ty?

– To twoja młodsza siostra.

– A twoja podopieczna.

Skrzywił się i potarł pulsujące skronie.

– Dyscyplina nigdy nie była moją mocną stroną.

– A posłuszeństwo naszą – odpaliła Rosamund.

– Zauważyłem. Tylko nie wyobrażaj sobie, że nie widziałem, jak chowasz do kieszeni tego szylinga ze stolika.

Doszli do szczytu schodów i skręcili w korytarz.

– Słuchaj, musicie z tym skończyć. Dobre szkoły z internatem nie przyjmują drobnych złodziejaszków ani seryjnych morderczyń.

– To nie było morderstwo, tylko tyfus.

– Jasne.

– Wcale nie chcemy iść na pensję.

– Rosamund, czas, żebyś odebrała twardą lekcję życia. – Otworzył drzwi do pokoju dziecinnego. – Nie zawsze układa się tak, jak byśmy chcieli.

Sam wiedział o tym najlepiej. Wcale nie chciał być opiekunem dwóch osieroconych dziewczynek. Ani odziedziczyć tytułu księcia Belvoir. A już na pewno nie miał ochoty uczestniczyć w czwartym pogrzebie w ciągu czterech dni. A jednak to robił.

Daisy odwróciła się ku nim. Jej jasne włosy przykrywała czarna woalka.

– Okażcie szacunek zmarłej.

Gestem poleciła Chase’owi, by się zbliżył. Posłusznie podszedł do niej i pochylił się, by mogła przyszpilić czarną opaskę do rękawa.

– Przykro mi z powodu twojej straty – powiedział, dodając w myśli: Naprawdę mi przykro. Nie masz pojęcia, jak bardzo…

Zajął miejsce u wezgłowia łóżka i spojrzał na zmarłą. Była trupio blada i zawinięta w biały całun. Na powiekach leżały dwa guziki. Dzięki Bogu.

Czuł się dziwnie nieswojo, kiedy napotykał spojrzenie tych otwartych, szklanych, pustych oczu.

Daisy ujęła go za rękę i pochyliła głowę. Odmówiła z nimi *Ojcze nasz*, a potem trąciła go łokciem.

– Panie Reynaud, proszę uprzejmie powiedzieć kilka słów pożegnania.

Chase podniósł wzrok ku sufitowi, niemo prosząc o pomoc z niebios.

– Wszechmogący Ojcze – zaczął smętnie – polecamy ci duszę zgasłej Millicent. Proch z prochu. Trociny z trocin. Była lalką małomówną i niezbyt ruchliwą z natury, zapamiętamy ją wszyscy za uśmiech – można by go określić jako malowany – który nigdy nie schodził z jej twarzy. Wiemy, że zmartwychwstanie z łaski Zbawcy, może nawet już przed lunchem. Niestety – zakończył ledwie słyszalnym szeptem.

– Amen – zaintonowała Daisy i z powagą złożyła lalkę w drewnianym pudle na zabawki, przykrywając je wiekiem.

Rosamund przerwała ciężkie milczenie.

– Chodźmy do kuchni, Daisy. Na śniadanie będą bułki z masłem i dżemem.

– Zjecie tutaj – sprostował. – W waszym pokoju. Guwernantka przyniesie…

– Guwernantka? – Daisy posłała mu słodkie, niewinne spojrzenie. – Przecież na razie nie mamy guwernantki.

Jęknął.

– Nie mów mi tylko, że już zrezygnowała. Przecież dopiero wczoraj zaczęła pracę.

– Pozbyłyśmy się jej w siedemnaście godzin i kwadrans. To nowy rekord – odparła dumnie Rosamund.

Nie do wiary.

Chase podszedł do mapy świata na ścianie i wyciągnął szpilkę z ramy.

– Tutaj. – Wbił ją w pierwszy lepszy, niepodejrzewający nic złego kraj, a potem władczo wskazał go palcem. – Tu wyślę was do szkoły. Dobrej

zabawy na… Malcie – zakończył, zezując na mapę.

Wściekły wyszedł z pokoju i zszedł dwa piętra w dół, a potem jeszcze niżej, do kuchni, stamtąd zaś korytarzem do swojego osobistego azylu. Wszedł, zamknął drzwi i dopiero potem westchnął z irytacją.

Był wykończony, choć teoretycznie prowadził beztroski żywot dżentelmena. Powinien się wykąpać, ogolić, przebrać i wziąć proszek od bólu głowy. Za godzinę miał przyjść Barrow z plikiem dokumentów do przejrzenia i czekami do podpisania. Wieczorem w klubie zapowiada się szampańska zabawa. A on musi teraz szukać kolejnej guwernantki.

Przede wszystkim jednak należy mu się kieliszek czegoś mocniejszego.

Po drodze do barku ominął karciany stolik przykryty ścierką od kurzu i kilka obrazów opartych o ścianę i czekających na powieszenie. Pokój nie był jeszcze urządzony. Na górze miał oczywiście elegancką sypialnię, ale uznał, że potrzebuje schronienia w możliwie jak największej odległości od pokoju dziewczynek. Również dla ich własnego dobra. Wcale nie miał ochoty wiedzieć, co knują te psotnice na wysokości czwartego piętra, a one w żadnym wypadku nie powinny odkryć bezeceństw, którym zamierzał się oddawać na parterze.

Otworzył butelkę wina i napełnił duży kielich. Było trochę za wcześnie na burgunda, ale mniejsza o to. W końcu był w żałobie. Równie dobrze może wychylić kieliszek za nieodżałowaną Millicent.

Był ledwie w połowie, kiedy przerwało mu ciche stukanie do drzwi. Nie do tych, które prowadziły z jego azylu do kuchni, lecz tych wychodzących na boczną ulicę.

Zaklął prosto do kieliszka. To pewnie Colette. Nieźle się zabawili poprzedniej nocy, ale widać ani jego ogólnie znana reputacja, ani bukiet, który jej przesłał na pożegnanie, nie były wystarczająco wymowne. Co oznaczało, że trzeba będzie z nią odbyć „rozmowę na serio”.

To nie twoja wina, kochanie. Tylko moja. Jestem beznadziejny i nigdy się nie zmienię. Zasługujesz na kogoś lepszego.

W sumie to była prawda, choć sztampowa. Chase miał jedną jedyną zasadę, która przyświecała mu we wszystkich relacjach i seksualnych i innych.

Żadnych sentymentów.

To dobry kierunek w życiu i w miłości. I dla jego podopiecznych również. Zaprowadzi je prosto do szkoły z internatem. Lepszy niż obietnice, które zawsze sprawiają ból.

– Proszę wejść – powiedział, nie odwracając się nawet. – Jest otwarte.

Poczuł na szyi zimny podmuch, kiedy drzwi się otworzyły, a potem zamknęły. Jak dotyk palców na szyi.

Wziął drugi kieliszek i nalał jej wina.

– Wróciłaś po więcej, co? Ty nienasycona lisico. Wiedziałem, że nie przypadkiem zostawiłaś wczoraj tę pończochę… – Odwrócił się wreszcie i z łobuzerskim uśmiechem podał jej kieliszek.

Ciekawe. To wcale nie była Colette.

W żadnym razie.

W drzwiach stała drobna, ciemnowłosa, młoda kobieta. W dłoniach ściskała brązową, sfatygowaną torbę. Po jego słowach krew odpłynęła jej z twarzy, a po chwili wróciła, okrywając ją płomiennym rumieńcem.

– Dzień dobry – powiedział życzliwie.

W odpowiedzi głośno przełknęła ślinę.

– Proszę – wyciągnął rękę, podając jej wino. – Niech się pani napije. Zdaje się, że to się pani przyda.

To był on.

Na pewno. Poznałaby go wszędzie. Jego twarz wryła jej się w pamięć. Był niewiarygodnie przystojny. Przekorne zielone oczy, zmierzwione ciemne włosy i ten krzywy uśmieszek, tak uwodzicielski, że mógłby pozbawić kobietę cnoty na odległość.

Alexandra stała zatem stopa w stopę (bo była za niska, żeby stanąć z nim twarzą w twarz) z Donżuanem z Księgarni we własnej osobie.

Niezmiernie atrakcyjnej osobie.

Podwinięte rękawy rozpiętej koszuli, bez fulara… Spuściła wzrok, żeby się na niego nie gapić. Wielki Boże. Nawet stopy miał bose.

– Ja.. ja.. Przepraszam, myślałam, że to wejście dla służby. Już wychodzę.

Pochyliła głowę, by ukryć twarz, i modliła się, żeby jej nie rozpoznał. Jeśli uda jej się od razu wyjść, może jakoś przetrwa to nieoczekiwane spotkanie.

– Nie pomyliła się pani. Do niedawna to rzeczywiście było wejście do służby. Ale przebudowuję tę część domu na moje potrzeby. Chcę tu sobie zrobić coś w rodzaju męskiego azylu.

Rozejrzała się wokół. Bez trudu dostrzegła, jakie są te jego „potrzeby”. Bogato wyposażony barek. Pluszowa leżanka. Fioletowe, aksamitne zasłony. Zamiast dywanu skóra jakiegoś kosmatego zwierzaka. Na ścianie jelenie poroża.

I wspomniana poprzednio pończocha. Udrapowana w rozwidleniu jednego z rogów, jak biała flaga oznaczająca kapitulację.

Weszła do jaskini rozkoszy.

Czuła, jak rumieni się ze wstydu. Na brwiach zaperlił się pot.

– Nie będę panu przeszkadzać. Przyjdę kiedy indziej. – Mocniej zacisnęła dłonie na torbie i ruszyła ku drzwiom, starając się go obejść.

Ale nie pozwolił jej na to. Był za szybki i za wysoki. Za bardzo umięśniony i męski. Przesunął się i zablokował jej drogę ucieczki.

– Proszę mi wierzyć, jestem szczęśliwy, że panią widzę.

A ja byłabym szczęśliwa, gdyby było wręcz przeciwnie.

Alex zasłoniła twarz dłonią i spojrzała z ukosa na jeden z obrazów pod ścianą. Przedstawiał nagą kobietę, zasłoniętą tylko strategicznie przytrzymywanym wachlarzem.

– Zostawiłam tu w zeszłym tygodniu wizytówkę. Chciałam porozmawiać z gospodynią o pracy.

– Oczywiście.

– Może mnie pan do niej skierować?

– Sam rozmawiam z kandydatami do pracy. Przekonałem się, że to oszczędza czas.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. To było bardzo dziwne. Panowie domu rzadko kiedy prowadzili takie rozmowy – a już na pewno nie z osobami, które miały tylko raz w tygodniu przyjść i wyregulować zegary według Greenwich.

– Proszę wybaczyć. Zapomniałem się. – Pochylił głowę w ukłonie. – Chase Reynaud.

Chase Reynaud.

Pan Charles Reynaud.

Pani Alexandra Reynaud.

Przestań, na litość boską.

Odstawił kieliszki i wytarł dłoń o spodnie.

– Mogę panią zatrudnić od zaraz. Niech pani siada i porozmawiamy.

Zamiast siadać, wolałaby zniknąć. Podeszła do okna, jakby mogła schować się za zasłoną. Choć tak naprawdę, jej uwagę przykuł błysk mosiądzu.

Czyżby to był…

Tak. Odsunęła aksamitną zasłonę barwy bakłażana. Krył się za nią obiekt jej marzeń.

Teleskop.

Od dziecka fascynowało ją nocne niebo. Na pokładzie handlowej fregaty raczej nie było szansy na inne rozrywki po zmierzchu. Tak często pożyczała od ojca lunetę, że w końcu kupił jej drugą. Tu, w Londynie, musiała posługiwać się składanym kieszonkowym teleskopem, który kupiła za szesnaście szylingów u optyka. Zabawka dla hobbysty.

Ale to?

To był bez wątpienia najbardziej zdumiewający sprzęt, jakiego miała kiedykolwiek okazję dotykać.

Bez zastanowienia pochyliła się, by zajrzeć w okular. Okazało się, że instrument wycelowano w okno na strychu domu naprzeciwko. Pewnie mieszkała tam jakaś ładna służąca, albo dwie.

Alex odwróciła obiektyw z tego wstydliwego kierunku i skierowała go na skwer pośrodku placu. Wielkie nieba! Mogła przez niego dojrzeć pojedyncze źdźbła żółtozielonych kiełków trawy!

Za jej plecami zabrzęczało szkło. Odskoczyła od teleskopu, trącając obrotowy mechanizm, tak że tubus strącił stojący obok wazon. Na szczęście zdążyła go złapać, zanim upadł na podłogę. Co za pokaz zawodowej zręczności. Ależ tak, chcę polecić swoje usługi jako konserwatora kosztownych, precyzyjnych mechanizmów.

– Przepraszam. Nie dosłyszałem pani nazwiska, panno…

Język miała związany na supeł.

– Mountbatten – wykrztusiła. – Alexandra Mountbatten.

Wtedy spojrzał na nią, przekrzywiając głowę. Naprawdę na nią spojrzał – pytająco i przenikliwie, jak wtedy w księgarni.

Jej serce zamarło w oczekiwaniu.

Oczywiście, że nie spodziewała się wyznania miłości. Ale mógłby przecież zapytać: „Czy my się przypadkiem gdzieś nie spotkaliśmy?” albo: „Widzieliśmy się u Hatcharda, prawda?”.

– Panna Mountbatten. Bardzo mi miło.

Och. W ogóle nie pamiętał tamtego spotkania.

Na całe szczęście. Gdyby ją pamiętał, pewnie zapadłaby mu we wspomnienie jako niezgrabna, jąkająca się miłośniczka książek – a nie jako kobieta godna podziwu. Los jej sprzyjał. Naprawdę. Teraz może już przestać o nim myśleć i marnować czas.

W żadnym razie nie powinna odczuwać rozczarowania. A już na pewno nie żal.

Szkoda tylko, że na pierwszą myśl o tym mężczyźnie opuszczał ją zdrowy rozsądek. Po tym, co powiedział, zrobiło jej się przykro, wprawdzie tylko trochę, ale jednak. Ten dowód własnej głupoty był irytujący i drażnił jej dumę.

Sprzątnął ze stolika lichtarz i dwie puste szklaneczki po brandy. Zgarnął zapomnianą pończochę z jeleniego rogu, przez chwilę szukał odpowiedniego miejsca, gdzie by mógł ją wetknąć, a potem zwinął ją w kłębek i wsadził pod poduszkę.

– Naprawdę powinnam już iść – stwierdziła. – Zdaje się, że panu w czymś przeszkadzam, a ja…

– W niczym mi pani nie przeszkadza. W każdym razie w niczym ważnym. Proszę siadać – powiedział i poklepał oparcie fotela.

Potulnie zajęła na nim miejsce. On opadł na szezlong naprzeciwko. Sądząc po tym, jak miękko wylądował wśród poduszek, siedzisko nieraz uginało się pod ciężarem splecionych ze sobą ciał.

Przeczesał palcami zwichrzone kasztanowe włosy. Jeśli chciał w ten sposób odzyskać powagę, to jego wysiłki spełzły na niczym.

– Trzeba je naprawdę dobrze wyregulować.

Zegary.

Tak jest. Skup się na zegarach. To takie tykające cudeńka z cyferblatami, kółkami zębatymi i cyframi. Dzięki nim zarabiasz na życie.

Alex od lat stukała do kuchennych drzwi niemal wszystkich bogatych rezydencji w Mayfair, obsługując swoich klientów. Nie przyszła tu, żeby przyglądać się jego owłosionej piersi ani zastanawiać się, dlaczego nosi żałobną opaskę. Ani po to, by karcić się w myślach za głupie fantazjowanie, że on zaraz porwie ją w ramiona i wyzna, że kocha ją od miesięcy, cierpi i jest gotów porzucić swoje grzeszne nawyki, bo teraz nareszcie ma jakiś powód, by zacząć żyć.

Zamknęła swoją wyobraźnię na trzy spusty, wyjęła klucz i zrzuciła go z urwiska.

To przecież tylko kolejna rozmowa w sprawie pracy.

Mówił dalej:

– Niewiele wiem o ich przeszłości. Różni moi krewni przekazywali je sobie z rąk do rąk, aż wreszcie na jesieni wylądowały u mnie.

Rodowa spuścizna.

– Muszą być bardzo wartościowe.

– Jak najbardziej – odparł sucho. – Są zupełnie niezwykłe. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co z nimi zrobić. Odziedziczyłem je razem z tytułem.

– Z tytułem? – zdziwiła się.

– Belvoir. – Kiedy nie zareagowała, dodał: – Jestem teraz księciem Belvoir.

Wybuchnęła śmiechem.

Księciem? Penny spuchnie z dumy, że się tego domyśliła.

– Słowo honoru, ja też uważam, że to absurdalne. Szczerze mówiąc, jestem na razie tylko dziedzicem tego tytułu. Od czasu choroby wuja jestem pełnomocnikiem z mocy prawa. Co oznacza same obowiązki i żadnych korzyści. – Z rezygnacją machnął ręką w jej kierunku. – To by było tyle. A teraz niech mnie pani czegoś nauczy.

– Słucham?

– Mógłbym panią zacząć wypytywać o wykształcenie i doświadczenie, ale szkoda na to czasu. Zróbmy zamiast tego demonstrację.

Demonstrację? Ma mu pokazać, jak działa zegar, czy co? A może po prostu chce zobaczyć chronometr. Może trzeba mu wyjaśnić, dlaczego się nie późni, choć pozostałe zegary potrafią opóźniać się nawet kilka minut w ciągu dnia.

– O jaką naukę panu chodzi?

Wzruszył ramionami.

– Proszę wybrać coś, co pani zdaniem mogłoby mi się przydać.

Tego już nie wytrzymała. Ukryła twarz w dłoniach i jęknęła.

Natychmiast pochylił się nad nią.

– Źle się pani czuje? Miejmy nadzieję, że to nie tyfus.

– To z powodu rozczarowania. Spodziewałam się czegoś innego. A nie powinnam.

Uniósł brew.

– A czego konkretnie się pani spodziewała?

– Nie chce pan tego wiedzieć. A ja nie mam ochoty tego mówić.

– Właśnie, że chcę.

– Właśnie że nie. Mówię poważnie.

– Akurat. Takie sprzeciwy tylko pogłębiają męskie zainteresowanie. Niech mi pani wszystko wygarnie.

– Myślałam… myślałam, że jest pan dżentelmenem – wyrzuciła z siebie.

– I nie myliła się pani. Jestem dżentelmenem. A za jakiś czas będę nawet arystokratą.

– Nie o to mi chodziło. Myślałam, że jest pan prawdziwym dżentelmenem – godnym szacunku, troskliwym i honorowym.

– Ach, to. W takim razie rzeczywiście się pani pomyliła.

– Niewątpliwie. Wystarczy na pana spojrzeć.

Przy tych słowach jej wzrok nieświadomie powędrował ku jego szerokim ramionom. Potem skupił się na pogniecionej płóciennej koszuli. I na męskiej piersi, którą odsłaniał rozpięty kołnierzyk. Skóra była gładka, napięta, a pod nią rysowały się mięśnie i…

Koniec z gapieniem się.

– Proszę się tylko rozejrzeć. Kieliszki po winie na stoliku. W powietrzu zapach perfum. Jaki dżentelmen prowadzi rozmowy o pracę w tej… – Rozejrzała się, szukając odpowiedniego słowa. – W tej… jaskini uciech cielesnych?

– Jaskinia uciech cielesnych… – powtórzył z rozbawieniem. – Podoba mi się ta nazwa. Każę ją wygrawerować na tabliczce.

– To znaczy, że pan rozumie, o co chodzi. – Słowa płynęły bez zastanowienia, wartko jak strumień wina z butelki i nie sposób było ich zawrócić. Ani nawet znaleźć korka. – Byłam głupia, bo myślałam, że spotkam tu kogoś innego. Mężczyznę, który nigdy w życiu nie wypuściłby na ulicę kobiety w jednej pończosze. I na dobitkę twierdził, że to jest „bez znaczenia”. Pończochy mają znaczenie, panie Rey-naud. Podobnie jak kobiety, które je noszą.

Znużonym gestem wskazała czarną opaskę na jego ramieniu.

– I to wszystko dzieje się, kiedy jest pan w żałobie.

– Spokojnie, to akurat mogę wytłumaczyć.

– Proszę się nie fatygować. Moja nauka jest i tak wystarczająco okrutna. – Potrząsnęła głową. – I do tego jeszcze teleskop.

– Zaraz, chwileczkę. – Pochylił się ku niej. – Co ma do tego teleskop?

– To jest prawdziwy Dollond – poinformowała go sucho, wskazując instrument ręką. – Achromatyczna czterdziestkaszóstka z potrójnym obiektywem i przysłoną trzy i trzy czwarte cala. Drewniany, polerowany tubus, mosiężny okular. Sześćdziesięciokrotne powiększenie przedmiotów, maksymalne powiększenie ciał niebieskich do stu osiemdziesięciu razy. Większość ludzi może tylko marzyć o posiadaniu takiego skarbu, a pan pozwala mu się tu kurzyć. Od czegoś takiego…. od czegoś takiego może pęknąć serce.

Tak jest. Serce.

W sumie mogła winić tylko samą siebie. Wszystko na to wskazywało. Jego okropny gust w doborze książek. Ten uroczy uśmiech, w którym kryły się obietnice, jakich żaden mężczyzna nie jest w stanie dotrzymać. I te oczy… Była w nich jakaś potężna magia, od której mieszało się w głowie kobietom. A on chodził z tymi oczami po świecie i wpadał na młode

kobiety w księgarniach, zamiast zdobyć się na odrobinę przyzwoitości i przysłonić je choćby rondem kapelusza.

Jedyna pociecha, że natychmiast po jej wyjściu ten lowelas zapomni na zawsze o całej rozmowie. Tak samo jak o poprzedniej.

– Dziękuję, panie Reynaud. Potrzebowałam takiej lekcji prawdziwego życia. – Westchnęła ciężko i spojrzała na ścianę. – Poroża. Serio?

Zapadło milczenie. Po dłuższej chwili cicho gwizdnął przez zęby.

Wstała i sięgnęła po torbę.

– Proszę mnie nie odprowadzać.

– Nic z tego, nie puszczę pani. – Wstał. – Panno Mountbatten, to było genialne.

– Słucham?

– Po prostu fantastyczne. Z wielką chęcią panią zatrudnię.

Chyba źle go oceniła. Wcale nie był Donżuanem z Księgarni, tylko Szaleńcem z Księgarni.

Potem podszedł i zrobił coś jeszcze dziwniejszego. Zajrzał jej w oczy, uśmiechnął się tak, że na jego policzku pojawił się zabójczy dołeczek i powiedział słowa, o jakich – głupia – marzyła przez ten cały, długi czas:

– Jest pani wszystkim, czego szukałem. Za nic nie pozwolę pani odejść.

Och.

Och, Boże…

– Chodźmy więc. Moje podopieczne będą zachwycone swoją nową guwernantką.

2

Guwernantką?

Alexandrze odebrało mowę.

– Zaprowadzę panią na górę. – Z typowo samczą pewnością siebie wyjął jej torbę z zaciśniętych rąk. Ich dłonie spotkały się ze sobą i ten przelotny, ciepły dotyk kompletnie ją oszołomił. Reynaud ruszył w kierunku drugich drzwi. – Tędy, proszę.

Poruszyła odrętwiałymi ramionami, by powróciło do nich życie, i ruszyła za nim. Nie mogła inaczej. Zabrał przecież jej torbę, w której miała chronometr i zeszyt z adresami klientów i terminami wizyt. Jej życie było w jego rękach. Dosłownie.

– Panie Reynaud, ja..

– Nazywają się Rosamund i Daisy. Starsza ma dziesięć lat, młodsza siedem. To siostry.

– Chwileczkę, panie Reynaud. Czy moglibyśmy…

Poprowadził ją przez kuchnię, a potem w górę, schodami na pierwsze piętro, potem korytarzem o ścianach pokrytych tapetami ze szmaragdowego jedwabiu w paski. Pod stopami poczuła sprężystą miękkość dywanu. Dzięki swojej pracy bywała w wielu wspaniałych londyńskich rezydencjach, ale ich luksus nie przestawał jej zachwycać.

Reynaud poprowadził ją na górę głównymi schodami, biorąc po dwa stopnie naraz.

– Mają na nazwisko Fairfax, ale podejrzewam, że jest przybrane. Są nieślubnymi dziećmi jakiegoś mojego dalekiego kuzyna, który uznał, że opieka nad nimi powinna przypaść księciu.

Alexandra z trudem dotrzymywała mu kroku, gdy wspinali się na kolejne piętra, nie przerywała więc jego przemowy.

– Jesienią wyślę je do szkoły – dodał ze znużeniem. – Oczywiście, jeśli zdołam przekupić jakąś dobrą pensję dla panien, żeby je tam przyjęli.

W końcu dotarli do szczytu schodów. Alex złapała go za rękaw.

– Panie Reynaud, obawiam się, że zaszło nieporozumienie. I to poważne.

– Skądże znowu. Świetnie się oboje rozumiemy. Ma pani rację, jestem marną namiastką dżentelmena. Ale nie jestem głupi. Bura, którą od pani dostałem na dole, była genialna. Dziewczynki potrzebują twardej ręki. Dyscypliny. A ja jestem ostatnią osobą, która nauczy ich manier. Za to pani, panno Mountbatten… Jest pani idealną osobą do tej pracy. – Wskazał gestem pokoje na końcu korytarza. – Naturalnie, będzie pani miała własną sypialnię. Pokój dziecinny jest tutaj.

– Chwileczkę.

– Jesteśmy na miejscu. – Otworzył szeroko drzwi.

Umysł Alexandry odmówił przyjęcia do wiadomości sceny, która rozgrywała się w pokoju. Po obu stronach łóżka stały dwie lnianowłose dziewczynki. Łóżko było piękne – ogromne, z malowanymi na złoto słupkami, koronkowym baldachimem w kolorze lawendy i zasłonami tej samej barwy, związanymi różowym sznurem. Takie łoże było marzeniem każdej dziewczynki. Tylko że w pościeli wydarzył się jakiś horror. Białe płótno było obficie splamione czerwienią.

– Przyszliście za późno. – Młodsza dziewczynka odwróciła się do nich. Jej twarzyczka był przerażająco poważna. – Właśnie umarła.

– Do jasnej cholery. – Reynaud westchnął ciężko. – Znowu?

Chase nie wierzył własnym uszom.

Dwa razy w ciągu jednego poranka. To się robi nie do wytrzymania.

Odłożył torbę panny Mountbatten, podszedł do łóżka i przesunął palcem po splamionym prześcieradle. Sądząc z wyglądu, galaretka z czerwonych porzeczek.

– Krwawa biegunka – wyjaśniła Rosamund.

Jasne. Chase zacisnął zęby.

– Od tej pory koniec z galaretkami. Wszystkimi, słyszycie? Żadnych kompotów, konfitur, dżemów i innych przetworów.

– Żadnych galaretek? – spytała smętnie Daisy. – Czemuż to?

– Bo nie zamierzam wygłaszać mowy pogrzebowej dla kolejnej ofiary trądu, z której ran sączy się marmolada! Oto dlaczego. Aha, do tego koniec z purée z groszku. Dyspepsja Millicent do reszty zniszczyła dywan w salonie.

– Ale…

– Żadnego ale. – Wymierzył palec w smętne żałobnice. – Bo zamknę was na klucz w tym pokoju i będę wam dawał tylko suche skórki od chleba.

– Co za średniowiecze – wypaliła Rosamund.

– Przepraszam, ale muszę już iść. – Przerwał im cichy głos panny Mountbatten, która wciąż stała w progu.

A teraz właśnie sięgnęła po swoją torbę i zniknęła w korytarzu.

Niech to szlag.

Podszedł do mapy i wbił znacznik w pierwsze lepsze puste miejsce.

– Możecie już zacząć się pakować.

– W Laponii nie ma pensji dla panien – zauważyła Rosamund.

– Sfinansuję budowę – odpalił, kierując się ku drzwiom. – Mam nadzieję, że lubicie śledzie.

Potem pobiegł za swoją najnowszą – i miejmy nadzieję, że wciąż chętną do pracy – guwernantką.

– Niech pani poczeka. – Biegł po trzy stopnie, a potem przeskoczył przez poręcz, żeby dogonić ją na następnym półpiętrze. – Panno Mountbatten, niech pani zaczeka. – Złapał ją za ramię i przyciągnął.

Stali tuż obok siebie na tych schodach. Ona niska, on wysoki. Sięgała mu głową do mostka. W ten sposób nie dało się rozmawiać, to byłoby komiczne. Puścił ją i zszedł dwa stopnie niżej, żeby móc zaglądać jej w oczy.

Zmierzyła go takim spojrzeniem, że o mało nie poleciał w dół. Jak na taką drobną kobietkę, miała w sobie niezwykłą siłę. Delikatny nosek, oliwkowa cera i węzeł czarnych jak noc włosów. I ciemne, przepastne oczy, których spojrzenie poruszyło nim do głębi. Do tego stopnia, że potrzebował kilku chwil, by dojść do siebie.

– Millicent to lalka Daisy. Mała wykańcza ją przynajmniej raz dziennie, ale… – Psiakrew, pobrudził jej rękaw na czerwono. A ona pewnie nie ma pojęcia, co to za substancja. – To nie było to, o czym pani myśli. To tylko dżem z czerwonej porzeczki. – Pokazał jej swój ubrudzony słodką mazią palec. – Niech pani sama spróbuje.

Zamrugała rzęsami.

– Czy ja dobrze słyszę? Chce pan, żebym oblizała pana palec?

Wytarł rękę o koszulę. Do diabła, wszystko szło nie tak. Jeśli bała się o swoją cnotę, to pewnie ją dodatkowo wystraszył. Każda rozsądna, młoda kobieta poważnie by się zastanawiała, czy przyjąć posadę w domu znanego skandalisty – nawet gdyby jego podopieczne były prawdziwymi aniołeczkami. A podopieczne Chase’a były niepoprawnymi diablicami, chorobliwie zafascynowanymi śmiercią.

Owszem, ta posada miała sporo zalet. Z jednym wyjątkiem.

– Dobrze pani zapłacę – obiecał. – Astronomiczną sumę.

– Zaszła pomyłka. Przyszłam oferować swoje usługi jako zegarmistrzyni. Nie jestem guwernantką. Nie mam ani odpowiedniego wyszkolenia, ani doświadczenia. Poza tym guwernantki zwykle pochodzą z dobrych rodzin, prawda? Tego warunku również nie spełniam.

– Nie obchodzi mnie, czy pani pochodzi z dobrej rodziny, czy ze złej albo kompletnie zwariowanej. Jest pani wykształcona, dobrze wychowana

i… z krwi i kości.

– Jestem pewna, że znajdzie pan inną kandydatkę na tę posadę.

– Owszem, znalazłem. A potem straciłem. Potem znowu znalazłem, straciłem i tak w kółko. Czasem parę razy dziennie.

Nie przedstawiasz tej pracy w zachęcającym świetle, Reynaud.

– Ale pani nie jest taka jak inne kandydatki – dodał pośpiesznie. – Pani jest zupełnie inna.

Naprawdę była inna.

Oto kobieta, która przed chwilą dała mu burę, nie zważając na jego godność. Uważała, że jest niewychowanym, tępym ladaco. Smętną namiastką szlachcica, która na darmo maskuje się świetnie skrojonymi ubraniami. W związku z tym panna Mountbatten nie chciała mieć z nim nic wspólnego. I słusznie.

Natomiast Chase koniecznie chciał być blisko niej.

Pożądanie, jakie w nim wzbierało, nie było fizycznej natury. A raczej nie tylko fizycznej. Była ładna, a on cenił sobie bezpośrednie kobiety, które wiedziały, czego chcą. Ale chodziło mu o coś więcej niż sama atrakcyjność. Chciał zrobić na niej wrażenie, zdobyć jej akceptację.

Sprawiła, że chciał być lepszy. A to potrafią tylko najlepsze guwernantki, nieprawdaż? Koniecznie musiał ją zatrudnić.

– Tylko do końca lata – kusił. – Zapłacę pani roczną pensję za kilka miesięcy pracy.

– Przykro mi. – Minęła go i ruszyła w dół po schodach.

– Dwuletnią. Albo trzyletnią.

– Panie Reynaud…

Chase zatrzymał ją przy drzwiach.

– Powiedzmy to sobie wprost. Te dziewczynki pani potrzebują.

Poczekał, aż na niego spojrzy a potem sięgnął do swego arsenału perswazji.

Przełknął ślinę, co sugerowało męską walkę z zalewającymi go emocjami.

Spojrzał głęboko w jej oczy.

Potem zwierzył jej się gardłowym szeptem:

– Panno Mountbatten. – Och do diabła, czemu by nie pójść na całość? – Alexandro. Ja też cię potrzebuję.

Tak jest. Te słowa działały na każdą kobietę.

Z jednym wyjątkiem.

– Nie sądzę – odparła i przez jej twarz przemknął grymas ironii. – Zaraz pan o mnie zapomni.

A potem zrobiła coś, o czym Chase mógł tylko pomarzyć. Otworzyła drzwi, wymknęła się na ulicę i odeszła, nie oglądając się za siebie.

3

W dwie godziny później stała na nabrzeżu w Billingsgate.

I trzęsła się ze strachu.

Był słoneczny, czerwcowy poranek, ale ona szła jak we mgle. Miała w głowie taki zamęt po wyjściu od pana Reynauda, że dwa razy skręciła w niewłaściwą ulicę, pomyliła doskonale znaną trasę na Most Londyński i spóźniła się na odchodzący w południe dyliżans do Greenwich.

Najrozsądniej byłoby popłynąć promem w dół rzeki. Tylko że na sam widok łódki przeszywał ją dreszcz od stóp do głów.

Nie dam rady. Po prostu nie dam rady.

Tylko czy miała jakiś wybór?

Jeśli zaryzykuje i poczeka na następny dyliżans, most będzie już okropnie zatłoczony wozami i powozami. Nie zdąży przed zmrokiem do domu.

Mogłaby zrezygnować z tej podróży. Tyle że gwarantowała wszystkim klientom cotygodniowe kalibrowanie swojego chronometru w Greenwich. Płacili za to, że ich zegary wskazują dokładny czas, i nie mogła ich zawieść

Zrób to w końcu, skarciła się w duchu. Już najwyższy czas się z tym uporać, mięczaku jeden. Wychowałaś się na statku, czy nie? Twoją kołyską była handlowa fregata.

Fakt. I o mało co nie stała się jej trumną.

Mniejsza o to. Przeżyła i teraz, dziesięć lat później, stała sobie bezpiecznie na nabrzeżu Tamizy. Zapewne przeżyje też krótki rejs promem

do Greenwich.

Na pewno się uda.

Przewoźnik układał pakunki i pomagał pasażerom przy wsiadaniu, ale ona trzymała się z tyłu, czekając do ostatniej chwili.

– Wsiada panienka czy nie?

– Wsiadam. – Wspierając się na jego ramieniu, wsiadła na pokład i przycupnęła między dwiema starszymi kobietami, kurczowo ściskając swoją torbę.

Kiedy pomagier zrzucił cumy z pachołków na nabrzeżu, postanowiła pomyśleć o czymś innym. Teraz, kiedy wiedziała już, że nie warto marzyć o Chasie Reynaudzie, spore zasoby jej umysłu znowu stanęły do dyspozycji. Mogła się zająć czymś innym. Na przykład wymienić wszystkie konstelacje sąsiadujące z Wielką Niedźwiedzicą.

Cholera. Za łatwe. Wyrecytowała całą listę w jednej chwili: Smok, Żyrafa, Ryś, Mały Lew, Warkocz Bereniki, Psy Gończe, Wolarz – i w tym momencie jej koncentracja nagle się rozwiała. Kiedy pierwsze wiosło dotknęło wody, wszystkie myśli się rozpierzchły.

Zacisnęła dłonie w pięści i wbiła paznokcie w skórę, żeby ból odwrócił jej uwagę od tego, co się działo. Bez powodzenia. Czuła tylko kołysanie wody pod kilem. To przerażające uczucie swobodnego unoszenia się na powierzchni, dryfowania bez kontroli.

Nie. Nie zniesie tego dłużej.

Wstała gwałtownie i przepchnęła się do burty. Jeszcze nie oddalili się od nabrzeża. Dzieliła ich od niego prawie stopa.

– Proszę zaczekać – powiedziała do sternika. – Coś sobie właśnie przypomniałam. Muszę wysiąść.

– Za późno, panienko. Może pani przeprawić się za chwilę z powrotem. – Przesunął się, żeby odepchnąć łódź wiosłem od nabrzeża.

– Bardzo pana proszę – błagała łamiącym się głosem. – To pilna sprawa. Koniecznie muszę wysiąść. Ja…

– Siadaj, kobieto – warknął i zaparł się wiosłem o nabrzeże, by się od niego odsunąć.

Alex wpadła w dziką panikę. Wspięła się na reling, balansując na palcach. Pasażerowie zaczęli krzyczeć ze strachu, bo prom niebezpiecznie się przechylił. Sternik złapał ją za skraj sukni, chcąc ją ściągnąć z powrotem na pokład, ale przeraził ją tym jeszcze bardziej.

Szybko oceniła odległość między promem a nabrzeżem. Nie była duża, ale można ją było pokonać tylko skacząc.

I to niezwłocznie.

Dała więc porządnego susa.

Doskonale wyliczyła odległość. I gdyby nie pośliznęła się na skraju pomostu, pewnie wylądowałaby tam, gdzie chciała. Zamiast tego wylądowała z pluskiem w wodzie. Nieświadomie otworzyła usta i napiła się paskudnej wody z Tamizy.

Kiedy się wynurzyła, jeden z portowych robotników złapał ją za ramię, wyciągnął i pomógł stanąć na nogi.

Bezpieczna na pomoście, rozkaszlała się na dobre. Nogi się pod nią ugięły z ulgi.

Dopiero wtedy zorientowała się, że czegoś jej brak. Torby. Z chronometrem. Pewnie zsunęła jej się z ramienia i zatonęła w głębinach.

A wraz z nią jej narzędzie pracy.

Z jej piersi wyrwało się łkanie, jak kropla wody z tkaniny, którą ktoś wyżyma.

Nienasycona woda znowu jej coś zabrała. Była prawdziwym przekleństwem jej życia, jak wieloryb Jonasza. Odbierała jej wszystko, co kochała, ale ją samą wypluwała na brzeg, raz za razem, coraz bardziej samotną i zagubioną.

Cóż, trzeba będzie wziąć się w garść i jeszcze raz zacząć wszystko od nowa.

– No i co? Jak ci się podoba? – Chase rozłożył ramiona i odwrócił się powoli, prezentując swój niedokończony gabinet. – Robię z tego pokoju męski azyl.

Barrow przyglądał się pobojowisku, w które zmienił się pokój gospodyni domu.

– Gdzie są rzeczy pani Greeley?

– Przeniosłem ją do sypialni na drugim piętrze. O wiele lepsze warunki mieszkalne.

– Czy mogę zapytać o przyczyny tych zmian?

Chase nalał im po szklaneczce brandy.

– Do momentu, kiedy Rosamund i Daisy wyjadą do szkół, potrzebuję schronienia.

– Dorosły mężczyzna chowa się przed dwiema dziewczynkami. Trochę śmieszne, prawda?

– Daj spokój, ja się nie znam na dzieciach. Nie ma sensu, żebym się tego uczył. Nie zamierzam płodzić własnych potworków. Nawet gdybym chciał się ożenić, nie znajdę odpowiedniej żony, bo ty już zagarnąłeś najlepszą kobietę w Anglii.

– To prawda.

John Barrow senior był prawnikiem ojca Chase’a i wszyscy oczekiwali, że Chase i John junior będą współpracować w podobny sposób. Powód był powszechnie znany, choć nikt nie mówił o nim głośno: chłopcy byli przyrodnimi braćmi. Ojciec Chase’a zrobił dziecko córce sąsiada – szlachcica, a jego lojalny prawnik zgodził się z nią ożenić i wychować chłopca jak własnego syna.

Tak więc Chase i John dorastali razem, mieli tych samych nauczycieli, wzdychali do tych samych dziewcząt, sprzeczali się o konie i o swoje wybranki. Pomimo różnic w pozycji społecznej, serdecznie przyjaźnili się podczas nauki szkolnej i później, w dorosłym życiu. Chase uważał to za wyjątkowe szczęście. Tym bardziej że teraz, mając tytuł książęcy w

perspektywie, potrzebował zaufanego przyjaciela do pomocy w zarządzaniu majątkiem.

– Jak tam mój chrześniak? – spytał Chase. – Skoro wspomnieliśmy o małych potworach.

– Charles niestety bierze przykład ze swego imiennika.

– Aha. Podbija serca wszystkich pań w okolicy.

– Leni się i czeka, aż ktoś zrobi wszystko za niego.

– Może nie zauważyłeś, ale ciężko pracowałem podczas twojej nieobecności – odparł Chase z urazą. – Rozejrzyj się i zobacz, ile zrobiłem. Ten barek to moje dzieło. Co ty na to? Trzeba go tylko polakierować. A jeśli ci mało, to uprzejmie informuję, że w zeszłym tygodniu przebiłem się przez księgi bankowe z ostatniej dekady, doprowadziłem do siedmiu orgazmów i rozmawiałem o pracy z pięcioma guwernantkami. I, uprzedzając pytanie, żadna z guwernantek nie miała nic wspólnego z tymi orgazmami, choć trzeba przyznać, że paru z nich pewnie by się przydały.

– Pięć kandydatek, a ty nie zatrudniłeś żadnej z nich?

– Zatrudniłem wszystkie, co do jednej. Żadna nie wytrwała dłużej niż dwa dni. Szczerze mówiąc, ostatnia nawet nie przeszła przez próg pokoju dziecinnego. Szkoda. Wiązałem z nią pewne nadzieje. Była inna niż wszystkie.

Jak dotąd, Chase musiał nakłaniać kobiety, żeby wreszcie od niego odeszły. A teraz żałował, że nie udało mu się zatrzymać Alexandry Mountbatten.

Barrow przyjrzał mu się spod oka.

– Zaskoczyłeś mnie.

– Czym?

– Westchnąłeś.

– To wcale nie jest zaskakujące. Przynajmniej ostatnio.

– To było inne westchnienie. Ani znużone, ani zirytowane. Takie, jakbyś czegoś żałował.

Chase odpowiedział podobnym spojrzeniem.

– Nigdy w życiu niczego nie żałowałem. Niczego ani nikogo. – Obciągnął kamizelkę. – A teraz, za pozwoleniem, umówiłem się na dzisiejszy wieczór. Londyńskie kobiety same się nie zadowolą, myślę, że to rozumiesz. To znaczy, w sumie mogłyby. Ale przeważnie są tak uprzejme, że pozwalają mi się tym zająć.

– Kim ona jest? Tym razem?

– Naprawdę cię to obchodzi?

– Nie wiem. A ciebie? – Barrow zmierzył go ostrym spojrzeniem. – Kiedyś będziesz musiał dać sobie z tym spokój.

Chase się zjeżył.

– Jesteś prawnikiem, nie sędzią. Oszczędź mi morałów. Nie składam kobietom żadnych próżnych obietnic.

Właściwie w ogóle im niczego nie obiecywał. Jego kochanki doskonale wiedziały, że mogą od niego dostać tylko jedno – rozkosz – i nic poza tym. Żadnych uczuć, romansów, miłostek.

A już na pewno nie ślub.

Wojna, choroby i popełniony przez niego, niewybaczalny błąd doprowadziły do tego, że Chase w ciągu niespełna trzech lat z czwartego z kolei kandydata do książęcego tytułu stał się jedynym spadkobiercą. Mało kto spodziewał się takiego obrotu rzeczy i mało kto sobie tego życzył, włączając w to samego Chase’a. Ale było oczywiste, że kiedy pęknie cienka nić łącząca jego wuja z życiem, Chase zostanie księciem Belvoir, przyjmując pełną odpowiedzialność za majątki, inwestycje i dzierżawców.

Był tylko jeden obowiązek, którego nie zdecydował się przyjąć.

Nie zamierzał spłodzić dziedzica.

Tytuł księcia Belvoir należał się prawnie Anthony’emu, a Chase nie zamierzał uzurpować dziedzictwa swego kuzyna. On był spróchniałą, pokrzywioną gałęzią rodowego drzewa i chciał ją usunąć, kiedy nadejdzie czas. Obciąć ją raz na zawsze. Niech to będzie jego pokutą.

A ponieważ nie czekało go ani małżeństwo, ani życie rodzinne, to mógł sobie chyba pozwolić na trochę kradzionych rozkoszy? Na odrobinę bliskości. Na słowa szeptane do ucha, na gorąco kobiecego ciała przy swoim. Na zapach, smak i miękkość w chwili rozkoszy.

Na kilka błogosławionych godzin, kiedy mógł zapomnieć o wszystkim.

– Który z nich będzie lepiej wyglądać nad barkiem? – Podniósł dwa obrazy. – Tancerka z wachlarzem, czy kąpiące się nimfy? Mają śliczne, gołe tyłeczki, ale to bezczelne spojrzenie tancerki chyba bardziej przykuwa uwagę.

Barrow pominął pytanie milczeniem.

– Skoro nie udało ci się znaleźć guwernantki, a raczej zatrzymać jej na dobre, to kto zajmuje się dziewczynkami?

– Jedna z pokojówek. Zdaje się, że Hattie.

Ledwie zdążył to powiedzieć, na klatce schodowej rozległy się krzyki i donośny tupot.

W drzwiach stanęła Hattie, rozczochrana i w podartym fartuchu.

– Panie Reynaud, przykro mi, ale muszę zrezygnować z pracy u pana.

Przerwał jej.

– Wystarczy. Dostaniesz odprawę, a rano będzie na ciebie czekał list z referencjami.

Wybiegła, bełkocąc podziękowania.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Chase opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Właśnie diabli wzięli jego plany na wieczór.

– To było westchnienie rozpaczy. Nie wmówisz mi – skomentował Barrow.

Ktoś zadzwonił do frontowych drzwi.

– Sam otworzę. – Chase wstał i ruszył do wejścia. – Nie jestem pewny, czy zostali mi jeszcze jacyś służący.

Otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z panną Alexandrą Mountbatten. Przemoczoną do suchej nitki, z włosami ociekającymi wodą.

Starał się nie patrzeć niżej, ale i tak mu się nie udało. Powiedział sobie, że robi to z troski o jej zdrowie. Naprawdę. Chciał się tylko zatroszczyć o jej dobro. O to szczególne dobro, którym były jej piersi.

Owszem, zobaczył sutki. I co z tego? Każdego dnia sporo czasu schodziło mu na myśleniu o kobiecych sutkach. Te znalazły się po prostu dość blisko i były zmarznięte. Ukryte pod staniczkiem i twarde jak klejnoty. Czerwone jak rubiny. A może jak różowe topazy? Albo blade ametysty? Nie. Przy takiej karnacji najpewniej przypominały polerowane bursztyny o głębokiej barwie.

Zaszczękała zębami, więc przeniósł uwagę na jej postać. Boże wielki, miała rację, naprawdę był okropny. Albo jeszcze gorszy.

Zagryzła zębami niebieską z zimna dolną wargę.

– Czy ta posada jest jeszcze do wzięcia?

Nie zawahał się ani na chwilę.

– Proszę podać cenę.

– Dziesięć funtów tygodniowo. I sto, kiedy pójdą do szkoły.

– Pięć tygodniowo – odparował. – I dwieście, kiedy pójdą do szkoły.

– Jeszcze jedno. – Spojrzała mu w oczy spod wilgotnych rzęs. – Chcę móc korzystać z pana teleskopu. Tego na dole w pańskiej…

Skrzyżował ramiona i oparł się o drzwi.

– Jaskini uciech cielesnych?

– Właśnie.

Chase pomyślał, że i tak zatrudnia ją za kosmiczne pieniądze. Poza tym teleskop nie był mu do niczego potrzebny.

– Oczywiście.

Pociągnęła nosem.

– Stawię się do pracy jutro rano.

Ujął ją za ramię, gdy odwróciła się, by odejść.

– Dobry Boże, niech pani przynajmniej wejdzie i trochę się ogrzeje.

Sam cię ogrzeję…

Przegonił tę swawolną myśl jak rozbrykanego szczeniaka. Była teraz jego pracownicą, więc koniec z takimi pomysłami. Nawet on miał dość przyzwoitości, by tego od siebie wymagać.

– Dziękuję, ale nie. Muszę spakować rzeczy.

Odeszła, zostawiając na posadzce mokre ślady. Chase rozejrzał się w poszukiwaniu parasolki, ale nic nie znalazł. Płaszcza też nie było co szukać. Nie w połowie czerwca.

Zaklął, wyskoczył na dwór z pustymi rękami i pobiegł jej śladem.

– Panno Mountbatten!

Zatrzymała się i odwróciła ku niemu.

– Słucham?

– Nie może pani tak iść.

Ściągnął z ramion surdut.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Owszem, może pani.

Zarzucił jej surdut na ramiona i owinął ją ciasno połami. Była taka drobniutka, że sięgały jej prawie do kolan. Wyglądała na poły zabawnie, na poły żałośnie.

– Ale…

Obciągnął klapy surduta, zbliżając je do siebie.

– Dobrze, dobrze. Wiem, że lubi pani rządzić. I bardzo dobrze, bo jest pani guwernantką. A ja jestem pani szefem, choć dopiero od dwóch minut. I ponieważ pani płacę, oczekuję, że będzie się mnie pani słuchać. – Zapinając guziki, mówił dalej. – Zważywszy, jak pośpiesznie zrezygnowała pani dziś rano z mojej oferty, musiało się zdarzyć coś poważnego, skoro zmieniła pani zdanie. Gdybym był porządnym człowiekiem, zapytałbym o przyczynę i zrobił z tym porządek. Ale ponieważ jestem samolubnym łajdakiem, zamierzam bezpardonowo wykorzystać sytuację.

Doskonale. Pozapinał wreszcie te guziki. Odsunął się, żeby się jej przyjrzeć. Wyglądała jak pasztecik z mięsem.

W dodatku mokry.

Mokry, speszony pasztecik z mięsem. A na nim, nie wiedzieć czemu, pasma gładkich, hebanowych włosów. Gdyby wsunął w nie palce, pewnie byłyby jedwabiste w dotyku.

Dość tego. Trzeba wziąć się w garść.

– Potrzebuję guwernantki, ale nie byle jakiej, panno Mountbatten. Potrzebuję pani i nikogo innego. Dlatego nie pozwolę pani wrócić do domu bez płaszcza, bo jeszcze złapie pani grypę.

– Ale wcale nie…

– Nalegam. Zdecydowanie.

Zamrugała.

– Niech i tak będzie.

W końcu go posłuchała. Ruszyła przed siebie i po chwili zniknęła za rogiem.

Po powrocie do domu Chase zorientował się, że coś mu tu nie pasuje. Panna Mountbatten przyszła przemoknięta do nitki, a on przed chwilą wyszedł z nią na dwór i wrócił kompletnie suchy.

Spojrzał w niebo. Dziwne. Żadnych gęstych chmur, tylko pomarańczowe smugi na wieczornym niebie.

Wcale nie padało.

Szczerze mówiąc, jeśli się dobrze zastanowić, od rana nie spadła ani kropla deszczu.

4

W domu Alexandra zdjęła obszerny surdut pana Reynauda i powiesiła go na drzwiach. Pewnie go zniszczyła. Gdy ją nim otulał, tkanina pachniała miętą i drzewem sandałowym. A teraz śmierdziała Tamizą.

Wykąpała się, przebrała w czystą bieliznę i suknię, a potem zeszła do kuchni, wiedziona zapachem świeżo upieczonego ciasta. Dzięki Bogu za takich ludzi jak Nicola!

Usiadła przy stole i oparła głowę na skrzyżowanych ramionach.

– Cześć, Nicola.

Jej przyjaciółka wyciągnęła z piekarnika blachę z herbatnikami. Kuchnię wypełnił słodki, cytrynowy aromat.

– Boże, czy to już cały dzień przeleciał?

– Owszem. W dodatku był zupełnie niesamowity.

Alex uniosła głowę.

– Pamiętasz Donżuana z Księgarni?

– Donżuana z Księgarni? – Nicola zmarszczyła brwi. – To jakiś wiersz albo limeryk? Wiesz, że jestem beznadziejna w rymowankach.

– Nie. To mężczyzna. Spotkałyśmy go u Hatcharda zeszłej jesieni. Trzymałam pod ręką stos książek, a w drugiej swoją, rozłożoną, i spokojnie ją czytałam. Zderzyłam się z nim i upuściłam wszystko na podłogę, a on pomógł mi je pozbierać.

Nicola ułożyła herbatniki na talerzu i postawiła na stole między nimi.

– Wysoki – podpowiedziała Alex. – Ciemne włosy, zielone oczy, elegancko ubrany. Przystojny. Flirciarz. Stwierdziłyśmy wtedy, że to prawdziwy donżuan. – I nie odgadłyśmy nawet połowy… – Penny dokuczała mi potem całymi miesiącami. Chyba nie zapomniałaś.

Nicola usiadła i spytała z namysłem:

– Nie, już pamiętam. Czy kupowałam wtedy coś z historii naturalnej?

– O gotowaniu i rzymskiej architekturze.

– Och. Hm. – Z herbatnikiem w jednej ręce i książką w drugiej Nicola zatonęła we własnych myślach.

Alexandra z rezygnacją sięgnęła po ciastko. To cała Nicola. Pozbywa się niepotrzebnych informacji, jakby wyrzucała balast, bo potrzebuje całego wolnego miejsca w umyśle, by gromadzić kolejne fakty i teorie. I tworzyć nowe hipotezy.

Kiedy Nicola się skupiała, zapominała o wszystkim innym. Nie zwracała uwagi, że mijają godziny albo nawet dni. Gdyby nie zapach przypalonych herbatników dobywający się z piekarnika i zgiełk dwudziestu trzech…

Kuku! Kuku!

Dwudziestu trzech zegarów.

Właśnie zaczęły. Kuranty, dzwonki, świergoty i gongi odezwały się ze wszystkich czasomierzy, które stały, wisiały, a nawet kołysały się we wszystkich zakątkach tego domostwa.

Alexandra nawet nie próbowała narzekać na ich hałas. Dzięki zegarom Nicoli mogła mieszkać przy Bloom Square, w eleganckiej dzielnicy Mayfair. W zamian za ich regulowanie wynajmowała pokoik w domu, który przyjaciółka odziedziczyła po rodzinie. Tylko że kiedy wszystkie w tym samym momencie wybijały godzinę, jazgot był nie do zniesienia. Za to kiedy się rozregulowały, było ciszej, ale hałas trwał dużo dłużej.

Kiedy wreszcie ucichły, Alex odezwała się w nadziei, że przyjaciółka poświęci jej ułamek swojej uwagi:

– Zaproponował mi pracę. Ten Donżuan z Księgarni.

– Donżuan z Księgarni? – Lady Penelope Campion wpadła do kuchni zaczerwieniona, zdyszana, z workiem mąki w jednej ręce. Drugą przyciskała do piersi jakieś zawiniątko. – Czy ktoś tu wspominał o Donżuanie z Księgarni?

Alex cicho jęknęła i znów położyła głowę na stole.

– Och, Alexandro. – Penny upuściła worek, usiadła obok i wzięła ją za rękę. – W końcu się spotkaliście. Wiedziałam, że tak będzie.

– To nie było tak, jak myślisz. Wcale a wcale.

– Opowiedz mi wszystko. Był tak samo przystojny jak u Hatcharda?

– Błagam cię, Penny. Wysłuchaj mnie do końca, zanim zaczniesz wybierać imiona dla naszych dzieci.

– Och! – Penny strzeliła palcami. – O mało nie zapomniałam, po co tu przyszłam. Bixby zepsuł swój wózek. Biegał za gąsiętami i nagle wypadła ośka.

Na dźwięk swojego imienia niewielki terier wychylił głowę spod kocyka. Penny zacmokała do niego czule.

– Ależ z ciebie łobuz. Nie mam pojęcia, co by się działo, gdybyś miał sprawne cztery nogi.

Nicola pochyliła się i wyjęła z worka malutki wózek, który zrobiła dla Bixby’ego, żeby mógł biegać. Odwróciła go do góry nogami i spojrzała na oś.

– To zajmie moment.

– Wspaniale. Alex, mówiłaś, że…

– Powiedziała, że zaproponował jej pracę. – Nicola wyciągnęła narzędzia i zaczęła przeglądać obcęgi i klucze. – To wszystko.

– Oczywiście, że musiał to zrobić – odparła Penny. – Jako pretekst. W ten sposób będą się spotykać raz w tygodniu. Zakochał się po uszy.

Alex położyła ręce na stole.

– Ułóż sobie swoją własną historyjkę, a ja pójdę się przespać.

– Nie, skądże. – Penny dała Bixby’emu herbatnika. – Słucham cię pilnie.

Alexandra nalała sobie filiżankę herbaty i zaczęła opowieść od samego początku. Kiedy skończyła, z ciastek zostały tylko okruszki, a Bixby biegał wokół stołu na swoich kółkach.

– Wybiegł za tobą i oddał ci własny surdut. – Penny westchnęła. – Jakiż z niego romantyk.

– Romantyk? – skrzywiła się Nicola. – Nie słyszałaś, że on trzyma dwie małe dziewczynki na strychu i karmi je suchymi skórkami od chleba?

– Słyszałam – odparowała Penny. – To kolejny powód, by przyjąć tę pracę. Pomyśl tylko, jak bardzo te dwie sierotki potrzebują Alex.

Alex potarła skronie. Zatęskniła za Emmą. Uwielbiała wszystkie trzy przyjaciółki, ale Emma rozumiała ją najlepiej. Była kiedyś krawcową, musiała zarabiać na życie. Niestety, w tej chwili Emma siedziała na wsi z wielkim brzuchem, czekając na rozwiązanie.

Nicola cmoknęła zirytowana.

– Alex, nie mogę uwierzyć, że przyjęłaś tę pracę.

– Nie mogłam jej odrzucić. Zaproponował mi astronomiczne pieniądze. W dwa miesiące zarobię więcej niż przez dwa lata regulowania zegarów. A po tym, co wydarzyło się w porcie, nie mam innego wyboru.

– Oczywiście, że masz wybór. Możesz poprosić przyjaciółki o pomoc – powiedziała Penny. – Zawsze cię chętnie wesprzemy.

– Mogłybyśmy się jakoś złożyć na nowy chronometr. – Nicola podniosła głowę znad metalowych części, w których jeszcze dłubała. – Wiesz przecież, że możesz u mnie mieszkać, jak długo zechcesz.

– Jesteście kochane. Tylko co by się stało, gdybym nie mogła wam potem zwrócić pożyczki? Albo jeśli ty, Nicola, postanowisz wziąć ślub, a twój mąż nie będzie chciał, żeby mieszkała z wami jakaś stara panna?

Nicola zachichotała.

– Ja i ślub? Nie żartuj sobie.

– To wcale nie żarty – sprzeciwiła się Penny. – Całkiem możliwe, że kiedyś jakiś przystojny dżentelmen zakocha się i poprosi cię o rękę.

– Tylko czy ja bym go przyjęła? Oto pytanie.

Alexandra ucieszyła się, że tematem rozmowy stała się Nicola. Podejmowała tak ogromne ryzyko, że nie chciała go nawet rozważać, podobnie jak płatek śniegu, który woli nie myśleć o lecie. Jeśli nie wytrzyma na tej posadzie, zostanie bez środków utrzymania. Poza tym, choć uwielbiała swoje przyjaciółki, marzyła o tym, by zamieszkać u siebie.

We własnym domu.

W zupełności wystarczyłby jej nawet mały wiejski domek, byle na własność. Tęskniła za tym, by wreszcie poczuć pod stopami ziemię, by zanurzyć w niej stopy, jakby zapuszczała korzenie. Koniec z dryfowaniem na falach.

Na to jednak trzeba było pieniędzy. I to dużych. Od dawna przeglądała ogłoszenia w gazetach, sprawdzając wysokość czynszów. Sporządziła budżet, a potem wyliczyła, jaki kapitał musi mieć w banku, żeby żyć z procentów.

Całe czterysta funtów.

Przez trzy lata udało jej się zaoszczędzić pięćdziesiąt siedem.

Teraz miała szansę do jesieni zarobić dwieście pięćdziesiąt. Za takie pieniądze była gotowa czyścić rynsztoki na Shepherd Market w środku lata. Nago.

– Muszę pójść na górę i się spakować. Obiecałam, że jutro rano przyjdę do pracy.

– Uważaj na niego, Alex – poradziła Nicola. – Jeśli naprawdę jest takim lowelasem, jak mówisz.

– Wierz mi, nie mam czego się bać. W ogóle nie jest mną zainteresowany. Nawet nie pamięta naszego spotkania. Wygląda na to, że nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– Przestań. – Penny wzięła ją za rękę. – Nie chcę słuchać takich bzdur. Owszem, zwracają na ciebie uwagę.

Kochana, dobra Penny, z wielkim sercem dla wszystkich zagubionych i chorych stworzeń. Ona z pewnością pamiętała imię i charakter nawet najmniejszej myszki w swoim kredensie. Ale tacy ludzie jak Penny byli rzadkością. Alexandra nieraz przeżywała podobne rozczarowania.

– Nieważne, czy mnie pamięta, czy nie. Będę się zajmować jego podopiecznymi. Jego pewnie nawet nie będę widywać.

– Oczywiście, że będziesz – odparła Penny. – Szczególnie, jeśli zaczniesz chodzić nocami po domu, Zacznij od biblioteki.

– Lepiej zamknij się na klucz w pokoju – sprzeciwiła się Nicola. – Zrobię dla ciebie rygiel z blokadą.

– Przestańcie, jedna i druga. Przyjęłam dobrze płatną posadę na lato. Do wczoraj byłam zegarmistrzynią. Od jutra będę guwernantką. Nie ma w tym nic romantycznego. Ani niebezpiecznego. Praca jak każda inna.

– Nikt nie każe ci być rozsądną przez całe życie – odparła Penny.

Łatwo mówić takie rzeczy, kiedy ma się własny dom i tysiąc funtów rocznie. Penny i Nicola nie musiały się kierować zdrowym rozsądkiem. W odróżnieniu od niej. Nie mogła pozwolić, żeby odpływ porwał ją ze sobą.

Na szczęście nie było na to żadnych szans. Nieważne, że wszystkie kobiety w całym Londynie były u jego stóp. Teraz, gdy poznała jego bezecny charakter, Chase Reynaud kompletnie przestał ją interesować. W ogóle nie był dla niej pokusą.

Jego uśmiech też nie.

Ani jego oczy.

I w żadnym wypadku jego naga pierś.

Ani też głos, ramiona, poczucie humoru, wdzięk i wielkie stopy.

A już na pewno nie ten ciepły, cudownie pachnący surdut.

Och, Alex. Już po tobie.

5

Następnego dnia rano Alexandra zjawiła się w pracy. Tym razem wiedziała już, że należy stukać do frontowych drzwi. Ku jej ogromnej uldze otworzyła gospodyni.

Pani Greeley obejrzała ją od stóp do głów.

– Myślałam, że zajmujesz się nakręcaniem zegarów.

– Tak było – odpowiedziała Alexandra. – Ale teraz zostałam guwernantką.

– Mhm. Nie minie dzień, a znowu zajmiesz się zegarami. – Wskazała gestem schody. – Chodź, zaprowadzę cię do pokoju dziecinnego. Jane przygotuje dla ciebie kwaterę, a Thomas za chwilę zaniesie tam twój kufer.

Alex miała przeczucie, że Jane i Thomas spokojnie poczekają, żeby zobaczyć, czy dotrwa do końca poranka i dopiero potem pofatygują się wykonać jej polecenia.

Weszła do pokoju dziecinnego i o dziwo nie natrafiła na kolejną scenę morderstwa. Dzięki Bogu. Tym razem mogła się więc spokojnie rozejrzeć – a widok ten odebrał jej dech w piersiach.

Pokój był jak z bajki. Pełen delikatnych jak morska pianka koronek i mebelków pomalowanych na ciepły, żółty kolor, z różowymi dodatkami. Wyglądał jak wystawa cukierni. Lamperie były białe, tylko tu i ówdzie wymalowano na nich gałązki bluszczu, które pięły się na błękitną ścianę. Wszędzie było mnóstwo zabawek. Jakieś konie na biegunach, miniaturowe

serwisy do herbaty i marionetki. Parapet okna, które jakoś się zmieściło pod skośnym sufitem, był tapicerowany, a obok stała półka pełna książek.

Zważywszy, że farba była świeża, a meble luksusowe, bez trudu można się było domyślić dwóch rzeczy: po pierwsze, pokój urządzono specjalnie dla tych dwóch dziewczynek; po drugie, nie liczono się przy tym z kosztami.

– To jest Rosamund. – Gospodyni wskazała starszą dziewczynkę.

Rosamund czytała książkę na siedzisku przy oknie. Nawet nie podniosła głowy.

– A to jest Daisy – dodała pani Greeley.

Daisy lekko dygnęła, przyjmując do wiadomości jej obecność. W jej oczach, jasnobłękitnych i okrągłych jak szylingi, malowało się coś niepokojącego. Trzymała w ramionach lalkę, i to dość kosztowną. Drewniana głowa zabawki była pokryta lakierem, policzki pomalowano na różowo, a wargi na czerwono.

Alexandra podeszła do dziewczynki.

– Miło mi cię poznać, Daisy. To jest pewnie Millicent.

Daisy cofnęła się o krok.

– Proszę się nie zbliżać. Ona ma gruźlicę.

– Zapalenie płuc? Przykro mi. Ale z pewnością będziesz ją tak pielęgnować, że szybko wyzdrowieje.

Dziewczynka potrząsnęła głową.

– Umrze do jutra rana.

– Na pewno nie…

– Na pewno tak – włączyła się sucho Rosamund ze swego miejsca przy oknie. – Niech pani lepiej przygotuje kilka słów.

– Jakich kilka słów?

Nie poruszając ustami, Daisy zakasłała sucho i boleśnie.

– Millicent potrzebuje spokoju.

– Tak, oczywiście. Wiesz, jakie jest najlepsze lekarstwo na gruźlicę? Świeże powietrze i słońce. Spacer po parku na pewno dobrze jej zrobi.

– Żadnych spacerów – włączyła się pani Greeley. – Mają się skupić na nauce. Pan Reynaud wyraził się bardzo jasno.

– Och. Rozumiem. W takim razie może znajdzie się inna kuracja dla Millicent. – Zastanowiła się chwilę. – Może herbata z mnóstwem mleka i cukru, a do tego miseczka budyniu? Co o tym myślisz, Daisy? Warto spróbować?

– Żadnego budyniu – wtrąciła pani Greeley.

– Tego też im nie wolno?

– To przez Daisy – wyjaśniła Rosamund. – Uparła się, że Millicent jest chora na grypę, a budyń posłużył za flegmę.

Daisy uciszyła je, przyciskając lalkę do piersi.

– Proszę was. Dajcie jej przeżyć w spokoju tych kilka ostatnich godzin.

– Owszem, dam ci spokój, jeśli ty mi go też dasz – odparła Rosamund. – Więc lepiej nie budź mnie w nocy rzężeniem i kaszlem.

Ponieważ Rosamund włączyła się do rozmowy, Alex postanowiła się do niej odezwać.

– Co czytasz?

– Książkę. – Dziewczynka przewróciła kartkę.

– Powieść?

– Nie, poradnik. *Jak udręczyć guwernantkę – dziesięć prostych sposobów*.

– Pewnie sama napisze drugi tom – mruknęła pod nosem pani Greeley. – W południe kucharka przyśle wam drugie śniadanie.

Gospodyni znikła, zostawiając Alexandrę samą z jej dwiema podopiecznymi. Ogarnęło ją zdenerwowanie.

Spokojnie, napomniała się w duchu. Przecież to tylko dziewczynki. Sieroty, które przekazywano z jednej rodziny do drugiej, z jednego domu do drugiego. Nic dziwnego, że nie okazują zaufania żadnej nowej osobie,

tym bardziej guwernantce. Szczerze mówiąc, to dobrze świadczy o ich rozsądku. Przecież sama była sierotą. Dobrze to rozumiała. Budowa zaufania wymaga czasu.

– Dzisiaj nie będzie lekcji – oświadczyła.

– Nie będzie lekcji? – Pochylona nad książką Rosamund uniosła brew. – To co będziemy robić przez cały dzień?

– Ja zamierzam obejrzeć sobie klasę, potem może napiszę list albo trochę poczytam. Co wy będziecie robić, to wasza sprawa.

– Czyli zamierza pani naciągać naszego opiekuna na pieniądze, a nam dać święty spokój – podsumowała dziewczynka. – Podoba mi się to.

– Wcale nie, ale przed nami całe długie lato nauki. Oczywiście, jeśli chcecie zacząć od dzisiaj, mogę…

Rosamund z powrotem wsadziła nos w książkę.

Alex odetchnęła z ulgą. Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, od czego zacząć. Jeszcze wczoraj wieczorem praca guwernantki nie wydawała się wcale trudna, ale teraz, w tym pokoju, poczuła się zagubiona.

Kiedy dziewczynki zajęły się sobą, rozejrzała się wokół. Część pomieszczenia urządzono jak szkolną klasę, równie troskliwie jak resztę pokoju. Były tam dwie ławki dla dzieci, biurko nauczycielskie i wielka tablica na ścianie. Ktoś wypisał na niej starannie pięć słów:

Litery

Cyfry

Geografia

Maniery

Robótki ręczne

Alex podeszła do wiszącej obok mapy. We wszystkie kontynenty powbijano znaczniki, chyba w przypadkowych miejscach. Malta, Finlandia, Timbuktu, jakaś wysepka na Oceanie Indyjskim i Sahara.

Daisy stanęła obok.

– To są miejsca, gdzie pan Reynaud chce nas wysłać na pensję.

Alex przyjrzała się bliżej.

– Na waszym miejscu bez wahania wybrałabym Maltę. Tam jest ślicznie. Całą wyspę otacza lazurowe morze.

– Była pani na Malcie?

– Byłam wszędzie. Mój ojciec był kapitanem pełnomorskiego statku. – Alex powyjmowała znaczniki i powbijała je w miejsca, gdzie na mapie widniały najważniejsze porty handlowe. – W Makao. Limie. Lizbonie. Bombaju. A urodziłam się tutaj. – Wbiła ostatni znacznik.

– Gdzie to jest?

– Przeczytaj sama.

Daisy rzuciła spłoszone spojrzenie przez ramię, a potem szepnęła:

– Nie umiem.

– Ma-ni-la. – Alex podzieliła słowo na sylaby. – To port na Filipinach.

Siedem lat i jeszcze nie umie czytać. Niesłychane.

– Słuchaj, Daisy. Nie wiem, czy starczy nam ołówków i kredy. Pomożesz mi je policzyć?

– Ja…

– Daisy – przerwała im ostro Rosamund. – Zdaje mi się, że Millicent strasznie kaszle.

Kiedy dziewczynka pobiegła, by zająć się pacjentką, Rosamund zmierzyła Alex twardym spojrzeniem, które wyraźnie mówiło: Zostaw moją siostrę w spokoju.

Alex ogarnęło przygnębienie. Wyzwanie, jakie przed nią stało, i tak było obezwładniające. Nie miała doświadczenia w nauczaniu, jej młodsza podopieczna nawet nie umiała czytać, a pracodawca na pewno nic jej nie pomoże.

Na dobitkę widać było, że największą przeszkodą w tym wszystkim będzie nieufna dziesięciolatka o twardym charakterze.

A więc to tak. Zaczęła się wojna nerwów.

Alexandra musiała ją wygrać, jeśli nie chciała wyjść z tego domu bez grosza przy duszy.

6

Tego wieczoru Chase stanął w progu sypialni guwernantki swoich podopiecznych, tocząc zażartą wojnę z pożądaniem.

Przyszedł tam z zupełnie niewinnego powodu. Chciał sprawdzić, czy się zadomowiła i czy jest jej wygodnie w pokoju.

Zamiast tego po prostu podziwiał jej śliczny, okrągły tyłeczek.

Wcale nie zamierzał się na nią gapić. Przecież nie był jakimś starym, perwersyjnym capem, który podgląda ludzi przez dziurkę od klucza. Drzwi były otwarte, stała tyłem i wcale nie zauważyła jego obecności – pewnie dlatego, że spoglądała przez ten przeklęty teleskop.

Tak czy owak, wystawiła się na jego widok. To był śliczny tyłeczek, okrągły jak brzoskwinia. Zadziwiająco okrągły, jeśli zważyć, że była taka szczupła.

Instynktownie ułożył dłonie tak, jakby miał zaraz doświadczyć jego miękkości.

Chase, ty draniu.

Wyprostował ręce i odchrząknął.

– Panno Mountbatten?

Zaskoczona, wyprostowała się i odwróciła ku niemu jak fryga.

– Panie Reynaud.

– Witam. Jak się pani podoba ten widok?

– Jak mi się podoba…

Przesunęła wzrokiem po jego sylwetce. Wiedział, że wygląda zupełnie inaczej niż podczas ich pierwszego spotkania. Ubrał się przyzwoicie, wykąpał, ogolił, a nawet pozapinał mankiety.

Zająknęła się.

– Ja… eee… – to znaczy, wydaje mi się, że…

– Chodzi o pokój – wyjaśnił. – Podoba się pani?

– Ach, to – odparła z wyraźną ulgą. – Tak. Dziękuję bardzo. Nie spodziewałam się, że będzie taki duży.

– Pani Greeley zwykle daje guwernantkom pokoik obok dziewczynek, ale powiedziałem jej, że pani musi mieć duże okno z widokiem na niebo. Przyślę pokojówkę, żeby pomogła pani rozpakować rzeczy.

– Już je rozpakowałam – odparła z zakłopotaniem. – Mam tylko jeden kufer.

– Och. Rozumiem. – Podszedł do okna i popatrzył na teleskop. – Jest tu miejsce na nieduży podest. Każę zrobić plany werandy i balustrady.

– Jest pan niezwykle życzliwy.

– Skądże znowu. To egoizm z mojej strony. Jeśli będzie pani zadowolona z mieszkania, nieprędko pomyśli pani o odejściu. – Pochylił się i zmrużył oko, zaglądając w teleskop. – Po co go pani potrzebuje? Bardzo jestem ciekaw.

– Nasza współpraca szybko się skończy. Pod koniec lata będę szukać nowej pracy.

– Myślałem, że wróci pani do regulowania zegarów.

Potrząsnęła głową.

– Mam inne plany. Zamiast sprzedawać czas, zacznę sprzedawać komety.

– Sprzedawać komety? – Zaśmiał się lekko. – Koniecznie muszę o tym usłyszeć. Niech mi pani opowie, jak pani będzie je łapać.

– Arystokraci są zwariowani na punkcie komet, ale większość nie ma ani czasu, ani ochoty ich wypatrywać. Będę przeszukiwać niebo i notować

obserwacje, a potem poszukam patrona, który zechce mi zapłacić za moje znaleziska.

– Czyli pani znajdzie kometę, a patron ogłosi, że to jego odkrycie? Przecież to jawna niesprawiedliwość.

– Nie szukam sławy. Kobieta w mojej sytuacji musi myśleć o konkretach.

– Więc chce pani być kosmicznym handlarzem. Jestem pod wrażeniem.

Uśmiechnęła się lekko.

– W pana ustach to brzmi bardzo emocjonująco. W rzeczywistości to nudna praca. Trzeba przeszukiwać niebo, jeden ciemny sektor za drugim, szukając niewielkich smużek.

– Smużek? To brzmi niezwykle naukowo.

– Pokażę panu, jak to się robi, jeśli pan chce.

Podeszła do niego, stając tuż obok we wnęce okiennej i pochyliła się, by ustawić teleskop – umożliwiając mu, gdyby chciał, zapuszczenie żurawia w stanik jej sukni. Odwrócił wzrok, ale za wolno. Przez ułamek sekundy mógł rozkoszować się widokiem dwóch niebiańskich, okrągłych, kobiecych piersi, która na dobre wryły mu się w pamięć.

Aby o tym nie myśleć, rozejrzał się po pokoju – i w pewnym sensie dokonał kolejnego odkrycia.

A więc to był cały jej majątek? Sypialnia była prawie pusta, tylko na toaletce postawiono kilka przyborów do mycia. Na stoliku znalazło się kilka książek, a na wieszakach parę sztuk odzieży. Na ścianie zawisły jakieś wycinki z gazet i czasopism. Do tego mapa gwiezdnych konstelacji, pamiątkowa karta z ilustracją komety Halleya z 1759 roku i kilka mniejszych kartek, które trudno było odczytać z tej odległości. Na jednej z nich udało mu się przeczytać tytuł: „Domek do wynajęcia”.

– Tutaj. Proszę spojrzeć, jeśli pan chce. – Gestem zaprosiła go, by zajrzał w okular.

Pochylił się niezgrabnie, przymknął jedno oko i zajrzał w mosiężny tubus. W nagrodę mógł obejrzeć zamazaną jasną plamkę, która nie zrobiła

na nim szczególnego wrażenia.

– Wygląda na to, że jestem urodzonym astronomem. Mogę stwierdzić z całą pewnością, że jest to smużka na niebie. Oczekuję, że Królewskie Towarzystwo Astronomiczne nagrodzi moje wysiłki medalem.

– To nie jest kometa, podobnie jak większość takich smug. Zanim ogłosi pan swoje odkrycie, będzie musiał pan wykluczyć inne możliwości. Francuz Charles Messier napisał książkę, katalogującą opisy wielu znanych smug, które nie są kometami, dzięki czemu łowcy komet nie muszą się nimi przejmować.

Wzięła ze stołu gruby plik kartek, przejrzała je, a potem pokazała mu odpowiednią stronę.

– Mówiła pani o książce. To nie jest książka.

– Nie stać mnie było na jej zakup – przyznała. – Więc pożyczyłam ją z biblioteki i przepisywałam ręcznie stronę po stronie. Po sprawdzeniu wyników u Messiera trzeba sprawdzić też listę znanych komet. Jeśli pana odkrycia na niej nie będzie, można zgłosić smugę do Królewskiego Obserwatorium, do weryfikacji. Nawet wtedy, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, okaże się, że ktoś już pana uprzedził.

– A te inne smugi? Czym one są?

– To głównie mgławice. Albo gromady gwiazd.

– Obawiam się, że musi mi pani to objaśnić, jeśli mam zrozumieć, o czym pani mówi. Chyba że woli pani opowiadać dalej, a ja będę obserwował płatek pani ucha.

Zarumieniła się.

– Proszę się nie kłopotać.

– To żadna fatyga. – Skrzyżował ramiona i oparł się o framugę.

– Jestem prawdziwym koneserem płatków kobiecych uszu, a pani ma bardzo ładne.

– Nie musi pan udawać zainteresowania, panie Rey-naud. Na pewno jest pan dziś z kimś umówiony, nie chcę więc pana zatrzymywać.

– Nie udaję. Naprawdę uważam, że to fascynująca rozmowa. Chociaż sporo rzeczy mi umyka.

Najbardziej fascynująca była Alexandra Mountbatten, i tu nic nie umykało jego uwadze. Wcale go nie interesowało gapienie się w niebo, ale był zachwycony tym, że mógł patrzeć, jak ona to robi. I to nie tylko ze względu na jej figurę ani płatki uszu.

Pachniała kwiatem pomarańczy. Aromat nie był tak mocny, jakby używała perfum. Pewnie używała kilku kropel olejku do kąpieli. Pozwalała sobie na odrobinę kobiecego luksusu, ale oszczędnie, tak żeby flakonik starczał jej na parę miesięcy.

Na szyi miała wysadzany koralikami krzyżyk na krótkiej, wąskiej satynowej wstążce. I znowu to połączenie piękna i praktyczności. Wstążka bardzo dobrej jakości, ale możliwie jak najkrótsza.

Do diabła, jak cudownie byłoby ją rozpieszczać. Gdyby nie była jego pracownicą, zasypywałby ją prezencikami i luksusowymi drobiazgami. Ulżyłby jej we wszystkich codziennych trudnościach, żeby nic nie stało między nią a niebem.

– Niech pani mówi dalej – poprosił. – Słucham pilnie. Patrzę i notuję wszystko w pamięci.

– Mgławice to chmury gwiezdnego pyłu unoszące się w przestrzeni. Gromady gwiazd to oczywisty termin. Czasem gwiazdy wydają się być tak blisko na niebie, że przez pomyłkę traktuje się je jak jeden obiekt. Ale moja ulubiona smużka to nie mgławica ani gromada. Jest to obiekt Messiera numer czterdzieści. Podwójna gwiazda. Może nawet binarna.

– Naprawdę? – szepnął jej te słowa prosto do ucha.

Pochyliła się nad okularem.

– Binarna gwiazda powstaje, gdy dwie gwiazdy zaczynają się nawzajem przyciągać. Zbliżają się do siebie, a potem żadna z nich nie potrafi się oprzeć wzajemnej sile grawitacji. Zostają razem na zawsze i przez wieczność obracają się tylko wokół siebie, jakby… jakby tańczyły walca. –

Zapisała coś w notesie. – Najciekawsze jest to, że ich środek ciężkości nie znajduje się w żadnej z nich, tylko w pustej przestrzeni pomiędzy.

Zamilkł na chwilę.

– Niech to licho. Miała pani rację, strofując mnie, że marnuję taki wspaniały instrument.

– Cieszę się, że zaczął pan doceniać jego wartość.

– Absolutnie. I pomyśleć tylko, przez ten cały czas mogłem go używać do uwodzenia kobiet. – Spojrzała na niego karcąco, więc dodał: – No co? Sama pani mówiła o gwiazdach tańczących walca. To romantyczne jak diabli.

– Nigdy bym pana nie podejrzewała o romantyzm.

– Wszystko przez pani opowieść o majestacie wszechświata. Po czymś takim mężczyzna czuje się mały i nieważny. W związku z tym chce złapać pierwszą lepszą kobietę, którą ma pod ręką, i udowodnić sobie, że jest inaczej.

Spotkali się wzrokiem i nagle oboje uświadomili sobie oczywisty fakt.

Jedyną kobietą pod ręką była tu Alex.

Tyle że on w żadnym razie nie zamierzał uwodzić guwernantki swoich podopiecznych. Owszem, był rozwiązły. Ale uwodzenie służby nie było rozwiązłością, tylko zwykłą podłością.

– Jak tam dziewczynki? – wydukał, żeby zmniejszyć napięcie. – Udał się pani pierwszy dzień pracy?

– To było wyzwanie.

– Nie wątpię.

– Może mi pan powiedzieć coś więcej o ich zainteresowaniach i wykształceniu? Choć trochę?

– Wykształcenia zaznały bardzo niewiele, ale mimo tego są aż za mądre. Interesują się psotami, chorobami, drobnymi kradzieżami i sprawianiem przeróżnych kłopotów służbie.

Roześmiała się.

– Mówi pan o nich, jakby były zatwardziałymi przestępcami.

– Są na dobrej drodze. Ale pani zrobi z nimi porządek. Wierzę w panią bezgranicznie, panno Mountbatten. – Poklepał ją po ramieniu. – Sam się przekonałem, że potrafi pani nauczyć dyscypliny.

Skrzywiła się.

– Chciałabym za to…

– Jeśli chce pani przeprosić, proszę tego nie robić. Z nawiązką zasłużyłem na tę krytykę, a i tak była za słaba. Chciałbym stwierdzić, że już mnie pani poznała od najgorszej strony, ale to byłaby jawna nieprawda. Chciałbym jednak coś pani powiedzieć.

– Co takiego?

Skupiła na nim całą uwagę – tak intensywnie, że było to aż przerażające. To pewnie normalne, pomyślał. Ta kobieta spędza przecież noce na wpatrywaniu się w ciemność, w nadziei, że kiedyś wypatrzy maleńki jasny punkt. Kiedy wpatrywała się w niego, też miał ochotę, by coś w nim dostrzegła.

Tu jest tylko ciemność, kochanie. Nie marnuj na mnie czasu.

– Jeśli niepokoi panią moja reputacja – powiedział na poły do niej, na poły do siebie – proszę się nie martwić. Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby panią uwieść.

Skinęła głową.

– Dzięki za te zapewnienia, panie Reynaud. Dobrze wiedzieć takie rzeczy.

7

„Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby panią uwieść”.

Powiedział to w doskonałym momencie. Co za umiejętność podcinania skrzydeł Alexandrze i zmieniania ją w brzydkie kaczątko! W jednej chwili słuchał jej gadaniny o kometach, chłonął jej słowa i zachwycał się płatkami uszu, a w następnej wychodził, na pożegnanie przypominając jej, że jest kompletną idiotką.

Nie przepadała za haftowaniem, ale może powinna wyszyć te słowa na makatce i powiesić sobie nad łóżkiem.

„Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby panią uwieść.

Charles Reynaud, 1817”.

Nic dziwnego, że był bożyszczem kobiet. Dosłownie emanował szatańskim urokiem, jakby uosabiał jedną z sił natury. Siła ciążenia, magnetyzm, elektryczność… i męski urok Chase’a Reynauda.

Każdy jego krzywy uśmieszek, każde przekorne słowo sprawiało, że przeszywał ją dreszcz podniecenia. To jeszcze nie było najgorsze. Bo wtedy jej mózg chwytał te wszystkie odczucia, zwijał je w kłębek i układał na półce. Tak jakby rozdygotane kobiece emocje zasługiwały na to, by zajmować miejsce. Jakby dopominały się, by je nazwać.

Alexandra potrafiła je nazwać bez problemu, od razu.

I-D-I-O-T-Y-Z-M.

Usłyszała, jak skrzypią drzwi od ulicy i uległa pokusie, by wyjrzeć przez okno. Stał na chodniku, w tym swoim nieskazitelnie skrojonym fraku.

Obciągnął mankiety i przeczesał dłonią ciemne włosy. Od strony stajni nadjechał elegancki faeton zaprzężony w dobraną parę gniadych koni. Stajenny wyskoczył i oddał mu wodze.

Pojechał, żeby spędzić wieczór w wesołym towarzystwie. A Alex została, wzdychając do niego jak idiotka.

Przygotowała się do snu i zdmuchnęła świecę. A potem długo leżała, nadsłuchując, czy aby już nie wraca elegancki faeton, czy nie zaskrzypią znowu drzwi. A przecież nie powinno ją obchodzić, o której on wraca do domu i czy w ogóle wraca.

Chyba jednak w końcu zasnęła, bo obudziło ją uczucie, że ktoś trąca ją w ramię.

I to raz po raz.

Uchyliła powieki.

– Rosamund? To ty?

– Ona umarła.

Alex obudziła się w jednej chwili.

– Umarła?

– Millicent. Przed chwilą. Na gruźlicę.

Lalka. Chodzi o lalkę.

– Przestraszyłaś mnie. – Alex przyłożyła rękę do piersi. Może jej serce przestanie tak wariacko bić. Za dzień albo dwa.

– Pogrzeb jest już przygotowany. Będziemy na panią czekać w pokoju.

Pogrzeb?

Rosamund zniknęła, zanim Alex zdążyła ją o cokolwiek zapytać. Wstała więc i ubrała się pośpiesznie. Nie najlepiej jej poszło, bo przecież była w nowym miejscu i nie do końca się obudziła. Po dwóch nieudanych próbach uznała, że guziki mogą być nierówno zapięte i że szkoda czasu na szczotkowanie włosów. Trzymając w zębach szpilki, wyszła na korytarz, po drodze układając włosy w kok.

Miała nadzieję, że nie będzie wymagany zbyt formalny strój. Wsunęła w nieporządny koczek drugą szpilkę i weszła do pokoju dziecinnego. Millicent, owinięta w całun, leżała na środku łóżka, wpatrując się nieruchomo w sufit. Dziewczynki stały po obu stronach, Daisy miała na głowie kawałek czarnej koronki, pełniący rolę welonu.

Alex z wielkim trudem powstrzymała się od śmiechu. Choćby dlatego, że wciąż miała w ustach spinki do włosów, które wystrzeliłyby jak pociski.

Upięła do końca włosy, opanowała się i podeszła do łóżka. Szepnęła do Rosamund:

– Co teraz?

– Czekamy na…

W pokoju rozległ się męski głos.

– Co za tragedia. Najszczersze wyrazy współczucia. Okrutna strata.

Pan Reynaud przyłączył się do nich.

Alex posłała mu ostrożne spojrzenie. Miał na sobie ten sam frak, co poprzedniej nocy. Tylko mankiety były porozpinane, a fular gdzieś się zapodział.

Pewnie wisi gdzieś na jakimś porożu.

Podszedł do Daisy i skłonił się głęboko, a potem podsunął jej ramię, żeby mogła na nie wsunąć czarną opaskę.

Przypomniała sobie jego słowa sprzed kilku dni: „Millicent to lalka Daisy. Mała wykańcza ją przynajmniej raz dziennie”.

To dlatego miał na rękawie czarną opaskę, kiedy prowadził z nią tę śmieszną rozmowę o pracę w swoim bynajmniej nie dżentelmeńskim azylu. Wcale nie był w żałobie. W każdym razie nie po śmierci ludzkiej istoty. Może nie powinna go tak ostro oceniać.

Pochylił się i ucałował malowane czoło lalki.

– Niech ją Pan błogosławi. Wygląda, jakby tylko spała. Albo czuwała. Albo jakoś tak…

Kąciki ust Alexandry zadrgały, ale pochyliła głowę, udając żałobny smutek.

– Zaczynajmy – powiedziała Daisy z powagą.

Stanęli w półkolu w nogach łóżka. Rosamund obok Daisy, pan Reynaud po lewej stronie Daisy, czyli obok Alexandry.

Nie chciała myśleć o tym, gdzie był tego wieczoru, ale węch nie pozwolił jej na żadne wątpliwości. Wyraźnie poczuła brandy, drzewo sandałowe i zapach cygar. Nie wyczuła natomiast żadnych kobiecych perfum. Nie wiedzieć czemu, powitała to z ulgą.

Wbiła wzrok w słupek łoża i skupiła się na żałobnej uroczystości.

– Panie Reynaud, czy zechce pan powiedzieć kilka słów? – spytała Daisy.

– Ależ oczywiście. – Złożył dłonie i zaintonował cichym, poważnym głosem: – Ojcze Wszechmogący, zebraliśmy się dziś tutaj, by polecić twojej opiece duszę Millicent Fairfax.

Daisy trąciła go łokciem.

– Millicent Annabelle Chrysanthemum Genevieve Fairfax – poprawił się.

Alexandra zagryzła od wewnątrz policzek. Jakim cudem potrafił zachować przy tym wszystkim powagę?

– Zapamiętamy ją jako uosobienie wierności. Nigdy nie było wierniejszej przyjaciółki niż ona. Ani razu nie opuściła Daisy – z wyjątkiem tych paru przypadków, gdy wypadła z łóżka.

Pomocy. Alex z trudem powstrzymywała śmiech. Wiedziała, że zaraz nie wytrzyma. Nawet gdyby przegryzła sobie język na wylot.

Może uda jej się zamaskować wybuch śmiechu kaszlem. W końcu gruźlica to choroba zakaźna.

– Niech spokój Millicent w obliczu nieuchronnej śmierci będzie przykładem dla nas wszystkich. Jej wzrok zawsze kierował się ku niebu – i to nie tylko dlatego, że nie miała powiek.

Rzuciła mu błagalne spojrzenie, na które odpowiedział szatańskim błyskiem w oku. Specjalnie ją rozśmieszał, ten potwór. Tyle że zanim wybuchnęła śmiechem, ujął jej dłoń i splótł jej palce ze swoimi.

Alex nagle odechciało się śmiać.

Serce się w niej ścisnęło.

Stojąca po drugiej stronie pana Reynauda Daisy mocno ujęła go za rękę. Drugą podała Rosamund. Stali połączeni tymi uściskami, i nagle Alex zrozumiała prawdę. Miała przed sobą trójkę ludzi, którzy rozpaczliwie potrzebowali się nawzajem – może nawet się kochali – ale woleliby chyba zachorować na gruźlicę, niż się do tego przyznać.

Daisy pochyliła okrytą welonem główkę.

– Módlmy się.

Alex z trudem przebrnęła przez *Ojcze nasz*, bo kręciło jej się w głowie. Jego uścisk był taki ciepły i mocny. Czuła ucisk sygnetu na swojej dłoni. Taka intymna chwila… Stali obok siebie, trzymając się za ręce, z pochylonymi głowami, jakby to nie był pogrzeb, tylko…

Tylko ślub.

Och, nie, tylko nie to.

Co się z nią działo? Czy długie miesiące spędzone na głupich mrzonkach niczego jej nie nauczyły? Przecież wszystkie te fantazje prysnęły jak bańki mydlane, kiedy przekonała się, że on całkiem o niej zapomniał. Chase Reynaud nie był mężczyzną jej marzeń. Był szatańskim, nieuleczalnym rozpustnikiem, któremu w dodatku – jeśli wierzyć jego słowom – nawet do głowy nie przyszło, by ją uwieść.

Naprawdę powinna zabrać się za tę makatkę.

– I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego – modliła się z przekonaniem.

Kiedy skończyli modlitwę, Daisy z szacunkiem złożyła zmarłą lalkę do grobu, którym była skrzynia na zabawki.

Nie puszczając jej ręki, pan Reynaud powiedział:

– Tak więc, panno Mountbatten, skoro mamy pochówek za sobą, zostawię panią wraz z jej podopiecznymi. – Lekko ścisnął jej dłoń, zanim ją puścił. – Zabierajcie się do nauki.

8

Nauka musiała poczekać. Zanim zaczną się lekcje, trzeba było podbić serce dziesięcioletniej dziewczynki.

Po śniadaniu zaczęła się Wielka Rebelia Rosamund.

Strategią dziewczynki było milczenie. Zmusiła też Daisy, by przyłączyła się do tej kampanii. Nie odzywały się do Alex ani słowem. W sumie, od zakończenia pogrzebu, w ogóle nie zwracały uwagi na jej obecność. Rosamund czytała książkę, Daisy ekshumowała Millicent. Tak jakby Alex w ogóle nie istniała.

Doskonale. Ona też umiała grać w tę grę.

Następnego dnia nie próbowała nawet zaczynać rozmowy. Zamiast tego przyniosła powieść i paczkę herbatników, bo Nicola właśnie przysłała jej koszyk z przysmakami. Spokojnie zasiadła w bujanym fotelu i zaczęła czytać. Śmiała się z zabawnych fragmentów – gołębie? Co za pomysł! Wydawała ciche okrzyki z emocji i głośno chrupiąc, zajadała się słodyczami. W pewnym momencie miała poczucie, że Daisy przygląda jej się spod ściany. Ale nie odważyła się podnieść głowy i przekonać się, czy rzeczywiście tak było.

Wkrótce stało się to nawykiem. Alex codziennie przynosiła ze sobą książkę. Każdego dnia miała coraz to inne herbatniki Nicoli. Migdałowe, cytrynowe, czekoladowe, toffi. Każdego dnia siadała na fotelu i czytała, a dziewczynki ignorowały jej obecność.

Do dnia, kiedy w pokoju dziecinnym zaczęło śmierdzieć. Przenikliwy odór tłumił nawet zapach świeżych herbatników. W miarę jak robiło się coraz cieplej, zapach gęstniał tak, że zaczęło się od niego robić niedobrze. Dziewczynki nie szukały jego przyczyny, a Alex nie pytała, bo nie chciała dać Rosamund satysfakcji. Zamiast tego przeszukała pokój, kierując się węchem. Źródłem smrodu był oślizły kawałek sera Stilton, ukryty w najniższej szufladzie jej biurka.

Wyglądało na to, że działania wojenne przybrały na sile. Była gotowa sprostać wyzwaniu.

Alex skończyły się zapasy ciasteczek. Przyniosła nowe pudełko akwarelek, barwnych jak klejnoty w skrzyni ze skarbami, i położyła je na podorędziu.

Dziewczynki umazały jej krzesło sadzą.

Alex przyniosła kociaki, które pani Greeley wyrzuciła z piwnicy. Nikt nie potrafi się oprzeć puszystym, miaucz̨ącym kociętom. Daisy też o mało co by im uległa, gdyby Rosamund nie skarciła jej surowymi słowami.

Tego wieczoru w kapciu Alex nie wiadomo skąd pojawiła się zgniła śliwka. Niestety, natrafiła na nią bosą stopą.

Rosamund wyraźnie prowokowała ją do gniewu, krzyku albo poskarżenia się panu Reynaud. Ale Alex nie zamierzała się poddać. Uśmiechała się tylko. Pozwalała dziewczynkom robić to, na co miały ochotę. I czekała.

Wiedziała, że kiedy będą gotowe, by się czegoś nauczyć, same jej o tym powiedzą. Zmuszając je do tego wcześniej, marnowałaby tylko czas.

W końcu jej cierpliwość została nagrodzona. Okazja nadarzyła się sama.

Pewnego wyjątkowo ciepłego popołudnia Rosamund zasnęła z książką na kolanach i głową opartą o futrynę okna. Alex przywołała gestem Daisy i położyła na stole rządek pięknie opakowanych cukierków.

– Ile ich jest? – spytała. – Policz je, to będziesz mogła je sobie wziąć.

Daisy czujnie popatrzyła na siostrę.

– Zasnęła. Nie dowie się o niczym.

Drobny paluszek Daisy niepewnie dotykał każdego cukierka po kolei, kiedy liczyła na głos.

– Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

– A tutaj?

Wargi dziewczynki poruszały się, kiedy liczyła w myśli.

– Sześć.

– Doskonale. To ile będzie ich razem? Pięć i sześć to w sumie…

– Daisy – warknęła Rosamund.

Zaskoczona Daisy schowała rękę za siebie.

– Tak?

– Millicent wymiotuje jak szalona. Zajmij się nią.

Kiedy siostra posłusznie odeszła, Rosamund zbliżyła się do Alexandry.

– Wiem, co pani chce zrobić.

– Jestem o tym przekonana.

– Ale nie wygra pani.

– Nie wygram? Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie będziemy współpracować. Nie wyśle nas do tej szkoły.

Alex zmiękła.

– Dlaczego nie chcecie iść do szkoły?

– Bo szkoła nas nie zechce. Wyrzucili nas już z trzech, wie pani?

– Nie mów, że wolisz zostać tu z panem Reynaud. Bo gdyby nie ja, to na każdy posiłek dostawałybyście same suche tosty.

– Pan Reynaud też nas nie chce. Nikt nas nie potrzebuje. My też nie potrzebujemy nikogo.

Alexandra doskonale rozumiała opór i nieufność w oczach dziewczynki. Kilkanaście lat temu ona też tak spoglądała na świat.

Miała ochotę przytulić małą do siebie. Oczywiście, że jesteś komuś potrzebna. Oczywiście, że ktoś cię kocha. Twojemu opiekunowi bardzo na tobie zależy. Ale to kłamstwo byłoby tchórzostwem, a poza tym Rosamund

by się na nie nie nabrała. Nie potrzebowała fałszywych zapewnień, ale ktoś powinien jej powiedzieć szczerą, niewygodną prawdę.

– Dobrze. – Alex położyła ręce na biurku i spojrzała na drobną postać. – Masz rację. Jedni krewni oddawali cię drugim, wyrzucono cię z trzech szkół, a teraz pan Reynaud chce się ciebie pozbyć przy pierwszej okazji. Nikt cię nie potrzebuje. W związku z tym powinnaś się zdecydować na jedno: czego mianowicie potrzebujesz ty sama?

Rosamund rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie.

– Też jestem sierotą. Byłam wtedy nieco starsza od ciebie, ale zostałam kompletnie sama na świecie z wyjątkiem kilkorga dalekich krewnych, którzy zapłacili za moją naukę – pod warunkiem, że nigdy nie pokażę im się na oczy. To nie było fair. Byłam osamotniona, moje koleżanki znęcały się nade mną i płakałam po nocach, aż zasnęłam ze zmęczenia. Ale z czasem zrozumiałam, że mam nad tymi dziewuchami jedną przewagę. One muszą się martwić, jak złapać męża, żeby pomóc rodzinom. A ja nie mam żadnych zobowiązań, nikogo nie muszę się słuchać i nikt nie będzie mi mówił, jak ma się zachowywać młoda dama. Mam swoje własne życie. Mogę spełnić każde moje marzenie, jeśli tylko postanowię włożyć w to dość pracy. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

Rosamund nie odpowiedziała, ale Alex wiedziała, że słucha uważnie.

– Więc czego chcesz naprawdę? Co byś zrobiła, gdybyś mogła wszystko?

– Chcę uciec. Nie z tego domu. W ogóle z Anglii.

– A dokąd?

– Gdziekolwiek. Wszystko jedno. Zabiorę ze sobą Daisy. Będziemy podróżować, nosić spodnie, palić cygara i robić, co nam się tylko spodoba.

Alexandra miała nadzieję, że usłyszy „chcę być malarką” albo „kucharką wykształconą we Francji”, albo „architektem”. Nieważne, czym. Każde marzenie posłużyłoby jej do ułożenia programu nauki. Ale była pewna, że panu Reynaudowi nie spodobałaby się nauka palenia cygar. Zresztą akurat tego nie potrafiłaby uczyć.

– Brzmi wspaniale – odpowiedziała więc. – Ale skąd weźmiecie na to pieniądze?

– Utrzymam nas bez trudu. – Rosamund rzuciła okiem na stół. – Niech więc pani zabiera tych dziewięć cukierków, i da nam święty spokój.

– Doskonale wiesz, że jest ich jedenaście.

– Na pewno?

Alex sprawdziła. Rzeczywiście, brakowało dwóch. Mała ukradła je sprzed jej nosa, a jeden już był w rączkach Daisy. Alex słyszała szelest papierka.

– Rosamund, mogę ci coś powiedzieć? Trudno ci będzie w to uwierzyć, ale to prawda.

Dziewczynka obojętnie wzruszyła ramionami. Jak dotąd, był to najserdeczniejszy gest, jakim obdarowała Alex.

– Lubię cię – powiedziała Alexandra. – I to bardzo.

9

Alex obudziła się w ciemnościach.

Była kompletnie zdezorientowana, jak we mgle. Usiadła i potrząsnęła głową, żeby oprzytomnieć. Serce biło jej jak młotem. Cała była spocona. Najgorsze, że w żołądku wszystko falowało, jakby znowu była na morzu.

Ogarnęło ją przerażenie, które szybko przerodziło się w panikę. Dzięki ci, naturo, za twój niezwykle pomocny alchemiczny zestaw…

Macała wokół siebie na ślepo, nie natrafiając na nic znajomego. Dotknęła pościeli z miękkiej flaneli. Na pewno nie jej własnej. Stopy natrafiły na drewnianą posadzkę, ale kiedy wstała, deski nie zaskrzypiały znajomo.

Uderzyła kolanem w komodę. Au.

Ból pomógł jej powściągnąć rozbiegane myśli. Uspokój się, Alexandro.

Przycisnęła dłoń do brzucha i w wyobraźni zaczęła zagłębiać się przez wszystkie nieruchome, solidne warstwy pod swoimi stopami. Przez drewnianą podłogę i kamienny fundament. Przez brukowaną londyńską ulicę. Potem głębiej, w tę samą kamienistą, pylistą ziemię, którą Rzymianie nieśli na swoich sandałach, a potem w skały, które dźwigały na sobie miasto jak Atlas.

Widzisz? Wszystko w porządku, tchórzu.

Nie była sama na morzu. Nocowała w rezydencji Rey-nauda. Pracowała tam jako guwernantka.

Kiepsko wykwalifikowania, słabo przygotowana, jak na razie nieodnosząca żadnych sukcesów, ale mimo to guwernantka.

Przełknęła ślinę i poczuła, jak bardzo wyschło jej w ustach. Zatem była również spragnioną guwernantką.

Jej oczy przywykły już do ciemności. Podeszła do toaletki i podniosła dzbanek. Był lekki, a w środku nic nie pluskało. Pusty. Psiakrew. Jutro będzie musiała pamiętać, by przed snem postawić na stoliku szklankę wody. Ale teraz była zdana sama na siebie. Pewnie mogłaby zadzwonić po służącą, ale nigdy nie lubiła niepotrzebnie zawracać głowy służbie. Spojrzała na niewielki, podróżny zegar na toaletce. Piąta rano. Może poczekać jeszcze godzinę do wschodu słońca?

Wyschnięte gardło wyraziło sprzeciw. Nie, nie mogła czekać. Dla większości ludzi wyschnięte gardło było po prostu niewygodą. Tyle, że oni nie zaznali tortury pragnienia, które ją niegdyś dręczyło nieustannie przez wiele dni.

Wsunęła stopy w schodzone kapcie i wyszła na korytarz, a potem cicho zeszła po schodach. Jedną z niewielu korzyści płynących z drobnej postury była umiejętność bezszelestnego chodzenia.

W czajniku na kuchennym piecu zostało trochę chłodnej wody. Wychyliła jeden kubek, potem drugi i trzeci.

Zaspokoiwszy pragnienie, ruszyła z powrotem na górę.

Łup. Łup.

Spojrzała na zamknięte drzwi prywatnego gabinetu pana Reynauda.

Łup. Łup. Łup.

Rytmiczny dźwięk ucichł, a potem odezwał się znowu. Pomimo obaw przyłożyła ucho do drzwi.

Teraz dźwięk bardziej przypominał uderzenia. Coś uparcie łomotało w ścianę. Do tego ktoś od czasu do czasu jęczał.

Nie powinna podsłuchiwać, ale nie potrafiła oderwać się od drzwi. Niepokojące dźwięki fascynowały ją bez reszty.

Nagle wszystko ucichło. Przycisnęła ucho mocniej i wstrzymała oddech, żeby nic nie umknęło jej uwadze. I nagle:

Stuk-stuk-stuk.

Trzask.

A potem głęboki, gardłowy odgłos, trochę warknięcie, a trochę barbarzyński okrzyk.

Przycisnęła rękę do ust. Tak walczyła, by nie wybuchnąć śmiechem, że usłyszała ciężkie kroki, dopiero gdy dotarły tuż pod drzwi. Ktoś nacisnął klamkę.

Nie było czasu na ucieczkę.

Drzwi otworzyły się szeroko.

Odskoczyła, zasłaniając oczy rękami.

– Nic nie widziałam.

– Przysięgam – powtórzyła. – W ogóle nic nie widziałam.

Chase gapił się na guwernantkę. Stała przed nim w samej koszuli nocnej, zasłaniając oczy dłońmi. Blask świecy wydobywał zarysy jej ciała pod płótnem.

– Myślałem, że podsłuchiwanie jest poniżej pani godności, panno Mountbatten.

– Przepraszam – odpowiedziała, nie odsłaniając oczu. – Bardzo pana przepraszam. Słowo daję, zeszłam tylko po to, żeby napić się wody.

– Przyciskanie ucha do drzwi to mało znany sposób zaspokajania pragnienia.

Speszona, opuściła ramiona.

– Wcale nie chciałam tego robić. I nic nie widziałam, słowo honoru. Już idę do siebie na górę. – Zasłoniła oczy jedną ręką, a drugą zaczęła szukać drogi. Komicznie to wyglądało.

– Może mnie pan zakręcić?

– Będziemy się teraz bawić w ciuciubabkę?

– Nie. – Jej szyja poczerwieniała. – Niech mnie pan odwróci w stronę drzwi. W tę stronę, z której przyszłam, a ja od razu pójdę do łóżka.

Chase podszedł do zlewu i poruszył ramieniem pompy. Scena była tak absurdalna, że prawie zapomniał o pulsującym bólu dłoni.

– Nie mogę pani jeszcze odesłać do łóżka. Potrzebuję pani pomocy.

– Pomocy? – Przełknęła ślinę.

– Jedną ręką sobie z tym nie poradzę.

Przestraszona, cofnęła się o krok, prosto w stos miedzianych form na masło, które z hałasem potoczyły się po ziemi. Mimo to wcisnęła się w kąt, wciąż nie opuszczając dłoni.

– Czy… pana gość nie może panu pomóc?

Gość?

– Nie mam żadnych gości.

Odchyliła jeden palec. Spod dłoni błysnęły ciemne rzęsy.

– Myślałam, że ktoś u pana jest – powiedziała.

Spojrzał na drzwi swego gabinetu, a potem z powrotem na nią.

– Skąd ten pomysł?

– Słyszałam… – przełknęła ślinę i dokończyła szeptem – …hałasy. I jęki.

Dobry Boże.

Zaśmiał się.

– Jeśli spodziewała się pani czegoś bardziej pikantnego, muszę panią rozczarować. Przybijałem boazerię. Do ściany. Młotkiem. I gwoździami. Przy tym rozciąłem sobie kciuk. Stąd jęki.

– Och. – Opuściła ręce i zaśmiała się nerwowo. – Dzięki Bogu. Co za ulga. To znaczy, nie mówię o tej ranie. Przykro mi, że pan się skaleczył. Po prostu cieszę się, że nie jest pan…

– Goły jak święty turecki i pokryty potem po ciężkiej pracy?

– Eeee… no właśnie.

Zacisnął zęby. Chętnie przedłużyłby tę zabawną gierkę, ale kciuk bolał go coraz bardziej.

– Kucharka trzyma tam balsam. – Wskazał brodą na najwyższą półkę kredensu. – Może mi go pani podać?

Nie posłuchała, tylko podeszła bliżej i przyjrzała się skaleczeniu.

– Nie może pan tego tak po prostu posmarować i zostawić.

– To niewielka rana.

– Ale głęboka. Trzeba ją porządnie oczyścić.

– Nic mi nie będzie.

– Widziałam, jak takie skaleczenia potrafią się paskudzić. Więksi i silniejsi od pana padali od tego jak muchy.

– To nie pani sprawa – odparł, niezadowolony, że opatrywała rany jakimś większym i silniejszym od niego.

– Owszem, moja. Jeśli pan umrze na gangrenę albo tężec, nie dostanę pieniędzy.

Racja. Podsunął jej rękę, żeby ją opatrzyła.

Starannie oczyściła ranę przegotowaną wodą z czajnika, a potem umyła ją kuchennym mydłem.

Niech to szlag, do diabła ciężkiego. Niech to szlag.

Potem wyciągnęła piersiówkę z kieszeni jego kamizelki.

– Mogę? – Przysunęła ją do jego warg. Kiedy spojrzał pytająco, odpowiedziała: – Przyda się panu. To będzie bolało.

Chase pociągnął łyk. Nie zamierzał przyznawać się do bólu, ale nigdy nie odmawiał dobrej brandy.

Patrzył, jak zalewa ranę bursztynowym płynem, powoli, ale do pełna. Potem ucisnęła jej okolice, żeby wypłynęło więcej krwi, a następnie powtórzyła zabieg.

Starał się zachować nieruchomą, męską twarz i nie okazać bólu.

Wcale w środku… Chryste Panie.

Westchnął z ulgą, kiedy wreszcie zakręciła piersiówkę i odstawiła ją na bok.

Odwróciła się w stronę kuchennych półek.

– A teraz trochę octu.

Jasna cholera.

Skrzywił się, gdy zaczęła nową rundę tortur.

– Jak idą lekcje dziewczynek?

– Powoli. Próbuję zdobyć ich zaufanie, ale ich rany nie goją się łatwo. Kiedy umarli ich rodzice?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Nie wiedziałem nawet, że to sieroty. Chyba raczej dzieci z nieprawego łoża.

– Ale chyba nie… – przerwała swoje dochodzenie.

– Moje? – Wzruszył ramionami. – Kiedy urodziła się Rosamund, jeszcze chodziłem do szkoły. To prawda, że mam naturę uwodziciela, ale aż tak wcześnie nie zaczynałem. Wiem tylko, że ojciec nigdy się do nich nie przyznał, a kobieta, którą nazywały matką, zmarła trzy lata temu. Od tego czasu tułały się po krewnych i szkołach z internatem.

Zacmokała z niesmakiem.

– Żal mi ich, mimo że sprawiają tyle kłopotów.

Mnie powinnaś pożałować, pomyślał.

Mieszkanie pod jednym dachem z tak pociągającą kobietą było nieustającą pokusą. Chase z nią walczył, ale miał mniej więcej tyle samo szans, co mewa, lecąca naprzeciw floty Marynarki Wojennej.

Strategia „co z oczu, to i z serca” okazała się nieskuteczna. W nocy nie spał i myślał o niej. Na górze, sam, w ciemności. Ale poranki były o wiele gorsze. Na litość boską, przecież każdy dzień zaczynał, trzymając ją za rękę. I starał się przy tym ze wszystkich sił, by ją rozśmieszyć. Jeszcze mu się nie udało, ale zaczęła się już niechętnie uśmiechać. Dla tego uśmiechu warto było co rano wejść na czwarte piętro.

Nie dalej jak wczoraj, kiedy Rosamund obudziła go o świcie jednym jedynym słowem: „tasiemce” – radośnie wyskoczył z łóżka.

Oprócz tego płonęło w nim oczywiście pożądanie. Wiedział, że niewinny wygląd nieraz ukrywa ciasno zwiniętą sprężynę, która tylko czeka, by wyrwać się na wolność. Ciemną nocą, kiedy opadnie ta dziewicza koszulka

i warkocz zmieni się w falę czarnych włosów na poduszce, Alexandra Mountbatten może się okazać wielką niespodzianką.

Ledwie to sobie wyobraził, ściągnęła z końcówki warkocza płócienną tasiemkę i rozplotła włosy. Nie był w stanie odwrócić wzroku od czarnego, jedwabistego pasma, które pieściło krzywiznę jej szyi.

Wydęła wargi i dmuchnęła na ranę, by ją osuszyć.

Boże Wszechmogący.

– Są bez wątpienia inteligentne – kontynuowała, owijając jego kciuk tasiemką – ale życie dało im kilka trudnych lekcji. Wystarczy spojrzeć na Millicent, żeby zrozumieć, jak bardzo cierpi Daisy. Już po kilku minutach przebywania z Rosamund widać, jak bardzo ta mała się pilnuje. Nie zrezygnuje z tego tak łatwo. Żeby zdobyć jej zaufanie, trzeba będzie dużo czasu i cierpliwości.

– Ma pani czas do jesieni.

– Oboje mamy go do jesieni. – Zręcznie wsunęła końcówkę pod pasmo improwizowanego bandaża, mocując opatrunek.

– Nie umiem dyscyplinować dzieci. Dlatego zatrudniłem panią.

Spojrzała na niego.

– Może wcale nie trzeba ich dyscyplinować, tylko pokochać.

Pokochać? Zabrał rękę.

– Tylko nie to. Niech pani sobie za dużo nie myśli.

– Boże wielki. Wszystko, tylko nie myślące kobiety.

– Myślenie jest w porządku, pod warunkiem że nie dotyczy tych spraw. Znam to kobiece spojrzenie. Nieraz je widziałem. Chce mnie pani przekonać, żebym się ustatkował.

– Wcale nie musi się pan ustatkować. Mój ojciec był kapitanem. Wychowałam się na pokładzie, żeglowaliśmy po całym świecie. O rodzinnej stałości mogliśmy sobie tyko pomarzyć, a jednak nigdy nie wątpiłam w to, że mnie kocha.

– Chwileczkę. Wychowała się pani na statku? Żeglowaliście po całym świecie?

Podniosła wzrok znad niepotrzebnego plastra i maści, które właśnie chowała.

– Pewnie nie powinnam była o tym wspominać.

– Bardzo dobrze, że pani wspomniała. Szkoda, że dopiero teraz.

– Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? Może i miałam nietypowe dzieciństwo, ale to nie znaczy, że nie potrafię wykonywać moich obowiązków. Zdobyłam pełne wykształcenie. Tu w Anglii, w odpowiedniej szkole. Ostrzegałam pana zresztą, że nie jestem ze szlacheckiej rodziny, ale to panu nie przeszkadzało. Panie Reynaud, ja potrzebuję tej pracy. Proszę, niech mnie pan nie wyrzuca – dodała cichym, pełnym emocji głosem.

– Niech pani nie będzie śmieszna. Do głowy mi to nie przyszło. Nie o to mi chodziło.

– Naprawdę?

– Tak. Powinna mi to pani powiedzieć wprost, bo wszystkim powinna to pani mówić. Gdybym ja miał takie życie, chwaliłbym się tym na prawo i lewo. „Cześć, jestem Chase Reynaud. Nauczyłem się raczkować na statku, a moją kołyską było siedem mórz. Wspominałem już, że żaden tropikalny zachód słońca nie może się równać z pani urodą?” Kobiety same pchałyby mi się do łóżka.

– A bez tego się nie pchają?

– Owszem. Ale może wskakiwałyby jakieś pół minuty szybciej. Na przestrzeni miesięcy i lat uzbierałby się z tego kawał czasu. Posłuchajmy więc dalszego ciągu pani historii.

Odłożyła mydło i ocet.

– Mój ojciec był Amerykaninem. Po rewolucji…

– Rebelii – poprawił.

– …został marynarzem. Z czasem awansował na stanowisko pierwszego oficera. Pewnego dnia rzucili kotwicę w Manili. Byli jednym z pierwszych

statków handlowych na Filipinach, naturalnie poza Hiszpanami. Tak czy owak, tkwili tam parę miesięcy. Wtedy poznał moją matkę. Zakochali się w sobie.

– Była córką hiszpańskich kolonistów, tak?

– Metyską. Mój dziadek był Hiszpanem, ale babka wyspiarką.

Fascynujące. Ta informacja stanowiła rozwiązanie kilku zagadek, które pojawiły się w jego umyśle. Życie na statku handlowym nauczyło ją, że rzeczy mają wartość – poczynając od wstążki na szyi, a kończąc na teleskopach i kometach. Pewnie po matce odziedziczyła to bogactwo kruczoczarnych włosów i delikatny nosek – a ojciec był odpowiedzialny za jej upór i niezależność. Amerykanom po prostu nie sposób rozkazywać.

– Więc, jeśli ojciec był Amerykaninem, a matkę spotkał na Filipinach… jakim cudem znalazła się pani w Anglii?

– To długa historia.

Spojrzał wymownie na zabandażowaną dłoń.

– Dziś w nocy nie będę już więcej pracował.

Umilkła na moment, a potem zaczęła opowiadać:

– Wkrótce po ślubie ojciec odpłynął z powrotem do Bostonu. Obiecał, że wróci, gdy tylko znajdzie wspólnika i razem z nim kupią jakiś statek na własność. Myślał, że zajmie mu to rok, ale potrwało ponad trzy. Kiedy w końcu wrócił, dowiedział się, że moja matka nie żyje. Nie był już żonaty.

– Ale został ojcem.

Skinęła głową.

– Większość mężczyzn zostawiłaby mnie na wychowanie u rodziny matki, ale ojciec nawet nie chciał o tym słuchać. Zabrał mnie na statek i odpłynęliśmy. Przez następnych dziesięć lat naszym domem była „Esperanza”. Nazwał statek imieniem mojej matki. – Uśmiechnęła się. – Tak samo, jak moja matka nazwała mnie jego imieniem. Nazywał się Alexander.

– Okropnie romantyczne.

– Prawda? Jeśli pan uważa, że to cukierkowe, proszę poczekać na ciąg dalszy. Ojciec zatonął w czasie sztormu na pokładzie „Esperanzy”. Można powiedzieć, że zasnął w objęciach swojej ukochanej. I tak znalazłam się w Anglii.

– Zaraz zaraz. Brakuje mi paru rzeczy.

Na przykład tego, kto spowodował, że znalazła się zupełnie sama w obcym kraju. I czy ta osoba jeszcze żyje i można jej solidnie natrzeć uszu.

Zmieniła temat.

– A jak spotkali się pańscy rodzice?

– Zastanówmy się. – Chase zabębnił palcami po stole. – Mój ojciec był drugim z kolei synem. Miał koneksje, ale nie miał pieniędzy. Spotkał młodą dziewczynę z pieniędzmi, ale bez koneksji. Oświadczył się, ona przyjęła, wzięli ślub. W rok później przyszedłem na świat. A potem żyliśmy długo i nieszczęśliwie.

Milczała przez chwilę.

– Moja opowieść bardziej mi się podoba.

– Mnie również. Ale wracając do tematu, moja opowieść jest tylko potwierdzeniem tezy. Nie mam pojęcia, jak powinna funkcjonować rodzina, więc nie mogę być odpowiednim opiekunem dla dzieci. Do diabła, nie trzymam nawet psów. Opiekuńczość nie leży w mojej naturze.

– Jest pan po prostu zbyt męski, żeby się wiązać, prawda? – Spojrzała na niego przekornie. – To pewnie przez te wszystkie poroża.

– Proszę sobie z tego nie żartować – odparł ostrzegawczo. – A skoro już o tym mówimy, nie powinna pani po nocach wędrować po domu znanego libertyna. Może na tym ucierpieć pani reputacja.

– Nie boję się. Sam pan powiedział, że do głowy by panu nie przyszło mnie uwieść.

– Tak, ale czasami człowiek nie myśli – zamruczał.

Pochylił się ku niej, jakby go przyciągała, powtarzając sobie w duchu, że gdyby ją pocałował, to tylko dla jej dobra. Oczywiście, bardzo lekko, Po

prostu musnąłby jej wargi swoimi. To by wcale nie było takie straszne. Może trochę straszne, ale o to właśnie chodziło. Takie podkreślenie wcześniejszego ostrzeżenia. Jak napis, który mówi: „Uważaj. Zawróć. Dalej już tylko smoki”. Właściwie wyświadczyłby jej tym przysługę.

Jasne. Sypiał z weneckimi akrobatkami, które były mniej wykrętne niż jego argumenty.

Położyła dłoń na jego piersi.

– Chwileczkę.

Chwileczkę?

„Chwileczkę” to nie znaczy „stój”.

– Pana może stać, żeby działać bezmyślnie – powiedziała – ale ja muszę wszystko przemyśleć.

– Wszystko przemyśleć? – powtórzył, zaskoczony.

– Kiedy mam podjąć jakąś decyzję, zawsze rozważam plusy i minusy.

– Proszę mi przypomnieć, o jakiej decyzji rozmawiamy?

– Czy mam się zgodzić, żeby pan mnie pocałował.

Patrzył na nią oniemiały.

– O to panu chodziło, prawda? Żeby mnie pocało… – Nagle zbladła, przestraszona. – O mój Boże. Wcale pan o tym nie myślał, prawda? Źle to zrozumiałam.

– Skądże znowu – uspokoił ją. – Właśnie o to mi chodziło.

– Och. – Odetchnęła, a jej policzki z powrotem poróżowiały. – To dobrze.

– Naprawdę?

– Jeszcze nie jestem pewna. Argumentów „przeciw” jest całkiem sporo. – Wyjęła z cukiernicy kilka kostek cukru i zaczęła układać je na blacie. – Jestem pana pracownicą. Pan jest moim pracodawcą, a do tego bezwstydnym libertynem. Igra pan sobie ze mną, to pewne. Mogę stracić pana szacunek. Mogę stracić szacunek do samej siebie. Może pan

pomyśleć, że jestem łatwa i uznać, że pozwolę panu posunąć się dalej… a ja taka nie jestem.

– Z drugiej strony… – Zgarnęła kilka kostek cukru prawą ręką i zaczęła je układać po drugiej stronie. – Gdyby to było tylko raz…

– Zdecydowanie tak.

– Bez żadnych dalszych zobowiązań…

– Nie znoszę zobowiązań. Na samą myśl wszystko mnie swędzi.

– Pewnie ma pan do całowania spory talent, zważywszy pana reputację. Więc chyba mogłabym trafić gorzej.

Zaraz, chwileczkę. Gorzej? Nie, tego już nie można puścić płazem.

Zniżył głos do namiętnego pomruku:

– Kochanie, najprawdopodobniej nie mogłabyś trafić lepiej.

– No właśnie – zgodziła się rzeczowo. – Warto, żeby mój pierwszy pocałunek w życiu był przyjemnym doświadczeniem.

Chase nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Jej pierwszy pocałunek? To chyba jakiś żart. Takie pełne, różane usta są stworzone do całowania.

Zagryzła wargę, jakby wyczuwała, że na nią patrzy.

– Dobry Boże, to przecież może być mój pierwszy i ostatni pocałunek. Trochę mnie to przygnębia, ale nie możemy odrzucić takiej możliwości. Czyli dokładamy kostkę do argumentów ”za”, prawda? Bo wtedy, nawet jeśli umrę w staropanieństwie, to przynajmniej jako całuśnica.

Obserwował, jak dokłada na stosik kolejną kostkę cukru.

– Jeśli pani naprawdę podejmuje w ten sposób decyzje, pewnie doprowadza pani do szału wszystkie ekspedientki.

– Zazwyczaj robię to w myślach – odparła i zaczerwieniła się bardziej.

– W żadnym razie nie chcę pani przerywać. Zależy mi na pozytywnym rozwiązaniu. – Oparł łokieć na stole a podbródek na dłoni i zaczął jej się uważnie przyglądać. Fascynowała go ta jednoosobowa debata. Podobnie jak jej skupiona, śliczna buzia.

Choć rozkochał w sobie i uwiódł tak wiele kobiet, musiał przyznać sam przed sobą, że nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak ona. I wcale nie chodziło o historię jej życia.

Czubkami palców toczyła kostkę cukru po stole. Miał ochotę wziąć te szczupłe paluszki do ust i wyssać z nich słodycz, wsuwając język między nie, zlizując cukier, aż ona zacznie jęczeć, rozpalona zakazaną pieszczotą. Fantazja była tak żywa, że niemal czuł smak na języku.

Dobry Boże.

Wyprostował się, odchrząknął i zabębnił palcami po stole.

– Proszę w takim razie o werdykt. Jestem wolny. To znaczy, będę wolny w przyszły czwartek, jeśli to pani odpowiada.

Nie odwracając wzroku od kostki cukru, uciszyła go gestem.

– Chwileczkę.

Oczywiście, ona się nie zgodzi. Żadna kobieta o jej inteligencji, jeśli dać jej dość czasu do namysłu i pozwolić rozważyć wszystkie argumenty, nie zgodziłaby się na ten pocałunek. Dlatego starał się je oczarować swoim urokiem i pochlebstwami. Dlatego oszałamiał je bogactwem i musującymi winami. Dlatego spędzał z nimi tylko jedną noc – nigdy więcej.

Bo gdyby taka kobieta przyjrzała mu się zbyt blisko i myślała zbyt długo, szybko by się zorientowała, że ma do czynienia z żałosnym, bezwstydnym nieudacznikiem. Alexandra Mountbatten wiedziała o tym wcześniej. Od razu go rozgryzła. Więc na pewno powie „nie”.

Czemu więc wstrzymywał oddech w oczekiwaniu?

Może brandy zawróciła mu w głowie.

A może, mimo wszystko, zastanawiała się, jak by to było, gdyby rozsądna, logicznie myśląca kobieta zobaczyła go takim, jakim jest naprawdę, i stwierdziła, że jest wart ryzyka.

Serce ścisnęło mu się w piersi, krew szumiała mu w uszach – i to wszystko dlatego, że jakaś porządnicka guwernantka zwlekała z odrzuceniem jego względów. Co za absurd. Co za głupota.

Wreszcie postanowiła skończyć z tym napięciem.

– Przemyślałam to sobie i doszłam do wniosku, że nie chcę, żeby pan mnie całował.

Widzicie? Koniec i kropka. Była na tyle mądra, że dostrzegła czarną, zgniłą maź w miejscu, gdzie powinien mieć duszę, i nie miała ochoty się w niej babrać.

Uniosła maleńką, drobną dłoń do jego twarzy. Ale nie po to, żeby wymierzyć mu policzek, na który zasługiwał, tylko pieszczotliwie. Jej wzrok muskał jego rysy jak opadający kwiat jabłoni, aż w końcu spoczął na wargach.

– Myślę… – oblizała wargi – …że lepiej będzie, jeśli to ja pana pocałuję.

I zrobiła to – zanim Chase doszedł do siebie po szoku, jaki wywołały jej słowa.

10

Już w chwili, gdy dotknęła jego warg, zorientowała się, że się srodze przeliczyła. Starannie policzone kostki cukru były jedynie słodkimi kłamstwami. Myślała, że jeśli to ona zainicjuje pocałunek, to zaspokoi ciekawość, ale jednocześnie zapanuje nad sytuacją.

Panowanie nad sytuacją. Ha, ha. Nie da się panować nad czymś, czego się właściwie nie rozumie. To tak, jakby jakiś wiejski szczur lądowy wsiadł na kliper i chciał wyznaczyć kurs według księżyca.

Alexandra nie miała zielonego pojęcia o miłosnej nawigacji.

W związku z tym Chase od razu przejął inicjatywę.

Przywłaszczył sobie jej pocałunek. Muskał jej wargi swoimi lekko i przekornie. Skubnął górną, potem dolną. Nie śpieszył się, jakby to było zadanie matematyczne. Jakby nie mógł się nią nacieszyć. Jakby go zauroczyła.

A potem wsunął język między jej wargi.

Och. Ojej.

Alex była zaskoczona tą inwazją i nawałem emocji, ale nie odważyła się odsunąć.

Wręcz przeciwnie. Odważyła się przybliżyć.

To przecież był jej pierwszy pocałunek. Dobry czy zły, niezdarny czy mistrzowski, będzie go pamiętać przez resztę życia. Co więcej, chciała, żeby on go też zapamiętał. Zapomniał o ich przypadkowym spotkaniu w księgarni, więc tym razem chciała wryć się w jego pamięć. Nieważne, ile

razy całował się przedtem i ile razy będzie to robił później – ten jeden pocałunek ma zapamiętać na całe życie.

Koniec ze skrępowaniem. Koniec z wahaniem. Da mu co najmniej tyle, ile dostała. Może umrze potem ze wstydu, że nie wyszło, ale przynajmniej spróbuje.

Chase pogłębił pocałunek, więc wtuliła się w niego. Przesunęła dłonie po jego piersi do góry, aż objęła go za szyję. Wsunęła palce w krótko przycięte włosy.

Jęknął cicho. Spodobał jej się ten dźwięk, pełen tęsknoty i dziwnie bezradny.

Tylko że zaraz mruknął gardłowo, złapał ją w ramiona i podniósł, przyciskając do siebie. Jej cienka nocna koszula nie stanowiła żadnej przeszkody. Alex ledwie dotykała palcami podłogi. Jego język pulsował mocnym, sugestywnym rytmem. Zaparło jej dech w piersiach. Ich ciała ogarniało coraz większe gorąco, jakby stapiali się ze sobą. Zdrową ręką zagarnął jej ramiona i mocno zacisnął palce na płótnie koszuli.

Zawładnął tym pocałunkiem niepodzielnie.

Może właśnie o to mu chodziło. Żeby namiętność przesłoniła jego osobę. Przytulił ją mocno, żeby zachować dystans. Jakie to dziwne. Ale na razie nie sposób było się nad tym dalej zastanawiać, bo ten pocałunek zupełnie pozbawił ją rozumu.

Pewnie o to mu chodziło.

Nieoczekiwanie postawił ją z powrotem na ziemi. Kiedy odsuwali się od siebie, chciała spuścić oczy i wycofać się ukradkiem. Ale nie pozwoliła sobie na to. Spojrzała mu prosto w oczy. Nie będzie się kryła. Nawet jeśli okaże się, że ta chwila bliskości była dla niego bez znaczenia, ona zapamięta własną odwagę i szczerość. To była kwestia dumy.

Szukała w jego twarzy aprobaty lub pogardy, ale odnalazła tylko zamęt.

Zamrugał oczami.

– Chryste Panie.

Nie miała pojęcia, co chciał przez to powiedzieć.

Może i on tego nie wiedział.

Zdjął jej ręce ze swojej szyi, zasłonił jej z powrotem oczy, odwrócił ją ku drzwiom i wyprowadził z kuchni.

– Proszę wracać do łóżka, panno Mountbatten. Uznajmy, że to się nigdy nie wydarzyło.

„To się nigdy nie wydarzyło”.

Dla niego może nie. Ale dla niej? Ten pocałunek naprawdę się zdarzył. Był realny, rzeczywisty, czuła go w całym ciele. Mijały dni, a ona nie mogła zapomnieć.

Rozumiała teraz, dlaczego był tak pożądanym kochankiem. Kiedy ich wargi zetknęły się ze sobą, opuścił ją zdrowy rozsądek. Zostały tylko zmysły. Pamiętała jego ciepło, zapach, siłę i smak.

Smakował jak… nie potrafiła tego dokładnie określić. Jak opisać smak głębokiego, męskiego pomruku? Trochę brandy, trochę grzechu… a wszystko razem idzie do głowy jak wino. Na samo wspomnienie poczuła miłe rozleniwienie w kolanach.

Skarciła się w myślach.

Trzeba przestać o tym myśleć. Najlepiej zapomnieć o tym spotkaniu. Od jesieni zastanawiała się, jak by to było, gdyby ją pocałował. Właśnie się dowiedziała, zaspokoiła ciekawość. Dla niego to nie miało żadnego znaczenia. Nudny wieczór w domu, i koniec na tym.

„To się nigdy nie wydarzyło”.

Zamiast tego powinna się skupić na swoich obowiązkach. Zatrudnił ją tylko na kilka miesięcy. A ona musi z tego sfinansować swoją przyszłość.

– Obrębiam chusteczkę, Daisy. Chcesz się przyłączyć?

Daisy popatrzyła na starszą siostrę. Rosamund wzruszyła ramionami, dając jej niechętne przyzwolenie, jakby mówiła: Skoro musisz…

– To chodź. – Alex przywołała ją gestem do siebie. – Chcesz spróbować sama?

Daisy posłusznie wzięła od niej robótkę. Jej ściegi były niezgrabne, pracowała z wahaniem, ale kiedy doszła do rogu, Alex zasypała ją pochwałami.

– Świetna robota, Daisy.

– Wcale nie. Jest strasznie krzywa.

– Ale to bardzo dobry początek. Nikt nie oczekuje doskonałości przy pierwszej próbie. Potrzebujesz po prostu praktyki. Kiedy skończymy brzegi, nauczę cię haftować litery. Zaczniemy od tej. – Napisała literę krawiecką kredą. – Co to za litera?

– D.

– Jak myślisz, dlaczego chcę cię jej nauczyć na samym początku?

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało.

– Bo moje imię się tak zaczyna.

– Właśnie. – Alex była całkiem z siebie zadowolona. Pierwsza litera alfabetu zaliczona. Zostało tylko dwadzieścia pięć. Postanowiła się cieszyć nawet z najmniejszych zwycięstw. – A kiedy nauczycie się haftować, będziecie mogły wyszywać litery na różnych rzeczach. Na obrusach, serwetkach…

– Serwetkach? – jęknęła Rosamund. – Dlaczego miałybyśmy wyszywać kwiatuszki i monogramy na kawałkach płótna, które ktoś będzie potem brudził śliną i rozlaną zupą? To obrzydliwe, jeśli się dobrze zastanowić.

Alex nigdy nie myślała o tym w ten sposób, ale szczerze mówiąc, Rosamund miała trochę racji.

– Przecież nie chodzi tylko o serwetki – sprostowała. – Szycie jest potrzebne w niezliczonych praktycznych sytuacjach. Każda dziewczyna powinna umieć naprawiać odzież.

– A dlaczego chłopcy nie muszą się tego uczyć?

– Niektórzy muszą. Ja się nauczyłam szyć od mężczyzny.

Rosamund sceptycznie uniosła brew.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wychowałam się na statku. Na pokładzie nie było kobiet.

– Niech pani nam o tym opowie – poprosiła Daisy. – Tylko nie o szyciu. Jakąś niesamowitą historię.

– O czym tu opowiadać? – zgasiła ją Rosamund. – Żadnych syren chyba tam nie spotkała.

Alex zawahała się. I tak popełniła już głupstwo, opowiadając o sobie panu Reynaudowi. Miała wychować te dziewczynki na damy. Opowieści o jej własnym, zwariowanym dzieciństwie nie przybliżyłby jej do tego.

A jeśli jej się nie uda, nie dostanie pieniędzy.

To by było tyle. Koniec z opowieściami z siedmiu mórz.

Na szczęście uratowała ją pani Greeley, która właśnie zaanonsowała:

– Panno Mountbatten, ma pani gości. Dwie młode damy. Czekają przed domem, na ulicy. Zaprosiłabym je do środka, do salonu, gdyby nie to, że przyprowadziły jakieś zwierzę – wyjaśniła, marszcząc z niesmakiem nos.

Dwie damy i zwierzak? To mogło oznaczać tylko jedno.

– Dziękuję, pani Greeley. – Alex wstała. – Rosamund, czy jeśli zejdę do moich przyjaciółek na pół godziny, to mogę liczyć, że po powrocie zastanę ciebie, twoją siostrę i ten pokój bez większych uszczerbków?

– Proszę się nie niepokoić. Wciąż pracuję nad szczegółami planu ucieczki. Dzisiaj jeszcze się nigdzie nie wybieramy.

– To dobrze – odpowiedziała, dodając pod nosem: – A przynajmniej taką mam nadzieję.

Zbiegła na dół po schodach. Przyjaciółki czekały na nią na środku skweru. Nicola i Penny z kozą na smyczy, która spacerowała po trawniku jak piesek wyprowadzony na spacer.

Alex objęła je serdecznie na powitanie. Penny zawsze wszystkich obejmowała bardzo mocno, a Nicola pachniała karmelem. Alex ścisnęło się serce. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za nimi tęskniła.

– Jak dobrze was widzieć! Czemu to zawdzięczam?

– Emma urodziła. – Nicola pokazała jej kopertę. – Dziś dostałyśmy ekspres.

– A poza tym trzeba było wyprowadzić Marigold. – Penny podrapała kozę za uszami.

Alex chwyciła kopertę i rozłożyła kartkę, żeby ją przeczytać. Notatka była krótka, wystarczyła sekunda, by się z nią zapoznać.

– Och, mają chłopca! Jak cudownie. Pewnie będzie nosił nazwisko Richmond, zgodnie z tradycją. Nie napisali tylko, jak mu dadzą na imię.

– To okropny list – stwierdziła Nicola. – Ashbury go napisał. Mężczyźni w ogóle nie potrafią pisać o dzieciach.

– Ani słowa opisu – westchnęła Penny. – Nic nie wiemy. Ani jak wygląda, ani do którego z rodziców jest podobny, ani jaki ma charakter.

– Pewnie jest różowy, pomarszczony, łysy i głodny jak wszystkie noworodki. Wątpię, żeby zdążył już ogłosić swoje poglądy polityczne. – Alex złożyła kartkę i oddała Nicoli. – Musimy się zdobyć na cierpliwość. Emma na pewno napisze, jak tylko odpocznie, i wtedy opowie nam wszystko ze szczegółami.

– Skoro już mowa o szczegółach – wtrąciła Nicola znacząco – to pewna guwernantka powinna się z nami czymś podzielić.

– Tak jest. – Penny puściła smycz Marigold, ujęła Alex pod ramię i podprowadziła ją do najbliższej ławki. – Opowiedz nam wszystko.

Nie musiały prosić dwa razy. Alex z ulgą podzieliła się myślami, które ciążyły jej przez ostatnie dwa tygodnie. Streściła historię Rosamund i Daisy, nie pomijając codziennych pogrzebów lalki, drobnych kradzieży i pięciu umiejętności, których miała nauczyć dziewczynki w ciągu dziesięciu – a teraz już dziewięciu – tygodni.

– Biedne małe, jak one cierpią – użaliła się Penny. – Potrzebują serdeczności, a nie lekcji.

– Wiem. Ale zatrudniono mnie, żebym przygotowała je do pójścia do szkoły. Jeżeli mi się nie uda… – Alex oparła łokcie na kolanach, a potem podbródek na dłoniach. – Nie interesuje ich wyszywanie. Nie sposób ich przekupić. I jak man nauczyć Daisy pisać poprawnie, jeśli ona jeszcze nie zna liter?

– Chętnie byśmy ci z tym wszystkim pomogły – odpowiedziała Nicola. – Ale tradycyjne kobiece umiejętności nie należą do naszych mocnych stron.

– Wiem – uśmiechnęła się Alex. – I dlatego was kocham.

Nie pasowały do towarzystwa absolwentek pensji dla panien, i właśnie dlatego łączyła je przyjaźń. Różniły się od przeciętnych dam i wcale się tego nie wstydziły. Rosamund i Daisy też takie były. Dlatego świat próbował im powiedzieć, że się nie nadają, a Alex zdecydowanie nie miała ochoty uczestniczyć w tym chórze.

Penny skoczyła, żeby złapać smycz kozy.

– Jak tam Donżuan z Księgarni? Wyznał ci już miłość?

– Nie – odpowiedziała Alex. – Skądże.

– To zaprzeczenie było zdecydowanie zbyt pośpieszne, zatem jest niewiarygodne.

– Spędzam całe dnie na nauce dziewczynek – skłamała. – Rzadko się z nim spotykam.

Z wyjątkiem kilku minut co rano, kiedy trzyma mnie za rękę. Aha, i tego głupiego, niezdarnego pocałunku w kuchni.

– Nie żartuj sobie – namawiała ją Penny. – Jesteśmy twoimi najbliższymi przyjaciółkami. Jeśli się w tobie podkochuje, musisz nam się zwierzyć.

– Chyba prześladuje, a nie podkochuje – poprawiła ją Nicola.

– Nie mam nic do powiedzenia – upierała się Alex. – Nic romantycznego. Nic niegodziwego. Nic zgoła.

W sumie to była prawda. „To się nigdy nie wydarzyło” – powiedział. Jak nie, to nie. Ten pocałunek w kuchni był jej ostatnim spontanicznym porywem. Od tej pory będzie realistką do szpiku kości.

– Uwierzcie mi – spróbowała je przekonać. – Prędzej odnajdę przyszłość w gwiazdach niż w ramionach Chase’a Reynauda.

Nicola zmieniła temat.

– Oj, o mało nie zapomniałam. – Rozwiązała wstążki, ostrożnie zdjęła kapelusz i wyciągnęła z niego paczuszkę zawiniętą w brązowy papier. Podała ją Alex.

– W końcu udało mi się dopracować lawendowo-waniliowe herbatniki. Siedem razy próbowałam, ale w końcu przestały smakować jak mydło.

Alex przyjęła paczuszkę.

– Przyniosłaś je w kapeluszu?

– Koza cały czas próbowała mi je wyrwać, a Penny mówi, że nie wolno jej jeść słodyczy. Tak przy okazji: kiedy zamierzasz odesłać to zwierzę z powrotem na wieś?

– Kiedy będzie zdrowa. To chyba oczywiste. Marigold ma kłopoty z trawieniem.

– Jak widać – podsumowała Nicole, patrząc, jak Penny odrywa kozę od objadania jakiegoś zeschłego krzaka. – Niezwykle delikatny żołądek.

Trzymając paczkę ciastek w dłoniach, Alex ucałowała je obie na pożegnanie.

– Dziękuję. Właśnie tego mi było potrzeba.

– To zwykłe maślane herbatniki – zdziwiła się Nicola.

Alex uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Czasem zwykłe maślane herbatniki mają wielką moc.

Po odejściu przyjaciółek Alex pobiegła na górę, do dziecinnego pokoju i od razu podeszła do tablicy.

Siedem prób. Nicola siedem razy próbowała, zanim upiekła jadalne herbatniki. Alex powinna pójść jej śladem. Tych pięć przedmiotów wypisanych kredą na tablicy było dobrym programem nauki. Podobnie, jak

sześć pierwszych blach lawendowo-waniliowych herbatników, które wyszły spod ręki Nicoli. Niby-herbatników, bo smakowały jak mydło.

Wytarła tablicę.

– Koniec z matematyką i etykietą. Zmiana programu nauczania.

– Co pani wyprawia? – spytała Rosamund.

– Chcesz łamać wszystkie reguły, Rosamund? Przemierzyć cały świat? Więc masz tylko jeden wybór.

Napisała na górze tablicy jedno jedyne słowo i podkreśliła je mocną, zdecydowaną linią.

„Piractwo”.

– Piractwo? – Dziewczynka była sceptyczna, ale zaintrygowało ją to.

– To jest nowy plan lekcji. – Alexandra zapisała na tablicy pięć przedmiotów.

– Dziennik okrętowy. Rabunek. Nawigacja. Kodeks Pirata. Szycie – dopisała na końcu.

– Szycie? – skrzywiła się Daisy. – Po co piratowi serwetki?

– Po nic. Ale każdy marynarz, czy to z normalnego statku, czy pirat, musi umieć posługiwać się igłą i nitką. Na otwartym morzu nie ma mamy, nikt za niego nie naprawi żagla ani nie zaceruje skarpetki.

Rosamund ogarnęła podejrzliwość:

– Nie zwracaj na nią uwagi, Daisy. To tylko sztuczka.

Alex brnęła dalej, udając, że jej nie słyszy.

– Zrobimy własny statek. Tutaj, w pokoju dziecinnym. Ja będę oczywiście kapitanem. Ty, Rosamund, pierwszym oficerem. Będziesz odpowiadać za dziennik okrętowy i za pieniądze.

– A ja? – pisnęła Daisy.

– Ty – Alexandra przykucnęła przed nią – będziesz naszym kwatermistrzem. To znaczy, że będziesz wydzielać jedzenie i wodę dla załogi. A ponieważ jest nas tak mało, dostaniesz jeszcze jedną funkcję, najważniejszą ze wszystkich. Będziesz pokładowym cyrulikiem. Piraci

cierpią na wiele chorób i dolegliwości. Szkorbut, malarię, gorączkę tropikalną…

Oczy Daisy błysnęły.

– A na dżumę?

– Tak, kochanie. Nawet na dżumę.

Biedną Millicent czekały ciężkie czasy.

Alex wyprostowała się.

– Co ty na to, Rosamund? Przyłączasz się do załogi?

Rosamund spojrzała na tablicę.

– Jak zamierza nas pani tego wszystkiego nauczyć?

– Z doświadczenia. Byłam od was młodsza, a już umiałam wspinać się po wyblinkach, wyznaczać kurs na Barbudę, przeliczać hiszpańskie reale na szylingi i targować się po portugalsku.

– Czy nasz opiekun wie, co pani nam proponuje?

– Skądże.

– Nie spodoba mu się to.

Alex wzruszyła ramieniem.

– Piraci nikogo nie pytają o pozwolenie.

Zatrudniono ją, żeby udzielać nauk tym dziewczynkom i zamierzała wypełnić swoje obowiązki. Jej sytuacja finansowa nie pozwalała zrezygnować z tej pracy. Ale postanowiła ją wykonać na własnych warunkach. Rosamund i Daisy potrzebowały zachęty zamiast etykiety i pewności siebie, zamiast znajomości zasad.

I niezależnie od opinii, jaką miał na ten temat Chase Reynaud, Alexandra postanowiła zapewnić dziewczynkom to wszystko. Nie przyłoży ręki do przekształcenia ich w dobrze wychowane, posłuszne, pustogłowe damulki, które nie chcą nikomu sprawiać kłopotu.

Zrobi z nich kobiety, których nikt nie będzie lekceważył.

– Co ty na to, Rosamund?

Dziewczynka milczała chwilę. Potem odłożyła książkę.

– Umowa stoi.

Alexandra stłumiła uśmiech triumfu. Rosamund poszła jej na rękę ale najprawdopodobniej tylko z nudów. To był jednak początek.

– W takim razie będziemy miały mnóstwo do roboty. Najpierw trzeba otaklować nasz statek. – Podeszła do okna i zerwała zasłonę z karnisza. Nie było to solidne, żaglowe płótno, ale dla ich celów wystarczy. Spojrzała na Rosamund.

– Wiesz może, skąd można tu wziąć zwój liny?

11

*P*ołóż się na chwilę na łóżku, dobrze?

Siedzący na brzegu materaca Barrow przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Nie mam tego w zakresie obowiązków.

– Ale możesz to zrobić?

Barrow uległ.

– Ale tylko dlatego, że już piąta. Zależy mi, żeby zdążyć na kolację, więc schowam dumę do kieszeni.

– Nie, nie. Nie w ten sposób. Na boku, twarzą w moją stronę. Unieś się na łokciu i oprzyj głowę na dłoni.

– Będziesz mnie malował jako jedną z tych twoich francuskich panienek?

– I zabierz buty z materaca. Jest nowiutki. Najlepszy, na jaki stać pewnego bezwstydnego donżuana.

Barrow przewrócił oczami.

Chase podniósł oprawne w złotą ramę lustro i przyłożył je do ściany naprzeciwko łóżka.

– A teraz powiedz, czy się w nim widzisz?

– Częściowo.

– A którą część? Tę lepszą?

– Mam dosyć. – Barrow usiadł. – Idę stąd.

– Nie rób mi tego, stary. Sam nie dam rady.

– No cóż, bez ciebie nie dam rady zarządzać księstwem Belvoir. Masz wszystkie pełnomocnictwa. – Westchnął zrezygnowany. – Parę cali w lewo. Do góry. Jeszcze trochę. Nie, nie. Za wysoko.

Chase uginał się pod ciężarem lustra.

– Pośpiesz się, co?

– Przechyl je odrobinę do przodu… Doskonale.

– Wreszcie. – Chase wyciągał z kieszeni ogryzek kredy i zaznaczył narożnik. Potem z westchnieniem ulgi odstawił lustro pod ścianę.

– A teraz – stwierdził Barrow – czas na rozmowę o zarządcy z Belvoir Manor. Może i jest czarodziejem płodozmianu, ale jego raporty nie są warte nawet owczego bobka. Musisz do niego pojechać z wizytą i zrobić porządek.

Chase sprawdził oznaczenia poziomicą, a potem wbił w ścianę dwa haczyki.

– Mamy sto innych ważnych spraw. Zresztą wiosenny siew i tak mamy już za sobą.

– Szczerze mówiąc, kiedy poruszyłem ten temat po raz pierwszy, do siewu było jeszcze trochę czasu. To było w lutym. Unikasz tej rozmowy od miesięcy.

– Wcale nie unikam dyskusji. – Znowu dźwignął ciężkie lustro i zawiesił je na ścianie. – Unikam spotkania z wujem.

– Książę jest ciężko chory. Nawet nie będzie wiedział, że tam jesteś.

– Będzie wiedział – odpowiedział cicho Chase. – Zawsze wie, kiedy przyjeżdżam.

Chcąc zmienić temat, odwrócił się i oparł dłonie na biodrach, przyglądając się efektom swojej pracy. Jaskinia Uciech Cielesnych była wreszcie skończona. Teraz może zacząć wyrabiać sobie reputację godną nazwy.

– Dobrze – powiedział. – Niedługo wybiorę się do Belvoir.

– Doskonale. Opatrzę tę obietnicę konkretną datą. Mam nadzieję, że to przewidziałeś. – Barrow wstał z łóżka, sięgnął po kapelusz i ruszył ku drzwiom. – Ale poczekam z tym do jutra. I tak jestem już spóźniony na kolację.

– Ucałuj Elinor ode mnie.

– Wypchaj się – odparł, zamykając za sobą drzwi. – Znajdź sobie własną żonę.

– Za żadne skarby. Nie trzeba przecież ślubu, żeby całować się z kobietami.

Boże, ten głupi pocałunek. Minęło od niego już tyle dni, a on wciąż pamiętał, jak smakowała Alexandra – prędzej zapomniałby własne imię niż ten smak, świeży i słodki. Jak chłodna woda z górskiego strumyka.

Dosyć tego.

Wyszedł ze swego azylu przez kuchnię, zamknął drzwi na klucz i ruszył na górę do sypialni, żeby przebrać się na wieczór.

Jeszcze nie zdążył dojść na półpiętro, kiedy przenikliwy okrzyk kazał zatrzymać mu się wpół kroku. Po nim nastąpił przenikliwy pisk. Nie dziewczęcy, tylko kobiecy, w dodatku dochodzący z dziecinnego pokoju.

Alexandra.

Wbiegł po schodach na samą górę, zatrzymując się na trzecim piętrze, by pozbyć się zadyszki. Na górze panowała złowróżbna cisza.

Wielki Boże, zabiły ją.

Ostatnie schody przebiegł sprintem. Popędził korytarzem i szarpnięciem otworzył drzwi, przygotowując się w duchu na widok zakrwawionego ciała spoczywającego na podłodze.

Scena, która go powitała, nie miała w sobie nic z martwego spokoju.

– Przygotować działo!

Nawet nie zauważyły jego wejścia. Chase wykorzystał to, żeby rozejrzeć się po dziecinnym pokoju. A raczej po tym, co z niego zostało. Nie był

pewny, jak nazwać to pomieszczenie, tak odmienne od tego, które widział rano podczas kolejnego pogrzebu Millicent.

Łóżka dziewczynek zestawiono obok siebie, zostawiając między nimi niewielką przerwę. Z okien pozdejmowano zasłony, które zwisały teraz ze słupków łóżek. Daisy, stojąc pośrodku tego wszystkiego, lustrowała ścianę przez lunetę zrobioną z tektury, a Rosamund wymachiwała zakrzywionym przedmiotem, który wyraźnie przypominał kordelas.

Millicent siedziała na łóżku w papierowym pirackim kapeluszu, ze swoim zwykłym, niesamowitym uśmieszkiem na twarzy.

Rosamund machnęła ostrzem w powietrzu.

– Ognia!

Stojąca z tyłu panna Mountbatten wydała szereg fascynujących odgłosów. Najpierw huk, potem gwizd jak glissando, a potem donośny łomot. Przy tym ostatnim zakołysała solidnie łóżkiem.

Dziewczynki wydały okrzyk triumfu.

– Czysto trafiony w burtę – ogłosiła. – Do abordażu gotuj się! Przygotować trapy!

Rosamund pociągnęła za sznur od firanki i rozwinęła biały „żagiel”. Daisy wzięła kilka desek powiązanych sznurkiem, chyba wyrwanych z jakiejś skrzynki.

– Gotowi do abordażu!

Przedostała się z łóżka na łóżko i przyłożyła kordelas do szyi Millicent.

– Oddawaj łupy!

Chase już się napatrzył.

– Ehm.

Wszystkie trzy znieruchomiały. Właściwie cztery, jeśli liczyć Millicent. W pokoju zapanowała cisza. Tylko panna Mountbatten donośnie przełknęła ślinę.

– Co tu się dzieje? – zapytał gniewnie.

Daisy odezwała się pierwsza.

– Millicent jest ranna. – Przesunęła „ostrzem” po szyi lalki. – Niech mi ktoś poda chusteczkę. Traci bardzo dużo krwi.

Chase zignorował śmiertelne zagrożenie życia lalki i podszedł do swojej pracownicy, żeby zamienić z nią parę słów.

– Zaraz wszystko wyjaśnię – powiedziała.

– Byłoby dobrze.

– My… wymyśliłam dla nich zabawę, rozumie pan.

– Nie po to panią zatrudniłem, żeby pani się z nimi bawiła.

– Ale to edukacyjna zabawa.

– Nauka wymachiwania kordelasem?

Zagryzła dolną wargę.

– Nie do końca.

Jej wzrok musnął tablicę. Chase też tam spojrzał.

– Piractwo? – przeczytał z przerażeniem. – Uczy je pani piractwa!?

– To nie jest tak, jak pan myśli. Ja…

Chase ujął ją za łokieć i poprowadził w drugi koniec pokoju. Chciał dać jej burę na osobności.

– Miała je pani wychować na prawdziwe damy.

– One nie są na to gotowe. To dziewczynki. Powinny spędzać czas na zabawie, a one w ogóle zapomniały, jak się to robi.

– Powinny spędzać czas na nauce. Liter, cyfr, wyszywania krzywych kwiatków i beznadziejnych wersetów z Biblii..

– One spędzają czas na nauce. – Wskazała mu wiszącą na ścianie mapę świata, na której zaznaczono drogę z Anglii do Indii Zachodnich. – Właśnie wyznaczałyśmy kurs na Tortugę. To geografia. – Potem podeszła do tablicy i pokazała słupek cyfr.

– Wyliczyłyśmy odległość i czas, jaki zajmie podróż. To arytmetyka. Nauczyłam je nawet trochę francuskiego.

Chase przeczytał na głos:

– *Donnez-nous le butin, ou nous vous ferons jeter par-dessus bord*. Co to znaczy?

Najeżyła się.

– Oddajcie łup, bo wyrzucimy was za burtę.

– Millicent umarła – ogłosiła Daisy. – Trzeba jej będzie wyprawić morski pogrzeb.

Chase potarł skronie.

– Dobrze. Koniec z tą waszą zabawą. Od razu.

– Jeśli mam tu być guwernantką, proszę mi pozwolić stosować moje metody.

– Jestem pani pracodawcą i proszę słuchać moich poleceń.

– Bo co? Ma pan kolejkę kandydatek czekających na tę pracę? – Machnęła ręką z desperacją. – Żadnej z nich nie udało się uzyskać tego, co ja osiągnęłam. Ile ich było przede mną, co?

– Piętnaście – odpowiedział. – Ale zawsze mogę znaleźć szesnastą. Londyn jest pełen kobiet, które chętnie spełnią każde moje życzenie.

– Z pewnością. Ale ja do nich nie należę.

Osiągnęli impas. Stali niebezpiecznie blisko siebie. Może dlatego, że bał się odsunąć choć o krok. Może wcale nie chciał, żeby odeszła.

Może pragnął, by się jeszcze zbliżyła.

Myśl ta stała się rzeczywistością – niemal w tym samym momencie, gdy przemknęła mu przez głowę. Poczuł mocny ucisk na żebrach. Alex wydała zaskoczony okrzyk.

W jednej sekundzie znaleźli się naprawdę blisko siebie. Wręcz nieprzyzwoicie. Pierś w pierś. Gdyby nie kilka warstw tkaniny… ich ciała zetknęłyby się ze sobą.

Boże.

Zaskoczony, spróbował się cofnąć. Nie udało mu się to.

– Co tu się dzieje, do diabła?

Jego szatańskie podopieczne turlały się po posadzce ze śmiechu.

Opuścił wzrok. Związały ich razem liną. Zawiązaną na solidny węzeł. Wyglądało na to, że gdy on wpatrywał się w płomienne oczy Alex, dziewczynki zdążyły otoczyć ich oboje pętlą z liny – a potem nagle ją zacisnęły.

– Ojej!

– Wy małe… – Próbował się wysunąć ze zwojów liny, żeby je złapać. Udało mu się tylko przekręcić szyję. – Wracajcie tu natychmiast.

– Daisy, jak myślisz, czy w kuchni jest ciasto?

– Dżem pewnie też.

Dziewczynki złapały się za ręce i pobiegły do drzwi.

– Niech was ręka boska broni! – Poskakał w ich kierunku, ciągnąc za sobą pannę Mountbatten. – Wracajcie tu zaraz, bo…

Bo co? Zamknie je w tym pokoju? Pośle do łóżka bez herbaty? Próbował już tych wszystkich kar, bez żadnego skutku. Skończyły mu się groźby.

– Rosamund! – ryknął.

– Teraz nazywam się Sam.

– Sam? Skąd to się niby wzięło?

– Z mojego własnego imienia. Ro-SAM-und.

– Nie możesz nazywać się Sam. To jakaś bzdura.

– Wcale nie. Niech pan spyta pannę Mountbatten. Przyjaciółki nazywają ją Alex. A ja chcę nazywać się Sam. – Przywołała gestem Daisy. – Idziemy. Trzeba obrabować kuchnię. Może będzie tam budyń.

Wybiegły, zamykając za sobą drzwi.

12

Chase szarpał się w więzach, żeby się z nich wysunąć, ale jego gwałtowne ruchy tylko dodatkowo zaciskały linę.

Co gorsza, zaczęły stwarzać problemy innej natury. Erekcyjnej, można powiedzieć.

Uspokój się, napomniał się w duchu. Nie pierwszy raz i nie ostatni musisz sobie radzić z niechcianym wzwodem. Wiesz, że uda go się namówić, by opadł.

Krykiet. Pomyśl o krykiecie. Wszyscy to doradzają, więc chyba skutkuje?

Niestety, niewiele wiedział o tej grze, poza tym, że używa się w niej ciężkich piłek i długich, twardych pałek – co w tej sytuacji było niezbyt pomocne.

– Jak im się to udało, do diabła? – zapytał.

– Węzły to część edukacji pirata.

Wzniósł oczy do nieba.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– To podstawa sztuki żeglarskiej – powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało. – Wyswobodzę nas w sekundę. Nauczyłam je tylko najprostszych. Poza tym popełniły błąd, zostawiając mi jedną rękę wolną. – Przesunęła tą ręką po linie. – Gdzie jest węzeł?

– Niestety na moich plecach, u dołu.

Objęła go, najciaśniej jak potrafiła. Jakby zamknęła go w uścisku.

– Jeszcze kawałek. Jest. – Dotknęła palcami węzła. – Prosty refowy. Rozwiążę go w sekundę. Jeśli chwycę go pod odpowiednim… kątem.

Ocierała się o jego ciało, żeby uchwycić linę. Wszelkie nadzieje, jakie miał przedtem na opanowanie niechcianego wzwodu, rozwiały się wniwecz.

Żaden krykiet go teraz nie uratuje – chyba, że ktoś trafiłby go pałką w skroń.

Alex poczuła to. Twardy, gruby drąg mięśni, który dotykał jej ciała, pulsował i rósł. Jej palce znieruchomiały. I tak oszołomił ją jego zapach, ciepło i dotyk potężnej piersi. Ale to? To był namacalny dowód, że on również coś do niej czuł. Zakręciło się jej w głowie.

Dzięki Bogu był wysoki. Przynajmniej nie widział jej czerwonych jak burak policzków, bo twarz miała na wysokości jego klatki piersiowej.

Nie zwracaj na to uwagi, nakazała sobie w myśli. Pomyśl o wyznaczaniu kursu według gwiazd.

Ale jego nabrzmiewający członek niełatwo było zignorować. Prężył się między nimi, dodatkowo utrudniając rozplątanie węzła. Posługiwanie się tyko jedną ręką też nie ułatwiało sprawy.

– Może porozmawiajmy o czymś.

– Świetnie – ucieszyła się. – Porozmawiajmy.

– Więc przyjaciółki nazywają cię Alex.

– Bo tak jest łatwiej. Alexandra to długie imię. A ciebie przyjaciele nazywają Chase, prawda?

– Mam na pierwsze imię Charles. Ale już w szkole nazywali mnie Chase[1], bo uganiałem się za dziewczynami.

– Aha… To znaczy, że koledzy nadali ci przezwisko.

– Nie, sam je sobie nadałem.

– Sam? – zaśmiała się w duchu. – Trochę to smętnie brzmi, sam przyznasz.

– Nie lubiłem swojego imienia. „Charles” brzmi nudno, a „Chase” zawadiacko. Budzi emocje. Jaka kobieta będzie w łóżku wołać: Tak, Charles, ach, Charles! Wołałabyś tak?

– No…

– Zapomnij, że to powiedziałem.

Postanowiła spróbować, ale bez większych szans powodzenia.

– Lepiej opowiedz mi o swojej szkole – zaproponował.

– O mojej szkole?

– O nudnych lekcjach i obskurnych klasach. Jeśli przypadkiem miałaś jakąś skwaszoną, pomarszczoną profesorkę o krzywych zębach, chętnie o niej usłyszę. Ze wszystkimi szczegółami.

– Nauczycielka, którą najmniej lubiłam, wcale nie była pomarszczona ani brzydka. Szczerze mówiąc, nawet całkiem ładna, ale biła nas za nieposłuszeństwo.

– Naprawdę? – jęknął cicho.

– Owszem, potrafiła nieźle przyłożyć linijką, prosto w pupę.

– Zastanowiłem się i nie chcę już więcej rozmawiać.

Udało jej się zaczepić kawałek liny paznokciem.

– Robię postępy.

– Dzięki Bogu – szepnął.

– Tylko że trzeba najpierw trochę poluzować linę, żeby to rozwiązać. Możesz się mocniej do mnie przycisnąć? Tylko na chwilę. Potrzeba mi dosłownie pół cala.

Jęknął głucho.

– Dobrze, tylko szybko. Bo zamiast tego oddalimy się od siebie na co najmniej siedem cali.

– Jak to?

– Nieważne.

Alexandra wychyliła się najdalej jak mogła, opierając policzek o jego pierś. Wsparł ciężką, twardą brodę na jej głowie. Bicie jego serca huczało

jej w uszach i wibrowało echem w brzuchu.

Na moment zapomniała o węźle, pokoju dziecinnym, dziewczynkach i o całym świecie, poza tym mocnym, twardym męskim ciałem. Była w nie wtulona jak żeglarz, który w czasie sztormu kurczowo czepia się masztu. Wtedy złapał ją za biodra i przyciągnął do siebie jeszcze bliżej. Jakby byli kochankami w miłosnym uścisku.

Westchnął z emocji. Dzięki temu zyskała jeszcze trochę luzu. Wsunęła w węzeł trzęsące się palce i pociągnęła.

Udało się. Lina puściła i odzyskali swobodę.

Ale nie byli na to gotowi. Lina ściskała ich ciasno, ale dzięki temu utrzymywali równowagę. Teraz, gdy stracili oparcie, upadli na podłogę, a ponieważ Chase zaciskał dłonie na pośladkach Alex, to ona upadła na niego.

Wylądowali z donośnym łoskotem. Ciało Chase’a zamortyzowało uderzenie.

– Uff…

Uniosła się na łokciu.

– Nic ci się nie stało?

– Nie.

– Ale uderzyłeś głową o podłogę. – Obmacała jego czaszkę. – Powiedz coś.

– Au.

Roześmiała się z ulgą i zdenerwowaniem zarazem.

– Teraz już wiem, jak czuje się ta cholerna lalka.

– Bardzo cię boli?

– Jutro to poczuję. Na razie jest nieźle.

– Jesteś pewny? Może powinnam…

– Alexandro. – Ujął jej podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy. – Wystarczy.

Boże. Dźwięk jej imienia na tych wargach i ten mocny, głęboki głos… Nie wspominając o dłoniach, wciąż obejmujących jej pośladki.

– Wiem, że nie podoba ci się ta zabawa w piratów, ale dzięki niej udało mi się do nich dotrzeć. Daisy uczy się z trudem. Prawie nie umie czytać. Rosamund jest niezwykle opiekuńcza. Instynktownie woli mnie od siebie odrzucić, niż zaryzykować rozczarowanie. Obie potrzebują wiele cierpliwości. – Przerwała. – Co więcej, potrzebują bezpieczeństwa i miłości

– Mówiłem ci już, że nie mogę im tego dać.

– Mógłbyś, gdybyś się postarał.

– Myślałem, że zrozumiałaś to już na samym początku. Jestem beznadziejnym przypadkiem. Żałosną namiastką dżentelmena. Człowiekiem, który nie rozumie, jakie konsekwencje może spowodować jedna pończocha.

– Ale jesteś też człowiekiem, który potrafi trzymać za rękę małą dziewczynkę i co rano wygłaszać mowę pogrzebową dla jej lalki. Spadkobiercą książęcego rodu, który bierze pod opiekę sieroty i sam robi dla nich wygodne siedziska przy oknie, z półkami pełnymi książek stojącymi na wyciągnięcie ręki.

– Skąd wiesz?

– Domyśliłam się. Boazerię na dole też zrobiłeś sam. Przy okazji, dzięki za werandę. Masz talent w rękach.

– Nawet w połowie się nie domyślasz, jak duży – mruknął, objął jej pośladki i zacisnął dłonie.

Całe jej ciało przeszył elektryczny dreszcz, dotarł do sutków i sprawił, że niemal sypały iskrami.

– Widzisz? Nie warto mnie reformować. Szkoda czasu. Jestem bez reszty stracony – mruknął tak cicho, że ledwie go słyszała.

Bez reszty stracony?

Do takich wniosków nie dochodzi się na własną rękę. Ktoś wbił mu do głowy to kłamstwo, wyrył je nie tylko w jego umyśle, ale i w duszy.

Alexandra pogardzała tą osobą – nie tylko ze względu na Rosamund i Daisy, ale też ze względu na samego Chase’a Reynauda. Nie mogła przejść do porządku nad tym kłamstwem.

– Chase. – Rozluźniła uścisk, odgarnęła mu włosy z czoła. – Nikt nie jest bez reszty stracony.

W jego oczach odbijały się sprzeczne uczucia. Zwątpienie i rozpaczliwe pragnienie, by jej uwierzyć. Odmowa i pragnienie. Chęć, by ją odepchnąć i zarazem przyciągnąć.

Nie wyobrażaj sobie za dużo, skarciła się w myśli. To są pewnie twoje własne emocje.

Zacisnął mocniej palce na jej pośladkach, jakby podjął jakąś decyzję. Ten dotyk zaparł jej dech w piersiach. Chase w jednej sekundzie przewrócił ją na plecy i przygniótł sobą.

– Słuchaj – powiedział. – Gdybym był przyzwoitym człowiekiem, takim, któremu można wierzyć, że zadba o innych, nie tylko o siebie, nie leżałbym teraz przygniatając pewną guwernantkę do podłogi dziecinnego pokoju. Jeśli w to nie wierzysz, to będę musiał dać ci nauczkę.

Uśmiechnęła się prowokacyjnie.

– A może najpierw ja cię czegoś nauczę?

Pocałowała go w czoło.

Odpowiedział pocałunkiem prosto w usta.

Tak namiętnym, że zapomniała o oddychaniu.

13

Ten obcesowy pocałunek miał jej jasno dać do zrozumienia, kim jest Chase. Nie było w nim czułości. Miał być karą, a nie pieszczotą. Chciał ją wysmagać językiem, a nie uwodzić.

Skoro odchodzi tu zabawa w piratów, on też może zachowywać się jak pirat.

Piraci biorą jeńców. Napadają. Plądrują.

Okrył pocałunkami jej szyję – tę delikatną, cudowną szyję – przesuwając dłońmi po jej ciele, gładząc jego kontury przez cienką, muślinową suknię.

Uścisk, który miał być karcący, nagle nabrał czułości.

– Alexandro – wyszeptał Chase.

Przyjaciele nazywali ją Alex, ale on nie był przecież jej przyjacielem, tylko pracodawcą. Pochodził z lepszej warstwy społecznej, a do tego był też zdeklarowanym donżuanem. Mógłby ją pozbawić cnoty tutaj, na tej skrzypiącej podłodze dziecinnego pokoju, między porozrzucanymi książkami, tabliczkami i kawałkami kredy.

Tymczasem zamiast tego chciał tylko ją całować. Całymi godzinami. I dniami.

Każda kobieta jest inna, ale ona różniła się od wszystkich. Była inna, odważna i mądra. Sprawiała, że on też czuł się kimś innym. Wreszcie zapragnął zwolnić tempo, dać sobie dość czasu, by ją lepiej poznać i zrozumieć, by przestać się wreszcie ukrywać.

Nieśmiało musnęła jego język swoim. Każdy lekki, przekorny dotyk był darem. To były jej pierwsze namiętne doznania, które dzieliła właśnie z nim. Z własnej woli. Z taką słodyczą.

W jej ramionach niemal wierzył, że zasługuje na ten cud.

Nikt nie jest bez reszty stracony.

Tak bardzo pragnął w to uwierzyć. Ale ona nie miała pojęcia, jak daleko odszedł od normalnego świata. Najlepiej, żeby nigdy nie zrozumiała, jak daleko.

Był tak zagubiony, że znalazł się poza zasięgiem wszelkich map.

Przerwał pocałunek i uniósł się na łokciu, by na nią popatrzeć. Odpowiedziała mrocznym spojrzeniem zamglonych oczu. Wargi miała opuchnięte i czerwone od jego pocałunków.

– Boże, ależ ty jesteś urocza.

Zarumieniła się, zakłopotana. Jeśli chwilę temu była urocza, to teraz dosłownie promieniała.

Chase wpakował się w nieliche kłopoty.

Na szczęście nastrój chwili prysł bezpowrotnie, gdy na schodach rozległ się tupot dwóch biegnących dziewczynek. Ledwie zdążyli wstać i poprawić odzież, a już do pokoju wpadły Daisy z Rosamund, każda z kawałkiem ciasta w jednej ręce i bułeczką z dżemem w drugiej.

– Buu. – Daisy wytarła rękawem dżem z buzi. – Uwolniliście się.

– Poćwiczymy węzły i następnym razem pójdzie nam lepiej – pocieszyła siostrę Rosamund.

– Nie będzie żadnego następnego razu – napomniał je surowo Chase. – Koniec z piractwem. – Szerokim gestem ręki objął cały pokój. – Za to jutro zabieram…

– Zabiera nas pan na wycieczkę – przerwała mu Alexandra.

– Na wycieczkę? – spytała z niedowierzaniem Rosamund.

Chase podzielał to uczucie.

– Myślałam, że nie wolno nam wychodzić – powiedziała dziewczynka.

– Masz absolutną rację – odpowiedział Chase. – Właśnie dlatego…

– Jutro robi pan wyjątek – wtrąciła się znowu Alexandra.

No nie. To była jawna, bezwstydna zdrada.

Daisy wydała radosny okrzyk, podskakując na łóżku.

– Dokąd pójdziemy?

Chase wyprostował się na całą wysokość.

– Nie zamierzam…

– Pan Reynaud nie zamierza wam tego powiedzieć – dokończyła znowu zdradziecka guwernantka. – To ma być niespodzianka. Cudownie, prawda?

Chase posłał jej wściekłe spojrzenie.

Odpowiedziała uśmiechem.

Zmełł w ustach przekleństwo i wyszedł.

Doskonale. Jeśli chcą wycieczki, będą miały wycieczkę. I to bardzo pouczającą.

– Tower of London – zamyśliła się na głos Alexandra. – Odważny wybór. Tyle wiadomości historycznych. Możemy też obejrzeć klejnoty koronne.

– Klejnotów nie ma w planie. To będzie specyficzna lekcja historii.

Poszli prosto do Beauchamp Tower, gdzie Chase – nie mogła go przecież dalej nazywać panem Reynaud – poprowadził je w górę po kręconych schodach.

Po krótkiej chwili znaleźli się na piętrze, które miało kształt kwiatu. Na środku pozostawiono okrągłą przestrzeń, a wokół niej wymurowano niewielkie nisze, jak płatki.

Daisy, skacząc, zaglądała do wszystkich po kolei.

– Co to jest?

– Więzienie – odpowiedziała Rosamund. – Na środku siedzieli strażnicy, a w tych małych niszach, po których właśnie tańczysz, trzymano więźniów.

– Skąd wiesz? – spytała Daisy.

– Bo to jest Tower of London, głuptasie. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj więźniów, którzy zostawili tu znaki. – Rosamund wskazała na litery wyryte w ścianie.

– Widzisz? Tutaj. I tutaj, wyżej.

– I wszędzie – uzupełniła Daisy, rozglądając się uważnie.

Napisy pokrywały każdy kawałek ściany w zasięgu ludzkich rąk. Czasem były to tyko inicjały i daty. Gdzie indziej pracowicie wyskrobane krzyże, a nawet płaskorzeźby. Tu i ówdzie długie cytaty z Biblii.

– Po co to robili? – spytała Daisy. – Przecież to strasznie niegrzecznie.

– To byli kryminaliści – odpowiedziała Rosamund. – Nie zależało im na manierach.

– Ludzie chcą zostawić po sobie jakiś znak na świecie – wyjaśniła Alex. – Taka jest ludzka natura. Niektórych pamiętamy dzięki ich osiągnięciom albo cnotom. Innych dzięki ich potomstwu. – Pogłaskała Daisy, przechodząc obok niej. – A jeśli ktoś nie miał ani osiągnięć, ani dzieci, po prostu wypisywał na ścianie swoje imię. Wszyscy chcemy, by o nas pamiętano.

– Och, tych ludzi zapamiętano na długo… jako przestępców – dodał Chase, stojący na środku pomieszczenia. – Wiecie, dziewczynki, kto kończył w takich więzieniach? Mordercy. Zdrajcy.

– I piraci – uzupełniła sucho Rosamund, która w lot pochwyciła, o co chodzi jej opiekunowi.

– Tak jest. Piraci też. Kilkaset lat temu przywieźliby was na łodzi, bramą od strony rzeki, zaciągnęli do jednej z tych cel i zostawili, żebyście tam gniły rok, albo nawet pięć lat. O suchym chlebie i wodzie, bez mięsa. Tłoczyłybyście się w celi z innymi więźniami, w smrodzie niemytych ciał pokrytych wszami. Między szczurami, w brudzie i w chorobach.

– W chorobach! – ucieszyła się Daisy. – Jakich konkretnie?

– Bardzo, bardzo nudnych – odpowiedział. – Nie ma z czego się cieszyć, bo to było straszne. Co gorsza, po procesie czekałoby was to. – Przeciągnął

sobie palcem po szyi.

– Ścięcie – szepnęła zafascynowana Daisy.

– Dokładnie tutaj, na dziedzińcu. To znaczy, gdybyście były szlachetnego rodu. Pospólstwo wieszano na szubienicy, a potem zatykano głowy zmarłych na pikach, nad rzeką, jako ostrzeżenie. Krew kapała prosto do wody. Kruki wydziobywały im oczy.

Alex założyła ręce za siebie i podeszła do swego pracodawcy.

– Zdaje mi się, że są mniej drastyczne sposoby nauczania historii, panie Reynaud.

– Zdaje mi się, że są mniej irytujące sposoby nauczania geografii niż piractwo.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Niech się pani cieszy, że nie zaplanowałem wycieczki do portu wojennego. – Skrzyżował ramiona na piersi i zwrócił się do dziewczynek. – Mam nadzieję, że ta wycieczka wyleczy was z przestępczych skłonności. Koniec z kradzieżami, piractwem i… lalkobójstwem. Bo w przeciwnym razie wiecie, co czeka was w przyszłości.

– Nas? – Rosamund z namysłem rozejrzała się po wiekowej celi. – Zamknie nas kuzyn na górze, będzie karmił suchym chlebem i będą nam dokuczać różne choroby. Zupełnie tak samo jak teraz. Lepiej wyruszyć na morze, póki się da. – Pokiwała palcem na Daisy. – Chodźmy do menażerii.

Chase odrzucił głowę w tył i wydał przesadny jęk rozpaczy.

– Poczekajcie. – Alex pogrzebała w torebce. – Wejście kosztuje szylinga od osoby.

Rosamund zadzwoniła monetami.

– Już dostałyśmy pieniążki od naszego opiekuna – oświadczyła. – W pewnym sensie – dodała z bezczelnym uśmieszkiem.

Daisy pobiegła za siostrą po schodach, wyśpiewując coś po drodze.

Alex ruszyła za nimi. Ale zaledwie po dwóch krokach zatrzymał ją głęboki, męski głos.

– Nie tak szybko, panno Mountbatten.

– Muszę je dogonić. To niebezpieczne puścić je bez opieki.

– Nic im nie będzie – zapewnił ją. – Rosamund nie spuści Daisy z oczu.

– Och, dziewczynki z pewnością będą bezpieczne – posłała mu podejrzanie beztroski uśmiech. – Ale martwię się o lwy i tygrysy.

– Nigdzie nie idziesz. – Zaciągnął ją do jednej z kamiennych nisz. – Muszę zamienić z tobą słówko.

Musiał zamienić słówko. Ciekawe, które. Może „urocza”? Bo od wczorajszej nocy akurat ono ciągle kołatało jej się po głowie.

„Boże, ależ ty jesteś urocza”, powiedział.

Nazwał cię uroczą! – nucił jej mózg. Bez przerwy. Urocza. Uroooo-cza. Urocza, lalala. Urocza, urocza, urocza, urocza. UROCZA. Dlaczego? Bo uważa, że jesteś urocza. Naprawdę, urocza.

– Mogłam cię od razu przestrzec, że ta wycieczka potoczy się zupełnie inaczej, niż myślałeś.

– Od kiedy cię zatrudniłem, nic nie toczy się tak, jak myślałem.

– Spróbuj dostrzec pozytywy. Rosamund i Daisy to odważne, mądre, przedsiębiorcze dziewczynki. Gdyby nawet komuś udało się biciem oduczyć je złych nawyków – a podejrzewam, że prędzej doszczętnie zdarłby rózgę – złamałby tym ich ducha. A to byłaby prawdziwa tragedia.

– Och, tak. Rzeczywiście, to byłaby tragedia.

Jego ironiczny ton wcale jej nie oszukał. Doskonale wiedziała, jak bardzo polubił swoje podopieczne. Gdyby mu na nich nie zależało, nie troszczyłby się tak o nie.

– Przecież to jeszcze dzieci. Świat budzi w nich naturalną ciekawość i pragnienie wiedzy. Potrzebują tylko zachęty i okazji. I swobody, by rozwijać własne zainteresowania. Nie zależy ci, żeby zmądrzały?

– Przede wszystkim zależy mi, żeby zaczęły się lepiej zachowywać. Przecież będą musiały obracać się w towarzystwie. Mam obowiązek

zapewnić im bezpieczną, wygodną przyszłość. Dla młodych kobiet oznacza to małżeństwo z tak zwaną dobrą partią.

Uniosła brew.

– Takie samo jak twoich rodziców?

– Och, postaram się, żeby się powiodło im lepiej niż mojemu ojcu. To nie będzie trudne. Ale ogólnie rzecz biorąc, tak. Cała angielska arystokracja funkcjonuje na tej zasadzie.

– Może arystokracji też powinno się zacząć lepiej powodzić?

Mruknął coś pogardliwie.

– Pochlebia mi, że twoim zdaniem mam dość siły, by odmienić oblicze świata.

– Ty nie. Ale Rosamund i Daisy mają, i je odmienią, jeśli tylko dostaną szansę.

– Naprawdę? – Przysunął się bliżej. – A jak ty planujesz odmienić oblicze świata, panno Mountbatten?

– Nie powiem panu, panie Reynaud. Jestem zbyt zajęta zmienianiem mapy nieba.

Zaglądał jej w oczy przez jakiś eon albo dwa, a potem westchnął dramatycznie.

– Jesteś najgorszym możliwym przypadkiem fałszywej reklamy. Myślałem, że zatrudniam sztywną jędzę. A tu nagle się dowiaduję, że jesteś niezwykła, odważna i interesująca.

No, ładnie, pomyślała Alex. Ta głupia melodia w mojej głowie właśnie zyskała trzy nowe słowa.

– Nie mów takich rzeczy – wyjąkała.

– To nie zachowuj się tak, że przychodzą mi na myśl. Wet za wet.

– Powinniśmy poszukać dziewczynek.

– Owszem, powinniśmy.

Żadne z nich nawet nie drgnęło.

Alex zagryzła wargi.

– Ale zamiast tego będziemy się całować, prawda?
Złapał ją w ramiona.
– Masz absolutną rację. Do dzieła.

14

Chase całował ją z rozpaczliwym żarem, jak skazaniec idący na szubienicę. Zaciskał palce na jej ciele, jęczał przygniatając ją do ściany.

Ujął w dłoń jej pierś – ciepłą, miłą i miękką, tą samą, która wtulała się w niego dzień przedtem. Już wtedy miał nielichy wzwód, ale dziś jego członek postanowił przekroczyć wszelkie granice. Otoczyła go nogą. Zaczął całować jej nieprawdopodobnie delikatną, cudowną szyję i schodził coraz niżej, aż natrafił na kołnierzyk sukni.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Prawie nikt nie podejrzewał, że je ma, a jednak gdzieś tam się kryło. Wynurzało się równie rzadko jak zaginiona Atlantyda, ale mimo wszystko tkwiło w głębinach jego jestestwa.

Właśnie odezwało się donośnym głosem.

Tyle że wtedy ona wygięła plecy w łuk, naparła piersią na jego dłoń i wydała cichy, błagalny jęk.

Sumienie? Jakie sumienie? Zamknąć je w lochu i wyrzucić klucz do fosy.

Boże, to miejsce ma na niego zły wpływ.

Pamięć przestępstw popełnianych tu w ciągu całych stuleci wibrowała w powietrzu. Uwięzione duchy brzęczały łańcuchami. Usłyszał echa wielowiekowych cierpień. Ciężar poczucia winy. Łamiący serce żal. Głód, tęsknotę, samotność. Te same okropne uczucia, które dręczyły go zeszłej nocy.

Chase długie lata był więźniem samego siebie. I aż nazbyt często kobiety, które trzymał w ramionach, wydawały mu się jedyną drogą ucieczki.

Ale teraz… wszystko było inaczej. Alexandra była inna niż wszystkie. Tej chwili za nic nie chciałby po kilku dniach zatrzeć w pamięci. Wręcz przeciwnie. Najchętniej wyryłby kształty ich splecionych ze sobą ciał w kamieniu, między tymi wszystkimi inicjałami, datami i wersetami z Biblii, żeby po tej chwili został ślad, którego nie zatrze czas.

Co ona takiego powiedziała? Że wszyscy chcemy, by o nas pamiętano? No cóż, Chase nie wymyśli faetonu napędzanego parą. Nikt nie postawi mu pomnika za bohaterskie zwycięstwa. Postanowił nie mieć dzieci. Ale ten jeden uścisk – gdyby go zapamiętano – byłby spuścizną, z której czułby się dumny.

„W tym miejscu, roku pańskiego 1817, Chase Reynaud obdarzył pannę Alexandrę Mountbatten najbardziej namiętnym, erotycznym, obezwładniającym pocałunkiem w historii".

Całując coraz mocniej, podniósł ją z podłogi i przycisnął biodrami do ściany. Patrzyła na niego rozszerzonymi, zamglonymi oczami i z trudem chwytała oddech. Sięgnął pomiędzy nich i zaczął rozpinać guziki jej żakietu.

Nie było to trudne, i bez trudu domyślił się dlaczego. Miała tylko jeden żakiet, i używała go od tak dawna, że dziurki od guzików się wyrobiły. Ten namacalny dowód jej ubóstwa okazał się całkiem wygodny. Wielu mężczyzn z jego pozycją potraktowałoby go jako przyzwolenie, by skorzystać z jej wdzięków. Ale Chase tak nie myślał. Kiedy rozpiął ostatni guzik, ogarnęła go fala opiekuńczości i urazy do świata.

Zasługiwała na lepszy los. Młodej, niezamężnej kobiecie z jej pozycją społeczną groziło wiele niebezpieczeństw, a ten wytarty żakiecik był pożałowania godną osłoną. Chase najchętniej zerwałby z niej to wdzianko, rzucił je w kąt i okrył ją swoim ciałem.

Nie był wiele wart, ale przynajmniej ochroniłby ją przed światem.

Ujął jej pierś przez cienki muślin codziennej sukienki. Znalazł sutek i potarł go kciukiem, aż stwardniał.

– Chase.

Błagalny ton jej głosu pchnął go na skraj szaleństwa. Zapuścił dłoń w żakiet, odsunął dziewiczo biały żabot i dostał się pod muślinową tkaninę sukienki. Znał krój damskich sukni równie dobrze, jak własnej odzieży, a nawet lepiej, bo w sumie jego ubierał i rozbierał lokaj.

Zsunął jeden rękaw z jej ramienia. Dzięki temu mógł się dostać do wnętrza gorsetu i perfekcyjnym, wyszkolonym ruchem wydobyć spod fiszbinów jej pierś.

Przymknęła oczy. Zagryzła wargi, żeby nie jęknąć. Chętnie usłyszałby, jak Alex jęczy z rozkoszy, ale w tej ciszy było coś równie podniecającego, a może nawet bardziej.

Bez tchu ujął miękki ciężar w dłoń i zaczął go pieścić jak skarb. Była taka drobna i krucha. Jej serce biło pod jego dłonią jak u schwytanego ptaka.

Trzymał jej pierś, ale nagle wydało mu się, że trzyma jej serce.

Przeraziło go to śmiertelnie.

Typowy męski impuls kazał mu zatroszczyć się o jej ciało. Ale nie mógł przecież brać odpowiedzialności za serce!

Pośpiesznie przerwał pieszczoty i postawił ją na nogi. Nie dbając o jej zdziwioną minę, poprawił na niej suknię. Przykro mu było, że jest przez to tak zmieszana, a może nawet rozczarowana, ale tym razem naprawdę posunął się za daleko.

A raczej za blisko.

Odchrząknął.

– Alexandro, to…

– Nigdy się nie zdarzyło – dokończyła. – Wiem.

Jej wargi wygięły się w uśmiechu, ale oczy nie przyłączyły się do tej wesołości. Zranił ją.

Poczuł się taki malutki, że mógłby się skryć w szparze podłogi. Dziwne, że zaskoczyło ją jego zachowanie. Nie miała chyba co do niego złudzeń. A

szczególnie co do jego układów z kobietami. Nigdy nie ukrywał przed nią swego nieprzyzwoitego trybu życia.

Tym razem jednak to on, Chase, musiał sobie o tym przypomnieć.

Doskonale. Wieczorem pojedzie do miasta, znajdzie piękną, wyrafinowaną, chętną kobietę, sprowadzi ją do tego azylu i przetestuje razem z nią nowy materac.

Koniec z obmacywaniem guwernantek i wpatrywaniem się w nie jak wierny pies.

15

A teraz popatrzcie na Marsa.

Była czysta, jasna noc, więc Alexandra zaprosiła do siebie dziewczynki, by poobserwowały niebo, choć powinny już być w łóżkach. Powiedziała im, że to lekcja nawigacji według gwiazd. Szczerze mówiąc, była to próba przekupstwa, żeby zechciały się wreszcie wykąpać, przebrać w koszule nocne, wyszczotkować włosy i zapleść je porządnie na noc. Pachniały czystością i świeżością, a kiedy pochyliła się nad Daisy, by pomóc jej odnaleźć Czerwoną Planetę, zachwyciła się tym niewinnym zapachem. W jej piersi wezbrały czułość i ciepło.

Wystarczyło kilka tygodni, żeby zaczęło jej zależeć na tych dziewczynkach. I to bardzo. Miała wrażenie, że kiedy z nimi pracuje, cofa się do czasów, kiedy sama była sierotą i czule obejmuje tę osamotnioną dziewczynkę, dodając jej otuchy: Nie martw się. Wiem, że teraz jest ci ciężko. Bardzo ciężko. Ale jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Wszystko się dobrze skończy.

Ale kiedy objęła ramionka Daisy i przytuliła policzek do słodko pachnących włosów dziecka, ogarnął ją lekki niepokój. Czy w szkole ktoś się o nie zatroszczy, przytuli i pocieszy?

– Nic nie widzę – poskarżyła się Daisy. – Wszystko jest zamazane.

– Naprawdę? Daj mi popatrzeć. – Alex zajęła jej miejsce przy okularze. – Może powinnam przeczyścić soczewkę.

Ale zanim zdążyła dobrze się przyjrzeć, usłyszały, że pod domem zatrzymuje się jakiś pojazd.

Jeden rzut oka wystarczył, żeby potwierdzić jej podejrzenia. Pan Reynaud zajechał pod dom swoim faetonem – i to nie sam. W nocnym powietrzu zadźwięczał lekki, kobiecy śmiech i wdarł się przez otwarte okno do jej pokoju. Alex miała ochotę trzepnąć go jak nieznośnego komara.

– Och, Reynaud – odezwała się dama nieśmiało. – Prawdziwy szatan z ciebie.

Fuuuj.

Pomógł damie wysiąść z wysokiego powozu. Potknęła się na bruku, więc złapał ją w ramiona.

Alex podniosła oczy do nieba na ten oczywisty podstęp.

Tak ją zajął ten widok, że zapomniała o dziewczynkach. Okazało się, że one też z ciekawością przyglądają się scenie na dole. Rosamund skierowała teleskop na ulicę.

– Wrogi statek na zawietrznej! O la la, i to jaki fikuśny!

– Pokaż no. – Alex przejęła instrument i przyjrzała się damie. Teleskop przybliżył ją tak, jakby stała tuż obok. Miała złociste włosy, zaczesane elegancko do góry, a jej suknia z fioletowej satyny miała taki sam odcień jak sięgające łokci rękawiczki. Na szyi błyszczały klejnoty.

Daisy wychyliła się z okna.

– Jest bardzo piękna.

– Uważaj, Daisy – mruknęła Rosamund. – Bo Millicent złapie syfa.

Alex była wstrząśnięta.

– Nie powinnaś wspominać o takich rzeczach – szepnęła. – Nie powinnaś nawet o nich wiedzieć.

– Przegoniłam kilkanaście guwernantek i wyleciałam z trzech szkół, ale to nie znaczy, że nie znam życia – odparła Rosamund z uśmiechem. – Sama pani mówiła, że mając dziesięć lat można już zostać chłopcem okrętowym. A oni niejedno w życiu widzieli.

Z dołu dochodziły głębokie, uwodzicielskie pomruki. Nie słyszała słów, ale zamiary były jasne.

W jej sercu zapłonęła uraza. Co za łajdak. Jak on śmie obwozić swoje kochanki pod nosem dwóch niewinnych dziewczynek! No dobrze. Pod nosem Rosamund i jednej niewinnej dziewczynki.

– Dość tego. – Zamknęła teleskop. – Jazda do łóżek.

– Jeszcze nie – sprzeciwiły się błagalnie.

– Dokończymy kiedy indziej. – Alex starała się je zapędzić do sypialni. – Nie mogę pozwolić, żebyście oglądały coś takiego i…

Z dołu dobiegł kolejny chichot.

Alex skrzywiła się na ten dźwięk.

– Po prostu nie mogę. Idźcie już spać.

– Nie – odparła twardo Daisy. – Jesteśmy piratami czy nie? Piraci nie cofają się przed niczym.

Chase próbował się wydobyć z objęć lady Chawton. Wypiła trochę za dużo szampana, więc jej uściski były pozbawione wdzięku i godności.

– A teraz będę z tobą robić różne wyuzdane rzeczy – szepnęła gardłowo. – Przez. Całą. Noc.

– Całą noc?

– Och, taaak.

Chase westchnął. Nie planował całej nocy z tą kobietą, tylko parę godzin.

A najlepiej wcale.

Nie tak to sobie zaplanował. Winifred była niewątpliwie bardzo piękna. Flirtowali ze sobą od lat na balach i przyjęciach, aż erotyczne napięcie między nimi zaczęło dochodzić do szczytu. Ale nigdy nie złożył jej konkretnej propozycji, jakby oszczędzał ją na specjalną okazję. Co za niepokojąca myśl.

Albo raczej na wypadek palącej potrzeby. Nigdy jeszcze tak rozpaczliwie nie potrzebował zdrowej, sportowej zabawy w łóżku.

Tylko że teraz miał ochotę zrezygnować. Z jakiegoś nieznanego powodu przestał być w nastroju.

Nie. Z konkretnego powodu.

W sumie to nie był duży powód. Raczej drobny. Miał krucze włosy i oczy, które potrafiły pochłonąć cały pokój. Ten powód dotykał go tak czule jak nikt na świecie, a jego głos układał się w powietrzu miękko jak pasma dymu.

– Reynaud?

Drgnął, zaskoczony.

Winifred wydęła usteczka.

– Wejdźmy już do domu. Zimno mi. – Przytuliła się do niego i zadygotała teatralnie.

Noc była wyjątkowo ciepła, nawet jak na lipiec.

– Może się przeziębiłaś, kochanie. – Gestem nakazał stajennemu, żeby nie odprowadzał jeszcze koni do stajni. – Jeśli źle się czujesz, odwiozę cię do domu. Spotkamy się kiedy indziej.

– Nie marudź. – Objęła go za szyję i zakołysała się w jego ramionach jak wahadło. Naćpane wahadło. – I tak kazałeś mi czekać za długo. O wiele za długo.

– To co ci szkodzi poczekać jeszcze parę dni? Tym słodsze będzie spełnienie. – Próbował odczepić jej dłoń od swej szyi, ale kiedy ją zdjął, objęła go drugą. Zaczął się zastanawiać, czy ma na tych fioletowych rękawiczkach przylgi, jak ośmiornica na mackach.

– Jak ty się ze mną okrutnie drażnisz. – Upadła mu na pierś i szepnęła do ucha złowróżbnym tonem: – Uważaj, bo odwzajemnię ci się tym samym. – Palcem w satynowej rękawiczce powiodła po jego uchu. Przyjemna pieszczota, ale raczej nie obudziła w nim gorących żądz. Co gorsza, potem wsadziła mu palec do ucha, i to całkiem głęboko. Zaczęła nim dłubać i kręcić.

– Podoba ci się to, łobuziaku? – zamruczała.

Szczerze mówiąc, nie. Wcale a wcale.

Szarpnął ją za rękę. Palec wyskoczył z jego przewodu słuchowego z odgłosem korka wydobywanego z butelki.

Dosyć tego. Koniec wieczoru.

Po pierwsze, Winifred była pijana.

Po drugie, jej gra wstępna była co najmniej dziwna. Kiedy indziej może by mu to nie przeszkadzało. W różnych okresach swojego życia lubił jeszcze dziwniejsze rzeczy. Ale dziś nie miał na nie ochoty.

Po trzecie i najważniejsze, nie potrafił zapomnieć o pannie Mountbatten. Oczywiście, mógłby wymazać ją z myśli, sapiąc i pocąc się w objęciach innej kobiety. Ale to nie było w jego stylu. Chase lubił myśleć o sobie jako o mężczyźnie, który zbyt szanuje kobiety, żeby kochać się z jedną z nich, myśląc o innej. Był na to zbyt dumny. Poza tym zdawkowe romanse nadwątliłyby jego reputację – która lśniła jak lustro, wypolerowana muśnięciami dłoni, warg i języka.

Położył jej rękę na ramieniu i odepchnął lekko, ale stanowczo, by stanęła od niego w pewnej odległości.

– Słuchaj, Winifred…

Uciszyła go, kładąc mu palec na wargach. Ten sam, którym przedtem dłubała mu w uchu.

– Ani słowa więcej, dopóki nie znajdziemy się nadzy w łóżku i nie dotknę ustami twojego…

Chase nigdy już nie miał się dowiedzieć, czego Winifred zamierzała dotknąć wargami. Zanim dokończyła tę myśl, wydała pisk tak przenikliwy, że mógłby ciąć szkło, a on sam zaczął się krztusić.

Zimno. To było pierwsze wrażenie, jakie do niego dotarło.

Następnym była wilgoć.

Struga wody trafiła ich oboje. Odgarnął dłońmi włosy i spojrzał w górę. W jednym z okien dostrzegł Rosamund i Daisy z pustymi wiadrami w dłoniach.

– Och, tak mi przykro! – zawołała Rosamund. – Musiałyśmy wylać wodę z zęzy.

– Za dużo tu szczurów – krzyknęła Daisy przez złożoną w trąbkę dłoń. – Mamy dżumę na pokładzie.

– Och, te małe… – Chase tylko warknął, zamiast skończyć zdanie. Już on im da dżumę. Niech się lepiej ukryją w szczurzej norze.

Winifred wrzeszczała w najlepsze. Jej elegancko utrefione, złociste loki przykleiły się do twarzy, zasłaniając oczy. Odgarnęła je dłońmi w rękawiczkach. Cała trzęsła się z przerażenia.

Chase dostrzegł szansę ucieczki i skorzystał z niej natychmiast. Zrzucił z ramion surdut, założył jej na ramiona i odwrócił ją w kierunku faetonu.

– Lady Chawton musi szybko wrócić do domu – polecił stangretowi.

Nie wiadomo, czy sprawił to dodatkowy ciężar wody, czy też udawana bezwładność Winifredy, ale dopiero połączonym wysiłkiem Chase’a i stajennego, którzy raźno podrzucili ją na raz-dwa-trzy! – udało się załadować nieszczęsną damę do faetonu. Chase stoczył zwycięską potyczkę z chmurą fioletowej satyny i muślinu, upchał to wszystko w powoziku i zatrzasnął drzwi.

Stajenny wskoczył na kozioł, a Chase podał mu adres.

– To był bardzo miły wieczór – zawołał, machając jej na pożegnanie.

Potem odwrócił się na pięcie i szarpnięciem otworzył drzwi.

Cztery piętra. Szedł powoli, donośnie tupiąc na każdym stopniu, żeby te szatańskie pomioty słyszały jego kroki i każdy witały rosnącym przerażeniem.

– Rosamund i Daisy Fairfax! – ryknął. – Pakować walizki i jazda na Maltę!

Tyle że nie dotarł nawet do drzwi pokoju dziecinnego. Na trzecim piętrze ktoś stanął na drodze jego marszu zagłady.

To była panna Alexandra Mountbatten.

16

Wygląda jak mokry kocur, pomyślała Alex. Mokry, gniewny, dziki i bardzo, bardzo duży kocur. Albo raczej tygrys, lew, jaguar, albo…

– Panno Mountbatten – warknął. – Proszę się odsunąć.

– Chwileczkę. – Rozłożyła ramiona, tarasując całą szerokość schodów, od poręczy do ściany. – To nie była ich wina.

– Nie ich wina? – Machnął ręką ku sufitowi, ochlapując ją wodą. – Chcesz mi powiedzieć, że był tam ktoś jeszcze? I że ci winowajcy pozostali na wolności? Zaraz zawołam policję z Bow Street.

Alex opuściła rękę i wytarła z twarzy kropelki wody.

– Widziałem w oknie Rosamund i Daisy – dodał. – Z wiadrami w rękach. Co oznacza, że to była na pewno ich wina.

– Tak, ale nie całkiem. Ja też tam byłam, ale ich nie powstrzymałam.

– Nie powstrzymałaś ich. – Każde słowo wypowiadał z takim naciskiem, jakby stanowiło kolejny punkt na liście ciężkich przestępstw.

– Tak jest. Dlatego, że… – Zabrakło jej odwagi.

Bo byłam zazdrosna. Irracjonalnie, niewypowiedzianie zazdrosna. Tak bardzo, że czułam się, jakbym miała stopy w ogniu.

– Dlatego, że moim zdaniem zasłużyłeś sobie na to – dokończyła, zadzierając podbródek. – Jak ci nie wstyd otwarcie romansować w ich obecności?

– Nie twoja sprawa.

– Te dzieci to moja sprawa. Przecież one się domyślają, że sprowadzasz sobie kobiety do tej… jamy libertyna.

– Jama Libertyna? Aha, mamy nową nazwę. – Przecisnął się obok niej, zagłębił się w korytarz i zniknął w drzwiach, które prawdopodobnie prowadziły do jego sypialni.

Po chwili wahania poszła jego śladem, wsunęła się przez drzwi i zamknęła je za sobą. Byli dwa piętra poniżej pokoju dziecinnego i z drugiej strony domu, ale i tak ściszyła głos.

– Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać na ten temat.

– Nie ma o czym rozmawiać. Wiem, że jestem fatalnym opiekunem. Wiem, że ten dom to żywy pomnik rozpusty. Dlatego cię zatrudniłem. Żebyś je nauczyła przyzwoitego zachowania. A nie po to, żebyś mnie dręczyła.

– Dręczyła? Kiedy ja cię dręczyłam?

– Poza dzisiejszym dniem? – Zaczął majstrować przy guziku kamizelki. – O każdej godzinie dnia i nocy, od chwili, gdy przestąpiłaś mój próg.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Odpowiedział sceptycznym spojrzeniem.

– Naprawdę? W takim razie rozumiem, że turlanie się po podłodze w pokoju dziewczynek i macanki w Tower w ogóle nie dały ci do myślenia.

Alex zaczęła rozumieć jego strategię. Zwierzał jej się ze swego pożądania, maskując w ten sposób potrzeby serca i duszy. Tym razem nie da się nabrać.

– Przecież powiedziałeś, że…

– Wiem, co powiedziałem. – Podszedł do niej jednym długim krokiem. – Mówiłem, że nawet mi do głowy nie przyszło, by cię uwieść. – Odsunął jej warkocz i szepnął chrapliwie do ucha: – Skłamałem.

Odsunął się. A ona tkwiła jak wrośnięta w podłogę.

– Myślałem o tym właściwie od samego początku. A po tamtej rozmowie przez mój mózg przeszło tyle różnych wszetecznych myśli, jakby był

najbardziej ruchliwym skrzyżowaniem tego miasta. Cała kawalkada erotycznych fantazji. Prawie zawsze jesteś w nich naga, a od czasu pewnego zdarzenia w pokoju dziewczynek pewną rolę odgrywają w nich sznury.

Ojej.

Alex potrzebowała kilku chwil, żeby dojść do siebie po tych rewelacjach.

A raczej kilkunastu chwil.

A najlepiej całego roku.

Tylko że Chase nie dał jej nawet sekundy.

– Jak myślisz, dlaczego sprowadziłem tu Winifred? Bo myślałem, że dzięki temu wypędzę z myśli pewną guwernantkę. – Zaklął pod nosem. – Świetnie mi poszło, co? Nawet nie potrafię się zdobyć na to, by wyprosić cię z tego pokoju.

Alex zakręciło się w głowie. Naprawdę myślał o niej tak często i w taki sposób? Nie śmiała nawet zastanawiać się, co to może znaczyć. Powiedziała tylko:

– To nie było uczciwe wobec Winifred.

– Tak, wiem. – Odrzucił na bok rozpiętą kamizelkę, ściągnął przez głowę mokrą koszulę i cisnął na stos odzieży. – Właśnie miałem ją odesłać do domu, kiedy razem z dziewczynkami oblałaś mnie tym… tym czymś. – Z niepewną miną przeciągnął dłońmi po umięśnionym, lśniącym torsie.

– Wodą po kąpieli.

– Czyją?

Zagryzła kącik ust.

– Moją.

Zaśmiał się gorzko.

– Jasne. Oczywiście, że twoją. Dobrze mi się zdawało, że poczułem kwiat pomarańczy.

Woda z kwiatem pomarańczy. Czy to znaczy, że zapamiętał zapach jej perfum?

Nie wyobrażaj sobie za wiele, napomniała się w myślach. To normalne, że zapamiętał twój zapach. Podobnie jak perfumy wszystkich swoich znajomych, tak samo jak kiper potrafi wyczuć w winie Bordeaux wiśnie albo lawendę. Taki talent zawsze rozwija się na gruncie szerokich, bogatych doświadczeń.

– Chyba już rozumiem, dlaczego jesteś taki szorstki dla tych małych – stwierdziła. – Skoro tak traktujesz kobiety, pewnie masz jeszcze z tuzin nieślubnych dzieci, o które też wcale nie dbasz.

– Mylisz się. Na pewno ich nie mam.

Ściągnął z wieszaka ręcznik i porządnie wytarł sobie głowę. Alex przełknęła ślinę, oszołomiona widokiem jego mięśni, prężących się pod skórą.

– Jak możesz być pewny, że nie masz żadnego potomstwa?

– Bo bardzo uważam, żeby go nie mieć.

– Przecież ani gąbki, ani kondomy nie dają całkowitej pewności.

– Właśnie dlatego na nich nie polegam. Po prostu nie stosuję pewnych pozycji.

– Jakich pozycji?

– Wszystkich, które wymagają wsunięcia mojego… – Wskazał ręką na swoje krocze. – Mojego męskiego członka.

– Twojego męskiego członka. Czy rozmawiamy o jakimś masońskim stowarzyszeniu, czy też masz na myśli swój penis?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Jesteśmy dorośli. Jeśli chcesz ze mną rozmawiać o takich sprawach, to równie dobrze możesz używać normalnych słów. Nigdy bym cię nie posądzała o taką pruderię.

– Nie jestem pruderyjny. Chronię twoją niezwykłą kobiecą wrażliwość.

– Nie rozwinęła się aż tak bardzo, żeby trzeba ją było chronić. Zważywszy, że wczoraj napierałeś nim na moje ciało, moglibyśmy dać już

sobie spokój z eufemizmami. Mów dalej, proszę. Rozmawialiśmy o twoim penisie.

Zacisnął szczęki i podszedł do niej blisko.

– Skoro tak bardzo lubisz mówić wprost, to rozmawialiśmy o moim fiucie. I o tym, że nigdy nie wsadzam go w mokrą, ciasną kobiecą piczkę aż po jaja. Właśnie dlatego mogę z całą pewnością powiedzieć, że nie spłodziłem żadnych bękartów.

Zamilkła na moment, zaszokowana jego słowami. Dokładnie tego chciał. Cała ta scena była niewypowiedzianie skandaliczna – guwernantka sam na sam z półnagim panem domu, w jego sypialni. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Chciał ją zastraszyć, żeby uniknąć jej pytań. I własnych odpowiedzi.

Uśmiechnął się, ukłonił, podszedł do barku i wyjął zeń karafkę brandy.

– Nie chcesz… nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jesteś prawiczkiem – powiedziała, kręcąc głową ze zdziwieniem.

– Nie chcę. W młodości popełniłem trochę głupstw. – Zamilkł i nalał sobie brandy. – Ale teraz dałem sobie z nimi spokój.

Niski tembr jego głosu przeszywał ją do szpiku kości.

– Mam jedną życiową zasadę – powiedział. – Żadnych związków. Nie utrzymuję kochanek. Nie chcę ryzykować posiadania nieślubnego potomstwa. Poza tym nie życzę sobie leczyć rtęcią pewnych oczywistych dolegliwości. Ponieważ, czy tego chcę czy nie, z czasem Jama Libertyna stanie się książęcym gabinetem. Jestem marną namiastką szlachcica, ale mogę się przynajmniej postarać, by dobra książęce nie musiały utrzymywać dzieci z nieprawego łoża, żeby nie dawać powodów do szantażu i nie chorować na syfilis. Więc unikam…

– Współżycia.

– Rżnięcia. Tak jest. – Wychylił łyk brandy. – Jeśli myślisz, że to zwierzenia, nie pochlebiaj sobie. Moja wstrzemięźliwość jest ogólnie

znana. Jak myślisz, dlaczego jestem tak popularny wśród dam? Bo rozwinąłem inne umiejętności.

– Jakie inne… – przerwała, ale było za późno. Jej ignorancja została obnażona. Podobnie jak jego naga, umięśniona pierś.

– Aha, to znaczy że guwernantka jest jednak trochę naiwna. Przyjemność można sobie dawać na różne sposoby, Alexandro. Jest ich bardzo wiele. – Przesunął wzrokiem po jej sylwetce. – Chcesz wiedzieć jakie?

Nie odwracając od niej spojrzenia, wypił brandy do końca.

Alexandra poczuła, że opuszczają ją resztki odwagi. Nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Jej wzrok wędrował tam, gdzie nie powinien. Ku odzieży, którą Chase z siebie zrzucił. Ku zamkniętym drzwiom. W stronę łóżka.

– Trzeba kupić Daisy okulary – rzuciła pośpiesznie.

Potem odwróciła się i uciekła.

17

Dziewczynka złapała rybę na wed… wek…

– Wędkę – poprawiła ją dyskretnie Alex.

– Dziewczynka złapała rybę na wędkę.

– Doskonale, kochanie. Dalej.

Po dopasowaniu okularów Daisy przerobiła elementarz jak burza. Od dawna rozumiała związek między dźwiękami i pismem, tyko po prostu nie widziała dobrze liter.

Elementarz wymagał pewnych poprawek. Oryginał został napisany przez niejakiego pana Browne, który cierpiał na pożałowania godny brak wyobraźni. Wszystkie ciekawe rzeczy robili tam chłopcy, a dziewczynki ciągle siedziały w domu. Bez trudu udało się temu zaradzić za pomocą nożyczek i kleju.

Daisy przewróciła stronę.

– Chłopiec zmy-wa statki.

– Doskonale.

Rosamund też robiła spore postępy. A nawet jeśli coś jej nie szło, przynajmniej przestała wszystko utrudniać jak uparty muł, który blokuje drogę. Już przedtem dosłownie pożerała książki i doskonale radziła sobie z matematyką, jak na swój wiek. Właściwie nie potrzebowała żadnych lekcji. Potrzebowała natomiast rzeczy, o które nigdy by sama nie poprosiła i tylko czasem się na nie zgadzała, choć niechętnie. Takich rzeczy, jak pochwały

albo serdeczne poklepanie po ramieniu. Alex wciąż pracowała nad odwzajemnianiem uścisków.

Ogólnie rzecz biorąc, była zadowolona. Do jesieni czekało je jeszcze mnóstwo pracy, ale obie dziewczynki robiły duże postępy.

Do tego dochodził Chase.

Jego romans z Winifred skończył się niczym, ale jako antidotum okazał się całkiem skuteczny. Chase z powodzeniem unikał spotkań z Alex. Poza obowiązkowymi porannymi kondolencjami (ostatnio nieszczęsna Millicent oddała ducha z powodu skrofułów), nie widziała go od tygodnia.

Dziewczynki również.

Nawet gdyby Rosamund i Daisy nauczyły się na pamięć całej encyklopedii, i tak nie byłyby gotowe do pójścia do szkoły. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli nie będą miały kochającego domu, który by na nie czekał. Tylko jedna jedyna osoba mogła im to dać. A ta osoba albo pracowała z panem Barrowem, albo tłukła w coś młotkiem w swojej Jamie Libertyna.

Alex zdawała sobie sprawę, że jest dla niego pociągająca, ale chyba jej urok nie był aż tak nieodparty… Może powinna poszukać jakiegoś sposobu, by go do siebie zniechęcić. Na przykład jakąś paskudną chorobę skórną. Daisy z pewnością znajdzie coś odpowiedniego.

– Co to? – Daisy wierciła się na jej kolanach. Chwyciła wstążkę, którą Alex miała na szyi, i wyciągnęła zza dekoltu ozdobiony koralikami krzyżyk. – Nigdy pani tego nie zdejmuje.

– Dostałam te koraliki od matki. – Alex rozwiązała wstążkę. – Obejrzyj je sobie, jeśli chcesz.

Daisy przesunęła paluszkiem po koralikach.

– Dlaczego nie nosi go pani na prawdziwym łańcuszku?

– Guwernantek nie stać na złoto.

Mimo to bardzo o nie dbała – każdy był osobno przywiązany, a wstążkę zawsze wymieniała co trzy miesiące, żeby się nie przetarła.

– To *corales* – powiedziała do Daisy. – Prawdziwe korale. Tam, gdzie się urodziłam, matki robią z nich bransoletki i zawiązują dziecku na rączce. – Wzięła Millicent i pokazała gdzie, owijając wstążkę w miejscu, w którym drewniana dłoń lalki stykała się ze szmacianą kończyną. – W taki sposób. To dla ochrony.

– Dla ochrony? – Sceptyczne pytanie napłynęło z miejsca, gdzie siedziała Rosamund. Ewidentnie przysłuchiwała się ich rozmowie. – Niby przed czym?

– Przed różnymi strasznymi rzeczami. Chorobą. Złym okiem. *Aswangą*, czyli czarownicą. Wszędzie przecież kryje się mnóstwo przerażających stworzeń. Chociażby taka *manananggal*.

– Magana…. Co takiego?

– *Manananggal* – poprawiła ją Alex mrocznym, tajemniczym tonem. – To wampirzyca, która potrafi się podzielić na pół. Jej nogi zostają w ziemi jak pień drzewa, a reszta ciała odlatuje w noc. Wnętrzności rozwijają się jak lina i wyrusza na polowanie. Atakuje matki i ich dzieci. Kładzie się na dachu domu. Ma bardzo, bardzo długi język i tym językiem sięga do śpiącej ofiary… wsuwa go do gardeł i wypija krew.

– Nie przejmowałabym się nimi za bardzo – odparła Daisy. – Wnętrzności mają tylko siedem metrów, a Filipiny są o wiele dalej. Żadna „manananа” do nas nie doleci.

– Może i nie.

– Też mam naszyjnik po mamie. – Daisy podreptała do skrzyni, która czasem była skrzynią ze skarbami, a czasem kryptą Millicent. Rosamund czujnie obserwowała, jak siostra przegląda jej zawartość i wyjmuje niewielkie pozłacane pudełeczko z francuskimi wzorami malowanymi na porcelanie.

Daisy wróciła, otworzyła pudełko i wyjęła złoty medalion na cienkim łańcuszku.

– Proszę.

– Jaki śliczny – powiedziała Alex.

– To sekretnik – objaśniła dziewczynka z dumą. Otworzyła zatrzask i pokazała jej malowaną miniaturkę. – Nasza mama.

Alex wzięła medalion z jej ręki, żeby się przyjrzeć z bliska.

– Jaka piękna!

– Och, tak. Była bardzo piękna. Cudnie śpiewała i umiała grać w karty. Była bardzo mądra. Zawsze wiedziała, jak pomóc na ból brzucha albo kaszel.

– Lepiej by było, gdyby nie wiedziała takich rzeczy – mruknęła Rosamund.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała Alex.

– Bo przez to umarła. Pomagała opiekować się chłopcem sąsiadów, kiedy miał gangrenę gardła. Wyleczyła go, ale sama zachorowała. Czyli że wcale nie była taka mądra.

– Była – rozzłościła się Daisy.

– Nie powinna tam chodzić. Wszyscy wiedzieli, co się stanie. To była głupota z jej strony.

– Rosamund – napomniała ją łagodnie Alexandra.

Daisy skoczyła na równe nogi.

– Nie możesz tak mówić! Cofnij te słowa.

– Nie cofnę. – Rosamund odrzuciła książkę i wstała. – Taka jest prawda. Mama była głupia i beztroska. Wolała wyleczyć tego chłopaka niż żyć, żeby opiekować się nami.

– Wcale tak nie było! – wykrzyknęła Daisy przez łzy. – Jesteś podła, okropna i nienawidzę cię!

– A ja nienawidzę jej. – Rosamund wyrwała Daisy medalion i odrzuciła go precz. Odbił się od ściany i upadł na podłogę. Dziewczynka przez chwilę stała jak wryta, oddychając urywanie i wpatrując się w ścianę. Wyraźnie walczyła ze sobą, by nie wybuchnąć płaczem.

Alex podeszła do niej ostrożnie.

– Rosamund.

– Nie. – Dziewczynka odsunęła się, unikając dotyku. – Niech mnie pani nie rusza. I Daisy też niech pani zostawi w spokoju. Niech pani nie odgrywa jej matki. Pod koniec lata pani odejdzie. I wcale nie będziemy za panią wtedy tęsknić.

Wybiegła z pokoju. Daisy usiadła w kącie, podciągając kolana pod brodę, ukryła głowę w ramionach i cicho łkała.

Alex bardzo by chciała pocieszyć je obie, ale dobrze pamiętała z własnego dzieciństwa, że straty rodziców nie da się zaleczyć ani słodyczami, ani uściskami. Dziewczynki potrzebowały czasu i poczucia bezpieczeństwa. Takiego, które pozwala się wykrzyczeć, wyzłościć i wypłakać bezkarnie. Przy niej przynajmniej nie musiały udawać, że nie cierpią. To jedno mogła im dać – przynajmniej przez kilka następnych tygodni.

Znalazła medalion i obejrzała go dokładnie. Na szczęście nic mu się nie stało po uderzeniu o podłogę. Zatrzask trochę się skrzywił, ale udało jej się go delikatnie wyprostować. Włożyła naszyjnik do francuskiego puzderka i schowała je do skrzyni w nogach łóżka. Szukając tego skarbu, Daisy zrobiła straszny nieporządek, rozrzucając zabawki i koce, którymi wypełniono skrzynię. Alex wyjęła wszystko, żeby zrobić tam porządek od podstaw.

Kiedy dotarła do samego dna, natrafiła na tajemnicze zawiniątko, mniej więcej wielkości imbryka, ciasno owinięte brezentem i sznurkiem.

Związanym na węzeł hakowy.

Alexandra z namysłem przesunęła palcem po sznurku. Dzieci potrzebowały prywatności, tak samo jak dorośli. Wtykanie nosa w ich tajemnice mogłoby naruszyć kruche zaufanie, którym ją obdarzyły. Postanowiła odłożyć zawiniątko na samo dno, tak jak je znalazła, i nie wspominać o nim nikomu.

Ale potem zmieniła zdanie.

Poczuła niepokój w żołądku, tak silny, że dosłownie nie mogła odejść od tej skrzyni. Zrozumiała, że nie spocznie spokojnie, dopóki nie dowie się, co jest w tej paczce.

Pośpiesznie spojrzała przez ramię na Daisy, potem rozwiązała węzeł i uważnie rozwinęła brezent. Zawartość sprawiła, że ścisnęło jej się serce.

Było w nim wszystko, czego mogłyby potrzebować dwie dziewczynki, gdyby postanowiły uciec z domu.

Głównie pieniądze. Alex przeliczyła je szybko i w sumie było tam ponad dziesięć funtów. Imponująca suma, ewidentnie systematycznie podkradana Chase'owi z kieszeni przez ładnych parę miesięcy.

Dobry Boże. Rosamund ciągle wspominała o planach ucieczki, ale Alex była przekonana, że to żart. Ale przygotowany przez małą zestaw wyglądał całkiem poważnie.

Oprócz sakiewki znalazła tam książeczkę z rozkładami jazdy dyliżansów, mapy Londynu i Anglii, krzesiwo i hubkę, składany nóż, kłębek sznurka i kompas. Ten sam, który zaginął kilka tygodni temu. Jak widać, wcale nie zaginął, tylko znalazł drogę do zasobów Rosamund.

Na końcu znalazła podstawowe przybory do szycia. Kartonik z igłami, nitkę i małe nożyczki. Skwitowała to gorzko-słodkim uśmiechem. Przynajmniej udało jej się przekonać Rosamund, że szycie ma sens.

Pośpiesznie zawinęła rzeczy z powrotem, układając je starannie, tak jak je znalazła, a potem zawiązała taki sam węzeł. Schowała wszystko na dnie skrzyni i zamknęła wieko.

Jedno było jasne. Będzie musiała zdwoić wysiłki, by przekonać Chase'a. Nie zdradzi zaufania Rosamund, które i tak było chwiejne, i nie powie Chase'owi o tym zawiniątku, ale da mu do zrozumienia, że gra idzie o coś więcej, niż mu się wydaje. Rosamund była sprytna i zdecydowana. Jeśli postanowi zabrać Daisy i uciec, nie pomoże żadna sroga dyrektorka szkoły – ani nie zdoła ich powstrzymać, ani nie zdąży odszukać. Zgromadziły dość pieniędzy, żeby dojechać w dowolne miejsce w Anglii, a może i dalej.

Jeśli Chase nie będzie ostrożniejszy, jego decyzja o odesłaniu dziewczynek do szkoły może oznaczać, że je straci. Na zawsze.

18

Ostatni gwóźdź wszedł w ścianę z satysfakcjonującym stuknięciem.

Zrobione.

Chase ściągnął koszulę przez głowę i najpierw wytarł sobie nią twarz, a dopiero potem rzucił w kąt. Teraz cofnął się o krok, by lepiej podziwiać swoje dzieło.

Jego męski azyl był wreszcie skończony. Teraz należało go ochrzcić. Przez czas budowy zebrało się mnóstwo pomysłów: Jaskinia Cielesnych Uciech, Jama Libertyna, Pałac Namiętności.

Ostatnio miejsce to było jednak świątynią autoerotyzmu. Od czasu, gdy w jego domu zagościła Alexandra Mountbatten, nie dzielił go z nikim, jeśli nie brać pod uwagę jego własnej ręki. Szczerze mówiąc, była obecna nawet wtedy, gdy sam się zadowalał – naturalnie duchem, w jego wyobraźni.

Miał wrażenie, że w chwili, gdy przeszła przez te drzwi, z tymi swoimi starannie upiętymi ciemnymi włosami, ze sfatygowaną torbą w dłoni, nieodwołalnie zagarnęła to miejsce na własność. Gdy rozglądał się, podziwiając efekt kilku tygodni pracy, zrozumiał nagle, że miejsce, które miało służyć schadzkom bez znaczenia, nagle… nabrało sensu.

Tu było krzesło, na którym siedziała, wymieniając liczne niedociągnięcia jego charakteru.

Tu był kawałek boazerii, którą mocował, kiedy rozciął sobie kciuk i zaskoczył ją w kuchni, a wtedy ona obdarzyła go najbardziej ognistym pocałunkiem w życiu.

Tu była półka na kieliszki, którą składał w środku nocy, kiedy wszystko bolało go z pragnienia i fantazjował o tym, że przywiązał jej ciało do kolumienki łóżka i pieści je językiem od stóp do głów.

Była w każdym zakątku tego pokoju. Z trudem wyobrażał sobie, że mógłby tu wpuścić inną kobietę. Jeśli się nie pośpieszy, Jaskinię Deprawacji trzeba będzie zabić deskami, zanim jeszcze otworzy swe podwoje dla gości.

Alexandro, Alexandro. Co ja mam z tobą zrobić, do jasnej cholery?

Nic. To oczywiste. Nie mógł nic zrobić z kuszącą, maleńką guwernantką i na tym polegał cały problem.

Ktoś zastukał do drzwi. Nie otworzył. Po chwili stukanie zastąpił łomot. Wyraźnie ten ktoś po drugiej stronie był równie zdesperowany jak on. W tym momencie Chase złożył sobie przyrzeczenie.

Jeżeli ten ktoś za drzwiami to chętna kobieta, wciągnie ją do środka i będzie się z nią kochał gorąco, do ostatnich potów. I koniec.

Kiedy otworzył drzwi, natychmiast przypomniał sobie, dlaczego nigdy, przenigdy nie powinien składać żadnych przyrzeczeń.

Owszem, to była kobieta. A konkretnie Alexandra.

– Jest pan z kimś? – spytała.

Potrząsnął głową.

– Dobrze.

Weszła, nie czekając na zaproszenie, i stanęła na środku.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Wyszłam na trawnik, żeby śledzić ciało niebieskie, które na górze wychodziło już z mojego zakresu widzenia. W pośpiechu zatrzasnęłam się na zewnątrz, a noc jest wyjątkowo zimna. Dzięki Bogu, że nie spałeś. – Rozejrzała się. – I że byłeś sam.

Była tylko w koszuli nocnej. Ramiona założyła na piersi, żeby powstrzymać dygot. Wielki Boże, zdecydowanie za często widywał tę kobietę w nocnej bieliźnie. Myślał tylko o jednym: żeby zobaczyć ją bez niczego. Przez wiele dni walczył, żeby przegnać tę fantazję z umysłu, i

wszystko na nic. Ziściło się jego marzenie. Stała przed nim. Rozpaczliwie zapragnął chwycić ją w ramiona i przytrzymać, żeby nie zniknęła.

W akcie samoobrony ściągnął z szezlongu koc i okrył jej ramiona.

– Wreszcie kometa? – spytał.

– Obawiam się, że nie. – Zawahała się i zmierzyła go spojrzeniem. – Cieszę się, że cię widzę.

Jego serce wywinęło fikołka z radości. Co za wstyd.

– Nie rozmawialiśmy od jakiegoś czasu – dodała. – Dziewczynki za tobą tęsknią.

– Naprawdę? – mruknął cichym, znaczącym głosem. – A pani, panno Mountbatten? Też pani za mną zatęskniła?

Speszona, odwróciła wzrok.

Był tchórzem, że zadał to pytanie w taki sposób, choć naprawdę chciał usłyszeć odpowiedź. Bo on tęsknił za nią jak szalony.

Rozejrzała się po pokoju.

– Mój Boże. Ależ się napracowałeś! Tyle tu zmian. Wszystko zrobiłeś sam?

Wzruszył skromnie ramionami.

– Prawie.

Szczerze mówiąc, zrobił wszystko, ale nie chciał okazywać, jak bardzo zależy mu na jej podziwie i akceptacji. Powtarzał sobie, że pracuje, żeby o niej nie myśleć, ale nagle przyszło mu do głowy że chyba się oszukiwał. Może robił to wszystko właśnie dla niej. Nie żeby ją uwieść, tylko żeby zrobić na niej wrażenie. W końcu wychwalała jego umiejętności stolarskie. Nawet wymieniła je jako jedną z jego dobrych cech.

„Ma pan zręczne ręce”.

Jej wzrok padł na młotek i gwoździe, które przed chwilą odłożył na bok. Podeszła do skończonego właśnie mebla – wysokiej, szerokiej, dwudrzwiowej szafy.

– To nowy mebel? – Położyła dłoń na uchwycie drzwi.

Jasna cholera.

– Alex, stój. – Rzucił się ku niej w chwili, gdy pociągnęła za gałkę, złapał ją w ramiona i odciągnął na bok. W samą porę. Z szafy wypadła solidna konstrukcja i z trzaskiem uderzyła o podłogę.

Serce mu zabiło z emocji, że zdążył ją uratować. A potem znowu, mocniej, bo miał ją wreszcie w ramionach.

Nie spieszyła się, by się z nich wydostać. Popatrzyła na nowy element wystroju i zaśmiała się z podziwem.

– Jejku. Naprawdę robi wrażenie.

Alex oniemiała.

Łóżko.

Serio. Ukryte łóżko. To było coś więcej niż te poroża, burdelowe malowidła i aksamitne kotary. Zamaskował w szafie materac i całą konstrukcję, stawiając ją na sztorc, tak że po otwarciu drzwi rozkładało się samo – gotowe do użytku.

Genialne w swojej niemoralności.

Jego mocne ramiona wciąż ją obejmowały. Powinna pewnie podziękować, że zdążył ją pochwycić, zanim konstrukcja przygniotła ją do podłogi. Ale była zbyt oszołomiona jego wynalazkiem. Wysunęła mu się z objęć i obeszła łóżko dookoła, zaglądając pod spód, żeby zbadać jego mechanizm.

– Sam to wymyśliłeś?

– Nie jestem wynalazcą rozkładanego łóżka, jeśli to masz na myśli… ale to rozwiązanie to rzeczywiście mój pomysł.

– Gdzie się mieszczą te drewniane nogi? Szafa jest przecież za mała.

– Są złożone pod ramą. Kiedy łóżko się opuszcza, wysuwają się, żeby je podeprzeć.

– Niesamowite. W dodatku od razu jest pościelone. – Przesunęła dłonią po satynowej pościeli. Potem zajrzała do szafy. – Ojej. Wstawiłeś nawet

lustro! Naprawdę jesteś bezwstydny!

– Nigdy nie udawałem, że jest inaczej. – Stanął za nią, spoglądając na ich wspólne odbicie. – Miał być jeszcze pas zabezpieczający ramę, żeby nie zdarzył się taki wypadek jak przed chwilą. Ale nie zdążyłem go jeszcze zamocować. Dopiero dzisiaj skończyłem pracę.

Jeśli skończył ją dzisiaj, a nie spodziewał się tej nocy gości… to oznaczało, że łóżko było jeszcze nieużywane.

I bardzo dobrze.

Na myśl, że mógłby znaleźć się w tym łóżku z inną kobietą, aż zatrzęsła się z zazdrości.

Chciała go mieć na własność.

Nie mogła już temu dłużej zaprzeczać. Pozostała tylko kwestia, co zamierza w związku z tym zrobić – jeśli w ogóle coś zrobi.

Spojrzała w lustro, rozważając tę kwestię w swoim sumieniu. Wspomnienia z następnych kilku minut będą dla niej albo powodem do dumy i zadowolenia, albo głębokiego żalu. Tak czy inaczej, jej życie ulegnie całkowitej zmianie.

– Poprzedniej nocy w twojej sypialni powiedziałeś, że jest wiele sposobów dawania i brania rozkoszy. Bardzo wiele – powiedziała, odwracając się ku niemu.

– Tak jest – przytaknął powoli.

Zebrała się na odwagę.

– Więc mnie ich naucz.

Kiedy na nią spojrzał, miała wrażenie, że każdy nerw jej ciała z osobna zawiązuje się na końcu w supełek. Kiedy wreszcie się odezwał, jej psychika przypominała dywan z frędzlami.

– Chyba nie mówisz tego na serio – odparł.

– Zanim zaczniesz się ze mną sprzeczać, przyjmij do wiadomości, że wszystko przemyślałam.

– Nie wątpię – mruknął, z lekka oszołomiony.

Przeszła obok niego, kierując się do dobrze zaopatrzonego barku.

– Policzmy korzyści. – Przesunęła karafkę z whisky na jeden koniec blatu. – Między nami jest za dużo napięcia. Jeśli możemy się go pozbyć, czemuż by tego nie zrobić? Oboje jesteśmy dorośli. – Dostawiła do whisky butelkę szampana, dodając: – Ty jesteś sfrustrowany. – Obok stanęła flaszka z jabłkową brandy. – A ja zaciekawiona.

Żadnej reakcji.

– Sam powiedziałeś, że bardzo się pilnujesz, żeby nie począć dziecka i nie nabawić się chorób. W związku z tym ja też nic nie ryzykuję. – Dostawiła jeszcze kilka butelek, a potem cofnęła się o krok, by podziwiać swoje dzieło.

– Zobacz sam. Wnioski są oczywiste.

Zamrugał, przyglądając się szeregowi butelek i karafek.

– Wniosek jest taki: poślę cię do łóżka, a sam upiję się w trupa.

– Nie żartuj. Ja osobiście nie widzę żadnych argumentów przeciwko, chyba że… – spojrzała na niego nieśmiało i postawiła jedną butelkę po drugiej stronie blatu, a potem dokończyła: – …chyba że jest w tym coś złego?

Westchnął z urazą, podszedł do barku, wziął tę butelkę i postawił ją twardo pomiędzy argumentami „za”.

– Nie ma w tym nic złego.

– Albo może… – Sięgnęła po butelkę, żeby przesunąć ją na stronę negatywów. – Może ci się nie podobam. Wiem, że możesz przebierać w kochankach.

– Jasna cholera. – Jego dłoń zamknęła jej palce w żelaznym uścisku, przytrzymując butelkę na miejscu. – Dobrze wiesz, że nie dlatego się waham. Żadnej kobiety nie pragnąłem tak szaleńczo jak ciebie. Od…

Rozpaczliwie uczepiła się myślą tego niedokończonego zdania. Od kiedy?

Od tygodni? Miesięcy? Lat, dziesięcioleci, a może od zawsze?

Nie skończył go jednak. Co za nieznośny człowiek.

Puścił jej dłoń i przeszedł przez pokój.

– Alex, powinnaś poznać miłość w objęciach swojego męża. A przynajmniej kogoś, kogo pokochasz.

– Ty przecież nie jesteś żonaty. Ani zakochany.

– Nie, i nie mam tego w planach.

– Więc dlaczego ty sobie możesz romansować, a ja nie? Chyba nie dlatego, że jestem kobietą. Przecież ciągle spotykasz się z jakimiś kobietami.

– Ale z doświadczonymi.

Z doświadczonymi? Tego już za wiele. Przecież doświadczyła w życiu o wiele więcej, niż on w ogóle był sobie w stanie wyobrazić.

– Nie masz pojęcia, czego doświadczyłam w życiu. To że jestem dziewicą, nie oznacza, że niczego nie zaznałam. Zasłużyłam sobie na prawo do podejmowania własnych decyzji. Dziękuję uprzejmie.

Potarł twarz dłonią.

Podeszła do niego.

– Wiem, że nie będzie żadnych obietnic. I niczego nie oczekuję – szepnęła.

– Powinnaś ich oczekiwać. – Objął ją w talii i przesunął wzrokiem po jej twarzy, zatrzymując go na wargach. – Zasługujesz na nie. Bezwstydnie pozwoliłem, żebyś zmarnowała swoje pierwsze porywy namiętności w moich objęciach. Kiedyś poznasz mężczyznę, który obieca ci cały świat. Oraz księżyc, gwiazdy i pewnie do tego jeszcze parę komet.

To ciekawe, że wspomniał o kometach, bo właśnie w tej chwili jej serce chciało wyrwać się z piersi i nakreślić ognisty łuk na niebie.

– No cóż… – Rozejrzała się teatralnie po pokoju, wyciągając szyję, żeby zbadać każdy kąt. – Jeśli ten ideał jest chwilowo nieobecny, to wystarczysz mi ty.

– Alex…

Nie reagując, pogładziła jego policzek, rozkoszując się miękkimi, ciemnymi bokobrodami. Potem odwróciła dłoń i położyła palce na jego szyi. Ze wszystkich sił starając się odgrywać uwodzicielkę, zsunęła rękę w dół, pieszczotliwie i zmysłowo, aż dotknęła jabłka Adama i obojczyka.

Wtedy skończyła jej się odwaga.

Poczuła pod dłonią dzikie bicie jego serca. Mocny oddech unosił klatkę piersiową. Ale reszta jego ciała była kompletnie nieruchoma. Ogarnęło ją zwątpienie tak silne, że zadygotała.

Błagam cię, prosiła w w myśli. Poprowadź mnie. Zrób kolejny krok. Nie każ mi iść dalej po tej gałęzi.

Minęła cała wieczność – i nic się nie zmieniło. Miała do wyboru albo gapić się w jego ciemny, okrągły sutek, albo podjąć inicjatywę.

Zebrała resztki odwagi i uniosła głowę.

– Cha…

Zgniótł jej wargi swoimi, zanim wypowiedziała drugą sylabę. Gdy zacisnął palce na jej włosach i przyciągnął ją do siebie, ogarnęła ją słodka ulga, od której topniały nawet jej kości.

Przerwał pocałunek, ale wciąż pochylał się nad jej drobną sylwetką, tak że jego męska, potężna postać przesłoniła jej cały świat. Wszystko inne zniknęło.

Poza nim.

Odezwał się wreszcie głosem tak niebezpiecznym, głębokim i szorstkim, że powinno się go ogrodzić parkanem i postawić ostrzegawczą tablicę:

– Jeśli naprawdę chcesz lekcji rozkoszy…

– Chcę.

– To ją dostaniesz.

19

*O*ch, dzięki Bogu. Udało się.

Jednym płynnym ruchem porwał ją na ręce i położył na plecach. Potem ułożył się przy niej na boku, oparty na łokciu, i rozpoczął wykład.

– Jak już wspominałem, jest bardzo dużo sposobów. – Musnął ustami jej szyję i przesunął czubkami palców od nadgarstka do łokcia jej ręki. – Być może jeden albo dwa odkryłaś samodzielnie. W łóżku, w ciemności, z dłońmi pod nocną koszulką. Albo w tej pachnącej kwiatem pomarańczy kąpieli, w ogóle bez koszulki. Kiedy badałaś tajemnice swojego ciała, sprawdzając, gdzie gromadzi się rozkosz i którędy się wydostaje.

Skinęła głową, oszołomiona tym, co się działo.

– Ale kiedy dotyka cię ktoś inny, jest inaczej. Oczekiwanie zmienia twój krwiobieg w żywy lont. Nawet najlżejsza pieszczota jest jak iskra.

Wielki Boże. Akurat tej lekcji wcale nie potrzebowała. Jeszcze jej nie dotknął, a ona już o mało nie eksplodowała.

Położył jej dłoń na brzuchu.

– Jeśli zechcesz, żebym przestał, wystarczy, że mi o tym powiesz. Rozumiesz?

Nie była w stanie nic odpowiedzieć. A nawet oddychać.

– Alexandro. – Zmusił ją, by spojrzała mu w oczy. – Odpowiadaj, kiedy cię pytam.

Jakimś cudem udało jej się skinąć głową.

– Rozumiem.

– To dobrze. – Jego wzrok, zamglony pożądaniem, skierował się ku jej piersiom. Głos brzmiał cicho, jakby z wielkiej odległości. – Bardzo dobrze.

Jego dłoń, mocna i pokryta odciskami, zagarnęła jej pierś i zaczęła ją masować i ugniatać przez cienkie płótno koszuli. Kiedy rozchylił tkaninę, wychylił się spod niej naprężony sutek, jakby sprawił mu ulgę.

Pochylił głowę i musnął językiem bolesny z pożądania, różowy pąk. Wrażenie zaparło jej dech w piersiach.

Potem zajął się drugą piersią i zaczął obsypywać gorącymi pocałunkami jej wargi, szyję i ucho.

– Muszę cię zobaczyć całą. – Jego szept musnął jej włosy. – Pokaż mi się, Alexandro.

Skinęła głową.

Uniósł głowę i nie spuszczając wzroku z jej oczu, zaczął rozpinać koszulkę. Pierwszy guzik puścił łatwo. Pocałował odsłonięte ciało.

Ale kiedy jego palce dotknęły drugiego, nagle znieruchomiał.

– Mam lepszy pomysł.

– Naprawdę?

Ukląkł, chwycił brzegi tkaniny w dłonie i szarpnął, aż guziki poleciały na boki.

Spojrzała zdziwiona.

– Dlaczego?

– Żebym mógł ci kupić nową. Cieplejszą i ładniejszą. Godną swojej właścicielki.

Ściągnął podartą koszulę z jej ramion.

– Poza tym zawsze marzyłem, żeby to zrobić.

– Trzeba przyznać, że to było dość podniecające.

Odpowiedział jej wilczym uśmiechem.

– Dobrze. Bo wcale tego nie żałuję.

Powiódł wzrokiem po obnażonych piersiach, aż zadygotała.

– Boże, jaka ty jesteś piękna.

Zamiast ułożyć się obok, tym razem położył się na niej. Splótł swoje nogi z jej i przycisnął szerokie, muskularne udo do jej krocza. Przeszył ją dreszcz rozkoszy. Westchnęła.

Wtedy obdarzył pieszczotami całe jej ciało naraz. Ssał jej piersi, odgarnął skraj koszulki z nóg, ocierał się udem o jej kobiecość w szalonym, niesamowitym rytmie. Pożądanie ogarnęło jej ciało jak stado głodnych, dzikich bestii. Nic już nie było bezpieczne. Nie miała się gdzie skryć.

Nagle przyszło jej do głowy – z niejakim opóźnieniem – że może i ona powinna coś zrobić. Objęła go mocno za ramiona.

Zwolnił tempo, uniósł się nieco i wsunął dłoń pod koszulkę. Poczuła palce na rozdygotanym udzie. Ściągały z niego delikatną tkaninę.

Kiedy przesunął rękę do wnętrza, zajrzał jej oczy. Delikatnie, lekko musnął dłonią fałdki ciała.

Och, słodkie niebiosa.

Badał to miejsce z tą samą delikatnością, co przedtem. Nie wdzierał się do wnętrza, tylko czekał na wilgotne, czułe zaproszenie. Nakrył kciukiem nabrzmiały pączek, źródło jej rozkoszy. Poczuła, jak wsuwa w nią palec.

Napięła się i wydała cichy jęk rozkoszy.

Przerwał.

– Dalej tego chcesz?

– Tak…

Obserwował jej reakcje z takim napięciem, że ją to zakłopotało i musiała zamknąć oczy. W ciemności jej świadomość zawęziła się do słodkiej, pulsującej rozkoszy pomiędzy udami. Migotała jak płomień, rosła, rozżarzała się oślepiająco, aż…

Tak.

Jeszcze, i jeszcze raz tak.

Pieścił ją, gdy spłynęła z wysokości na ziemię. Wsunął palce w jej rozpuszczone włosy i szeptał coś tak cicho, że nie rozumiała słów, ale czuła, że były serdeczne i dobre.

Kiedy otworzyła oczy, pocałował ją w czoło.

– To było wspaniałe.

– Zdaje się, że to ja powinnam coś takiego powiedzieć.

– Owszem, też możesz, jeśli chcesz. – Uśmiechnął się zadziornie. – Nie zamierzam cię powstrzymywać.

Ułożyła się na boku i odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem.

– Ależ z ciebie niesamowity arogant. Ale zdaje się, że masz rację.

Wyciągnęła dłoń i pogładziła szeroką pierś. Potem wsunęła palce za pasek jego spodni.

Położył rękę na jej dłoni, żeby ją powstrzymać.

– A ty nie chcesz…? – Posłała ukradkowe spojrzenie w kierunku wyraźnej wypukłości na jego spodniach. – To znaczy, zdaje mi się, że ty też potrzebujesz sobie ulżyć.

– Twoja rokosz była moją rozkoszą. Nie chcę, żebyś myślała, że masz obowiązek się odwdzięczyć. Miłość to nie handel wymienny. W każdym razie nie dla mnie.

– Nie czuję się do niczego zobowiązana, tylko jestem ciekawa. Obiecałeś mi lekcję, ale ja znam swoje ciało. Nie znam tylko twojego. – Położyła dłoń na wypukłości jego spodni, przykryła nią twardy członek i przesunęła po nim palcem przez grubą wełnę.

– Mogę?

Jęknął.

– Rób ze mną, co zechcesz. Nie mam sił, by się sprzeciwiać.

Odnalazła zapięcie klapy jego spodni i rozpięła guziki. Ale potem odwaga ją opuściła.

Co teraz?

Czy ma mu ściągnąć spodnie, czy wyciągnąć członek? Czy złapać go za czubek, czy u podstawy? Jak zareagować na jego widok? Zachwycić się elegancką linią, czy też zdumiewać rozmiarami?

Kompletnie nie miała pojęcia o miłosnej etykiecie i bała się, że wszystko pokręci.

Wyczuwając jej wahanie, a może po prostu nie mogąc się doczekać, aż coś zrobi – ujął jej dłoń i wsunął w spodnie, pozwalając, by zbadała dotykiem, a nie wzrokiem to, co się tam kryło.

Od razu poczuła się lepiej.

Przede wszystkim zdumiała ją gładkość. Nie spodziewała się, że pod palcami poczuje coś tak jedwabistego i przyjemnego. Przesunęła dłonią po całej jego długości, od podstawy do czubka. Chase wydał rozdygotane westchnienie. Potem zacisnęła palce na jego twardym orężu, obejmując dłonią.

Uniósł biodra i zsunął z nich spodnie. Wzwiedziony członek wydostał się na wolność, pokazując się jej w całej okazałości. Badała go więc dalej, zafascynowana zabarwieniem główki i naczyniami krwionośnymi, które drgały pod skórą. Chase oddychał coraz szybciej i chrapliwiej, ale w dalszym ciągu pozwalał jej na te powolne, delikatne pieszczoty.

Spojrzała na niego; on także ją obserwował, marszcząc brwi i zaciskając szczęki.

Zagryzła wargi z niepewności.

– Czy to…?

Skinął głową.

– Jak najbardziej.

– Czy ja…

– Jak najbardziej. – Pogładził ją po policzku, a potem przesunął kciukiem po wargach. – Jesteś doskonała.

Odetchnęła z ulgą i odrobiną dumy.

Na czubku penisa pojawiła się kropla wilgoci. Przykryła ją kciukiem i rozmasowała po szerokiej, gładkiej główce. Zadrgał w jej dłoni. Mięśnie brzucha Chase’a były twarde jak skała.

Zamknął oczy i mruknął jakieś przekleństwo. Kiedy dotknęła go znowu, jego biodra naparły na nią i drąg mięśni targnął się gwałtownie w jej dłoni.

Nigdy w życiu nie czuła się tak potężna. Choć nic nie umiała, czuła, że potrafi zmienić tego potężnego mężczyznę w kłębek rozdygotanych nerwów. Dosłownie trzymała go w ręku.

– Naucz mnie – szepnęła. – Naucz mnie, co robić. I co lubisz.

Nakrył jej dłoń swoją i poprowadził ją w górę i w dół szybkimi, stanowczymi pociągnięciami, coraz szybciej i szybciej. Patrzyła, jak jego twarz wykrzywia grymas ni to rozkoszy, ni to bólu. Odrzucił głowę do tyłu i zacisnął powieki.

Wydało jej się, że odpłynął gdzieś daleko, w głąb siebie. Zastanawiała się, dokąd. Czy wciąż był z nią, czy z kimś innym. A może znalazł się w miejscu, gdzie nie istniały ani nazwy, ani twarze, tylko same doznania.

Nagle zacisnął zęby i wydał niski, pierwotny pomruk. Jego ciało zadygotało w chwili spełnienia. Poczuła ciepło i wilgoć na palcach. Puścił jej dłoń, a ona pieściła go lekko, równie zafascynowana miękkością jego członka, jak przedtem jego twardością.

– Alexandra – szepnął gardłowo. Wsunął dłoń w pasma jej włosów i przyciągnął jej twarz, by ją pocałować.

Niezależnie od tego, dokąd przedtem odpłynął, teraz wrócił… i był razem z nią.

Słuchając, jak uspokaja się jego oddech, rozważała, co ma zrobić dalej. Mruknąć słowo podzięki i uciec do siebie? Udać, że zasnęła, a potem wymknąć się stąd w środku nocy? Oba te rozwiązania były poniżej jej godności.

Zamiast tego ułożyła się na boku i spojrzała mu w twarz. Jeśli będzie go teraz unikać, sytuacja stanie się niezręczna. Trzeba koniecznie porozmawiać z nim o tym, co się wydarzyło.

Wpatrywał się w sufit.

– To było… niewiarygodne.

Uśmiechnęła się, ucieszona jego wyraźnym zadowoleniem i całkiem dumna z siebie.

Tylko że on na tym nie skończył.

– Zupełnie niepotrzebne – jęknął. – Niewłaściwe. Niewybaczalne. – Wstał, poprawił spodnie i sięgnął po chusteczkę, by wytrzeć dowody ich zbliżenia. – Przepraszam cię, Alexandro. Powinnaś wrócić do siebie. Ustalmy, że to się nigdy…

– Milcz. – Skoczyła na równe nogi. – Nie waż się mówić, że to się nigdy nie zdarzyło. To się zdarzyło. I cieszę się z tego. Mam nadzieję, że to się powtórzy.

– Naprawdę?

Czyżby w jego oczach błysnęła niepewność?

To niemożliwe. Zdeprawowani lowelasi nie odczuwają niepokoju ani niepewności wobec kobiet. A już na pewno nie wobec takich kobiet jak Alex.

– Naprawdę – zapewniła go. – Naprawdę tego chcę.

Chcę tego. Chcę ciebie. Chcę, żeby komuś na mnie zależało. Choćby przez chwilę.

Wiedziała, że pominęła milczeniem kilka poważnych niebezpieczeństw, jakie wiązały się dla niej z tym romansem. Chase wiedział, jak unikać ciąży i emocjonalnych związków. Ona nie była na to przygotowana – zwłaszcza na to ostatnie. Przecież przez długie miesiące wzdychała do niego, tylko dlatego, że przez chwilę prowadzili tę żałosną karykaturę rozmowy, że miał zielone oczy i uwodzicielski uśmiech. Strach pomyśleć, jakie fantazje rozwiną się w jej umyśle po kilku miesiącach takich zmysłowych lekcji.

Marzenia są tylko marzeniami. Przez resztę swojego życia będzie miała dość czasu, żeby o nich zapomnieć.

Ale, na litość boską, chyba do końca życia nie zapomni tego widoku, który właśnie roztoczył się przed jej oczami.

Patrzyła, jak Chase podnosi ramę łóżka i ciężki materac, żeby zamknąć je z powrotem w szafie. Potężne mięśnie jego ramion prężyły się jak na pokazie.

Napinały się.

Poruszały.

Igrał po nich bursztynowy blask świec.

Boże… Ależ on był przystojny.

Jęknął z wysiłku, przerywając jej zachwycone milczenie.

Hej, Alexandro. Jesteś tam? Może powinnaś mu pomóc?

Pośpieszyła, by wraz z nim upchnąć materac na miejsce, złożyć nóżki i zamknąć szafę. Potem spojrzeli na siebie, opierając się o jej drzwi.

– Czyli umowa stoi? Będą dalsze lekcje?

Zajrzał jej w oczy.

– Jesteś pewna, że chcesz?

– Jestem. To jedyne rozwiązanie. Inaczej będziemy cały czas unikać się nawzajem i wariować z frustracji. To nie będzie dobre dla nikogo w tym domu. – Rozejrzała się po pokoju. – Dzięki twojej pracowitości mamy prywatne, odosobnione miejsce do nauki.

– Będę musiał zmienić mu nazwę.

– Jaskinia Cielesnych Uciech już nie pasuje? Myślałam, że zamówiłeś tabliczkę.

– Jeśli mam cię tu uczyć, potrzebuję czegoś bardziej… edukacyjnego. Na przykład Szkoła Zmysłów. Albo Kursy Seksologiczne. A może Uniwersytet Orgazmów?

– Wszystko, byle nie Akademia Męskiej Pychy. – Uśmiechnęła się. Tęskniła za tymi gierkami słownymi. Spojrzała na półkę nad kominkiem. – Z poroża pewnie nie zrezygnujesz?

– Co masz przeciwko temu porożu?

– Tak sobie myślę, czy nie dałoby się zastąpić go czymś sympatyczniejszym. Na przykład jakimś krajobrazem. – Spojrzała na niego

z ukosa. – A może wyszywaną makatką? Temu miejscu brakuje kobiecego dotyku.

Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

– W tym pokoju jest tylko jedno miejsce, któremu brakuje kobiecego dotyku.

Och, ten jego kuszący pomruk… wyprawiał z nią niesłychane rzeczy.

– Oczywiście – powiedziała swoim najbardziej stanowczym tonem guwernantki – nie ulega najmniejszej wątpliwości, że musimy zachować absolutną, pełną dyskrecję.

– Nie martw się. O niczym się nie dowiedzą. Jak myślisz, po co ta boazeria? Dzięki niej na zewnątrz nic nie słychać. Zasłony są tak grube, że nic przez nie z zewnątrz nie widać, nawet światła. A te drzwi – wskazał głową wyjście do kuchni – mają trzy zamki.

Z tym, że żaden z nich nie był akurat zamknięty, bo drzwi nagle się otworzyły.

– Panie Reynaud? Panno Mountbatten? – Do pokoju weszła zaspana Daisy, przecierając oczy.

Alexandra odsunęła się zgrabnie od Chase’a i zasłoniła rękami rozdarcie koszuli.

– Daisy. Co za niespodzianka.

– Nie mogłam was znaleźć.

– A teraz znalazłaś. Więc chodźmy spać.

Wzrok dziewczynki wędrował od Alex do Chase’a.

– Co tu robicie na dole w środku nocy?

– Rozmawialiśmy. O… o wyszywaniu. – Rzuciła pierwszy temat, jaki przyszedł jej do głowy.

Załatwiłoby to sprawę, gdyby Chase w tej samej chwili nie powiedział:

– O porożach.

Na twarzy Daisy odmalowało się zmieszanie.

– O wyszywaniu rogami – dodał Chase z przekonaniem. – To tradycyjna lapońska technika.

Alex rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

Wyszywanie rogami? Serio?

Wzruszył ramionami.

– Jak wiesz, rozważałem różne szkoły w tym regionie. To ważna część tamtejszej edukacji. Ta rozmowa nie mogła poczekać do rana.

Alexandra podeszła do dziewczynki.

– Dlaczego nie śpisz, kochanie?

– Millicent ma kłopoty żołądkowe.

– Ojej. Trzeba będzie zaparzyć jej herbatki z rokitnika, prawda? – Spojrzała z ukosa na Chase’a. – Przyłączy się pan do nas?

– Nie, dziękuję.

Posmutniała na te słowa. Może wizyta Daisy sprawiła, że zmienił zdanie i wycofa się z umowy, zanim jeszcze cokolwiek się zdarzyło.

Ale on schylił się po młotek.

– Muszę założyć zamek. Ten czwarty.

– Och. – Uśmiechnęła się i skinęła głową. – Świetny pomysł.

20

Znowu obudziła się w nocy, rozdygotana, z wargami popękanymi z pragnienia.

Te epizody zdarzały się nieregularnie. Czasem niemal o nich zapominała i zaczynała się czuć bezpiecznie. Tylko po to, żeby potem wspomnienia zwaliły się na nią jak czyjaś okrutna zemsta. Przeszłość nie chciała wypuścić jej z pazurów, a ona od dawna zrezygnowała z walki o wolność. Pamiętała tylko o tym, by zawsze stawiać przy łóżku szklankę wody. Pośpiesznie wychyliła ją prawie całą. Zostawiła tylko tyle, by zmoczyć chusteczkę i wytrzeć pot z szyi.

Świt zaczął już się powoli skradać przez dom. Wiedziała, że już nie zaśnie, a dziewczynki obudzą się dopiero za kilka godzin. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Ponieważ nie spała, postanowiła się ubrać i po cichu zejść na dół. Choć mieszkała w tym domu od kilku tygodni, nie zwiedziła go jeszcze w całości.

Nie była nawet w bibliotece.

Miała wielką ochotę tam zajrzeć. Każdy pokój z książkami wabił ją do siebie, ale akurat ta biblioteka wzywała ją nieodpartym, syrenim śpiewem.

Miała nadzieję, choć niewielką, że gdzieś na tych półkach znajdzie swój utracony egzemplarz *Katalogu gromad gwiezdnych i mgławic* Messiera. Książkę, która wypadła jej z ręki podczas tamtego zderzenia u Hatcharda.

Wyobrażała sobie potem, że on zawsze ją nosi przy sobie, z nadzieją, że kiedyś się jeszcze spotkają.

Aż się skrzywiła na to wspomnienie.

Zaczęła poszukiwania od najniższej półki, przeglądając wszystkie książki. Potem przeniosła się wyżej. Przy czwartej półce musiała stawać na palcach, żeby odczytać tytuły. Piąta, najwyższa, była kompletnie poza jej zasięgiem.

Rozejrzała się za schodkami albo stołkiem, ale bez powodzenia. Przysunęła więc do biblioteczki otomanę i wspięła się na oparcie.

Tak było o wiele wygodniej.

– Dzień dobry.

Drgnęła i jej stopy obsunęły się z otomany. Zacisnęła dłonie na półce i przez chwilę wisiała w powietrzu. Miała tylko jedno wyjście – puścić półkę i wylądować na podłodze. Ciału nic by się nie stało, choć godność wielce by ucierpiała. Od podłogi dzieliły ją niecałe dwie stopy.

Puść ją wreszcie. Im dłużej tak wisisz, tym śmieszniej wyglądasz.

Tyle że w chwili, gdy rozluźniła chwyt, półka – i tak uginająca się pod ciężarem książek – załamała się pod dodatkowym ciężarem jej ciała.

Alex bezwładnie upadła na dywan. A potem wszystkie tomy z półki posypały się na nią.

Zwinęła się w kłębek, zasłoniła głowę skrzyżowanymi ramionami i czekała, aż przestaną spadać. Co chwila krzywiła się, gdy trafiał ją jakiś tom. Kilka większych wolumenów sprawiło, że aż jęknęła.

W końcu wszystko się uspokoiło.

Ostrożnie uniosła głowę i spojrzała w górę. Może półka wypluła już całą oprawną w skórę wiedzę, jaka na niej zalegała.

Nie. Jeszcze nie. Na górze tkwiła jeszcze jedna książka. Wspaniały, encyklopedyczny tom w szkarłatnej okładce. Alex patrzyła z przerażeniem, jak zsuwa się z półki z orzechowego drewna i mierzy prosto w jej głowę.

Uchyliła się, na ile mogła, zamknęła oczy i czekała na najgorsze. Ale zamiast bolesnego uderzenia, które pozbawiłoby ją na moment przytomności, usłyszała tylko ciche plaśnięcie.

– Dobry Boże. Powiedz mi, że żyjesz pod tą lawiną.

– Owszem, żyję – odparła smętnie. Wolałaby, żeby było inaczej. W sumie to byłaby piękna śmierć. Nie każdy odchodzi z tego świata żywcem pogrzebany w literaturze. Są gorsze sposoby. Daisy pewnie zaraz wymieniłaby z dziesięć.

Kiedy spróbowała usiąść, pomogła jej w tym czyjaś mocna, duża dłoń.

Chase.

Odrzucił encyklopedię, którą trzymał w drugiej ręce. Alex patrzyła, jak wolumen ląduje na stosie innych książek. Musiał go złapać w ostatniej chwili, zanim trafił ją w głowę.

Stwierdzenie, że uratował jej życie, byłoby pewną przesadą. Ale przynajmniej oszczędził jej przeraźliwego bólu głowy.

Przykucnął obok.

– Złamałaś coś sobie?

– Nie sądzę.

Zajrzał jej w oczy.

– Jaki mamy miesiąc?

– Lipiec.

– A dzień tygodnia?

– Środę.

– Ile masz guziczków z tyłu sukni?

– Nie mam pojęcia. Kto liczy takie rzeczy?

– Ja – dodał, wzruszając zawadiacko ramionami.

– Mogłam się domyślić. – Założyła niesforne pasmo włosów za ucho. – Nic mi nie jest, dziękuję. Po prostu mnie zaskoczyłeś.

– No pewnie. Chase Reynaud w bibliotece? Chyba zaszedł tam przez pomyłkę, po jakieś księgi rachunkowe. Kto by się nie zdziwił.

– Nie o to mi chodziło…

Machnął ręką, zbywając przeprosiny.

– Poza tym piłem wino i zabawiałem się licznymi nieczystymi myślami, więc nie oddaliłem się za bardzo od swego wizerunku. – Zniżył głos do teatralnego szeptu. – Jeśli szukałaś erotycznych powieści, są schowane za kazaniami. – Wskazał przeciwną ścianę. – O, tam. Na drugiej półce od dołu.

Zarumieniła się.

– Skądże znowu.

– Nie zgorszyłbym się. Sam je ciągle czytam.

– Obawiam się, że dzisiaj na nic by mi się nie przydały. Szukałam nowych lektur dla dziewczynek. – Uklękła i zaczęła zbierać książki.

Przyłączył się.

– Po co? Przecież parę miesięcy temu kupiłem ich mnóstwo.

Wiem, przecież byłam wtedy u Hatcharda. Wytrąciłeś mi wtedy moje książki z ręki. Pewnie byłam zresztą ubrana w tę samą suknię, co dziś.

Ugryzła się w język i nie skorzystała z okazji, by mu o tym przypomnieć. Niezależnie od tego, co robili po nocach, nic się nie zmieniło. Łączył ich przelotny, fizyczny związek. Nie wolno jej żywić nadziei na nic więcej.

– Rosamund przeczytała już wszystkie po dziesięć razy, a Daisy potrzebuje czegoś innego. Czegoś, co bardziej odpowiada jej zainteresowaniom.

Wstał i spojrzał na złamaną półkę. Przeciągnął palcem po pękniętej desce.

– Cała spróchniała – oświadczył. – Będę musiał ją wymienić.

– Doskonale. W takim razie nie muszę przepraszać. Zamiast tego możesz mi podziękować za znalezienie następnej roboty. – Wstała. – Zobacz – dodała, kartkując atlas anatomii. – To będzie doskonałe dla Daisy, która zapowiada się na lekarkę.

– Raczej na grabarza.

– Popatrz na te szczegóły. – Przysunęła się do niego i przechyliła, żeby mógł jej zaglądać przez ramię.

Pochylił się, żeby przewrócić stronę. Musnął ręką jej ramię. Poczuła ciepły oddech na uchu, jak pieszczotę.

Alex wpatrywała się w rysunek układu oddechowego, jakby miała nadzieję, że dzięki niemu zrozumie, które części jej własnej anatomii właśnie ją zawiodły. Bliskość Chase'a jak zwykle tamowała jej oddech w piersiach.

– W młodości bardzo się interesowałem anatomią – zamruczał. – Zdobywałem wiedzę przez cały czas studiów uniwersyteckich.

– Naprawdę?

– Tak jest. To było fascynujące. Ale głównie uczyłem się z życia, nie z książek. – Wyjął jej tom z ręki, zamknął go i odłożył. – Zdaje mi się, że czas na naszą kolejną lekcję.

Z tymi słowy odwrócił ją do siebie i zamknął jej wargi w gorącym pocałunku. Głaskał zaborczo całe jej ciało, pieścił piersi, uda i biodra. Budził jej zmysły tak samo, jak świt budził ziemię.

Kiedy uniósł głowę, w jego oczach zaigrał szatański ognik. Przechylił ją, aż oparła się plecami o biblioteczną półkę.

Potem ukląkł.

Całe jego ciało napięło się w oczekiwaniu. Marzył o tej chwili.

– Chase – szepnęła. – Chase, wstań.

Wstać? Chyba zwariowała. Przecież dopiero zabierał się do roboty.

Chwycił skraj jej sukni i uniósł tak wysoko, żeby móc pod nią zanurkować. Na moment zanurzył się w chmurę koronkowych halek, pachnących mydłem i krochmalem z nutą gorzkiej pomarańczy… i oszałamiającym, kobiecym, piżmowym aromatem jej skóry. Poczuł się jak w cichej, intymnej świątyni jakiejś pogańskiej boginki, przed którą klęczał jak pokorny wyznawca.

Tyle że nie zamierzał składać żadnej ofiary.

Przesunął dłonią po odzianej w pończochę łydce, zgiął jej nogę w kolanie, a potem założył sobie na ramię. Potem ujął ją za biodra i uniósł je ku sobie.

Doskonale. Teraz otworzyła się na niego, by mógł patrzeć, dotykać i całować do woli.

Potarł nosem jej udo, zachwycając się gładkim dotykiem skóry na swoim policzku. Zaczął okrywać je pocałunkami, od podwiązki w górę, ku szczelinie między nogami.

Poczuł, jak się napina.

Spróbowała wyśliznąć się z jego uścisku.

– Co ty wyprawiasz?

Uznał, że najlepszą odpowiedzią będzie demonstracja. Przesunął kciukiem po fałdkach jej waginy, rozchylił je delikatnie, potem pochylił się, czując na twarzy gorąco jej ciała. Przesunął językiem po słodkiej, jedwabistej bruździe.

Podrzuciła biodrami tak mocno, że trąciła go nogą w nerki.

– Chase. – Poczuł dotyk jej dłoni na plecach, ramionach, a potem na głowie. Próbowała go od siebie odsunąć. – Chase. Nie możemy tego tu robić.

– Oczywiście, że możemy. – Nie był pewny, czy to usłyszała, bo jego głos tłumiła suknia, a jego wargi były zajęte czymś o wiele przyjemniejszym niż konwersacja. Pieścił te rozkoszne skarby długimi, łagodnymi poruszeniami języka, żeby przyzwyczaiła się do nowych wrażeń.

Jęknęła i poruszyła biodrami.

– To strasznie niemoralne.

Uśmiechnął się pod suknią.

– I właśnie dlatego takie rozkoszne.

– Przecież lada chwila może wejść ktoś ze służby.

– Więc przestań mi przeszkadzać.

Wciąż zaciskała palce na jego włosach, ale już się nie sprzeciwiała.

Wrócił więc do przerwanego zajęcia. Znalazł nabrzmiały, twardy punkt u szczytu jej szparki i połaskotał go językiem.

Westchnęła namiętnie.

O to chodzi. Oddaj się rozkoszy. Oddaj się mnie.

Podsunął dłonie pod jej pośladki i podniósł ją ku sobie, żeby całować, ssać, lizać i skubać. Bacznie śledził jej reakcje, uczył się, jak sprawić, by wzdychała, jęczała, dygotała i wbijała paznokcie w skórę jego głowy.

– Chase.

Dźwięk tego imienia na jej wargach był najwspanialszym triumfem i uderzył mu do głowy jak wino. Nie był już anonimowym kochankiem, tylko mężczyzną, z którym dzieliła najgłębszą intymność. Mężczyzną zasługującym na jej ciało i na dzielenie z nią rozkoszy. Nawet jeśli nigdy nie będzie godny jej serca ani ręki. To mu wystarczy.

A przynajmniej będzie sobie wmawiał, że mu to wystarcza.

Zaczęła poruszać biodrami, by być bliżej, by nabrać tempa. Patrzył, jak drga mięsień na jej udzie. Wiedział, że jest już blisko.

Pozwól sobie na to, prosił ją w duchu. Zrób to dla mnie.

Jeszcze kilka ruchów języka i całkiem oddała się rozkoszy. Zadygotała i załkała, targana orgazmem, i mocno oparła się o jego ramiona. Trzymał ją mocno, aż opadła bezwładnie. Nawet wtedy nie potrafił się od niej oderwać. Przycisnął wargi do wnętrza jej uda, ssąc i gryząc, aż na delikatnym ciele pojawiły się siniaki.

Zupełnie jakby zostawił znak: „Tu był Chase Reynaud”.

Kiedy jej oddech się uspokoił i zelżało napięcie mięśni, wysunął się spod sukni i wstał, przytrzymując ją cały czas, żeby nie upadła.

Boże, ależ była piękna. Zaróżowiona szyja, pierś unoszona oddechem, zamglone oczy spoglądające spod długich, ciemnych rzęs. Włosy

zwichrzone ocieraniem się o półki. Poranne światło pomalowało jej skórę na złotoróżowy odcień.

– Jesteś okropny – westchnęła.

– A ty cudowna – odparł, całując ją w czoło, a potem w policzek. – I piękna. – Ucałował kącik jej ust. – Nieodparcie pociągająca.

Pochylił się, głodny pieszczot.

Położyła dłoń na jego piersi, żeby go powstrzymać.

Odsunął się, a potem przechylił głowę, wpatrując się w jej twarz.

– Czy coś się stało?

– Nie. – Oblizała usta. – Nic takiego. To tylko…

– Puchlina.

Odwrócił się jak fryga, sprawdzając, co jest źródłem tej nieoczekiwanej diagnozy. Co takiego?

W korytarzu stała Rosamund.

– Dziś mamy puchlinę – powtórzyła. – Pogrzeb jest już gotowy.

– Doskonale. – Przeczesał włosy dłońmi. – My tu z panną Mountbatten właśnie…

– Przeglądaliśmy książki – dokończyła Alex.

– Jasne. – Rosamund popatrzyła na nich ze zdziwieniem. – Co innego można robić w bibliotece?

– Dokładnie – podsumował Chase. – Zmykaj. Zaraz do was dołączymy.

Po wyjściu Rosamund popatrzyli na siebie z ulgą.

– Mało brakowało – powiedział.

– Bardzo mało.

– Zgadzam się.

– Wyobraź sobie, co by było, gdyby weszła trzy minuty wcześniej.

– Nie – rzucił. – Niczego nie będę sobie wyobrażał. Nie zmusisz mnie. – Odsunął się, przepuszczając ją w drzwiach.

– Masz rację. Szkoda zawracać sobie tym głowę. – Idąc, upięła na nowo włosy. – Puchlina? Serio? Myślałam, że to choroba wieku starczego.

– Wiesz, jak to mówią, śmierć nie wybiera.
Zatrzymała się na środku korytarza i wybuchnęła śmiechem.
– To było okropne – wysapała. – Po prostu niegodziwe.
– Ale cię rozbawiło, prawda?
W końcu.

21

*C*hase? Chase.

Chase oderwał wzrok od zegara.

– Co tam?

– Więc… – Barrow zmierzył go niecierpliwym spojrzeniem. – Co zamierzałeś zrobić z udziałami w tej kopalni?

– Jakimi udziałami?

– Tymi, o których rozmawiamy od godziny. Kopalni węgla. W Yorkshire. Masz jakieś kłopoty z pamięcią?

– Jasne. W kopalni węgla. Przepraszam.

Chase nie miał żadnego problemu z pamięcią. Była pełna wspomnień. Jedyny kłopot polegał na tym, że były to wyłącznie obrazy leżącej pod nim Alexandry. Nagiej, w ekstazie, zaciskającej ręce na prześcieradle. Ciałem siedział w gabinecie razem z Barrowem, ale duchem wciąż przebywał na dole, w ich azylu. Który przestał być jego męskim azylem. Przez te dwa tygodnie stał się nieodwracalnie ich wspólny.

Wyprostował się na krześle i zaczął kartkować raport.

– Nie wyzbywaj się tych udziałów. Złoże jeszcze długo się nie wyczerpie, a popyt wciąż będzie rósł.

– Zgadzam się z tym. – Barrow zanurzył pióro w atramencie i pochylił się nad biurkiem. – Chase, wiem, że nie lubisz, kiedy mieszam się do twoich prywatnych spraw, ale to jest wyjątkowa sytuacja. Musisz z tym skończyć.

– Z czym?

– Z tym, co robicie z panną Mountbatten. Cokolwiek to jest.

Chase posłał mu ostre spojrzenie.

– Skąd ci przyszło do głowy, że coś mnie z nią łączy?

– Och, przestań. – Barrow odłożył pióro. – Kiedy wchodzi do pokoju, patrzycie na siebie głodnym wzrokiem. Przecież to oczywiste.

– Wcale nie jest oczywiste.

Barrow uniósł brwi, a Chase zorientował się poniewczasie, że się zdradził.

– Nie o to mi chodziło. Nie jest oczywiste, bo nic się nie dzieje.

– Praca nad twoim męskim azylem wyraźnie zwolniła tempo. Od tygodni nie pytałeś mnie o zdanie ani w sprawie satynowej pościeli, ani erotycznych miedziorytów.

– Chciałem poznać twoją opinię na temat perfumowanych olejków – odparł beztrosko Chase – ale potem stwierdziłem, że zepsułbym ci niespodziankę na Gwiazdkę.

Ktoś zastukał do drzwi.

– Cha… – Alexandra wsunęła głowę w drzwi. Zacisnęła wargi i zaczerwieniła się. – Och. Panie Barrow, nie wiedziałam, że pan tu jest. Przepraszam, że przeszkadzam.

– Skądże znowu – odpowiedział Barrow. Posłał znaczące spojrzenie w stronę Chase’a i dodał: – Tak sobie tu rozmawialiśmy o niczym.

– Jeśli tak… – Alex wysunęła się zza drzwi i weszła do pokoju. – Panie Reynaud, pomyślałam sobie, żeby panu powiedzieć, że dziewczynki są już gotowe.

Gotowe? Na co gotowe?

Chase po raz kolejny kompletnie stracił głowę. Tylko dlatego, że w drzwiach stała ona, odziana w muślinową, żonkilową suknię. On także był gotowy – by porwać ją w ramiona. I na nic poza tym.

Jej wygląd zapierał dech w piersiach.

Wstał. Etykieta nie wymagała, by dżentelmen wstawał, gdy do pokoju wchodziła osoba ze służby. Alexandra wiedziała o tym i na jej twarzy odbiło się zdziwienie z powodu jego niezręczności.

Ale Chase nic sobie z tego nie robił. Dżentelmen wstawał, by okazać szacunek swojej damie, królowej lub bogini – a ona była jedną z tych postaci, jeśli nie wszystkimi naraz.

– Są już ubrane i gotowe do wyjścia. – Kiedy nie odpowiedział, dodała: – Przypomina pan sobie, że obiecał pan im spacer? Rozmawialiśmy wczoraj i zgodził się pan na to. I to dość entuzjastycznie – dodała z bezczelnym błyskiem w oku.

Chytra lisica. Jeden diabeł wie, ile razy słyszała z jego ust małe słówko „tak” przez ostatnich kilkanaście wieczorów. Pewnie go podpuściła, żeby się zgodził, kiedy rozkosz odebrała mu rozum.

– Mamy tu mnóstwo ważnych spraw do załatwienia z Barrowem – zaczął się wykręcać.

– Bardzo pana proszę. Obiecałam ten spacer Rosamund i Daisy. Będą bardzo rozczarowane.

Obiecała im to? Psiakrew. Ze wszystkich sił starał się nie łamać przyrzeczeń. Najprostszym sposobem było w ogóle ich nie dawać. Porozmawia z nią dzisiaj poważnie, żeby nie składała żadnych obietnic w jego imieniu.

I może da jej klapsa albo dwa za karę.

Ale to dopiero wieczorem. Natomiast po południu… Ta ładna żółta suknia aż się prosiła o spacer. Miał ochotę zobaczyć, jak wiatr podwiewa skraj tego muślinu, odsłaniając jej nogi. I jak Alex rozwiązuje wstążki kapelusza odzianą w rękawiczkę dłonią i uśmiecha się do niego nieśmiało.

Natomiast w ogóle nie miał ochoty spędzić tego popołudnia z Barrowem.

– Dajcie mi godzinę, żebym dokończył moje sprawy. I proszę powiedzieć dziewczynkom, że pójdziemy do parku.

– Dziękuję panu– odpowiedziała z uśmiechem

Kiedy wyszła, Barrow odwrócił się ku niemu i skomentował sucho:

– Och, to wcale nie było oczywiste.

– Wiesz co, zdaje mi się, że ostatnio spędzamy ze sobą za dużo czasu. – Chase sięgnął po płaszcz i kapelusz.

– Trudno się z tym nie zgodzić. – Barrow postukał piórem o kałamarz i dodał poważnym, spokojnym tonem: – Uważaj, Chase. Tym razem nie tylko ona może zostać skrzywdzona.

– Nie martw się. Dziewczynki nie mają o niczym pojęcia.

– Nie chodziło mi o dziewczynki, tylko o ciebie.

Chase prychnął.

– Co ty za bzdury opowiadasz?

– Na pewno?

– Oczywiście. – Z tymi słowy Chase wyszedł z pokoju. Wcale nie czuł się tak pewnie, jak można by sądzić z jego słów.

– Jesteśmy już na miejscu? – Daisy wlokła się wydeptaną ścieżką.

Chase nawet nie zwolnił.

– Jeszcze nie.

– Mógłbyś trochę zwolnić – szepnęła Alex. – Ze względu na dziewczynki.

I na mnie.

Po półgodzinie podbiegania, by nadążyć za jego długim krokiem, wszystkie trzy były zasapane i spocone w popołudniowym upale. Doszli już do połowy Hyde Parku, do miejsca, gdzie Serpentine zmieniała się w jezioro.

– Czy w tym parku są lody? – spytała Rosamund.

– Nie mam pojęcia – odparł Chase.

– Obiecaliście nam spacer. A nie wojskowy marsz.

Daisy zatrzymała się w pół kroku.

– Millicent ma rozwolnienie.

Chase jęknął.

– Wcale nie. Jeszcze chwilę temu doskonale się czuła.

– To straszne tempo było dla niej nie do wytrzymania. Teraz może w każdej chwili umrzeć.

Alexandra postanowiła interweniować.

Rozwiązała wstążkę wiszącą na szyi, zdjęła wisiorek z koralem i zawiązała go na szyi Millicent.

– Przecież to pamiątka po twojej mamie – powiedziała Daisy.

– Pożyczę go Millicent na jeden dzień. Jest niezwykle skuteczny przeciwko rozwolnieniu, a pan Reynaud obieca, że będzie szedł wolniej.

– Szczerze mówiąc, wcale nie musimy już nigdzie iść – odpowiedział Chase. – Tu jest niespodzianka dla was, dziewczynki. Czeka przy brzegu.

Kiedy Alex zobaczyła, na co wskazuje, żołądek ścisnął jej się ze strachu. Na falach kołysała się łódka, przywiązana do gałęzi nadbrzeżnego drzewa. Była ślicznie pomalowana, miała biały jak śnieg żagiel i czerwoną flagę na maszcie.

– Chcesz… chce pan żeglować z nimi po jeziorze?

– Nie, jeździć na łyżwach. Owszem, będziemy żeglować, jeśli można w ogóle tak nazwać taką krótką przejażdżkę. I nie tylko z dziewczynkami. Z panią też.

– Och. – Chciała przełknąć ślinę, ale czuła się, jakby miała papier w gardle. – To bardzo miło, ale poczekam na brzegu.

– Bzdura. – Ściągnął surdut i powiesił go na gałęzi, a potem podciągnął mankiety. – Na pewno umiera pani z tęsknoty za wodą. To wprawdzie nie jest rejs po otwartym morzu, ale zawsze coś. Tyle przynajmniej mogę dla pani zrobić w tej chwili.

Był taki kochany. Wymyślił nie tylko zabawę dla dziewczynek, ale i prezent dla niej. Zrozumiała, dlaczego tak pędził przez Mayfair i przez park. Był podekscytowany.

Miała ochotę się rozpłakać. Wszystko w niej wyrywało się do ucieczki. Ale jak mogłaby go rozczarować?

Użyj mózgu, napomniała się w duchu. Bądź rozsądna. Sam powiedział przecież, że to nie handlowa fregata na rozhuśtanych, sztormowych falach. To nawet nie prom na Tamizie. Tylko spacerowa łódka na Serpentine, gotowa do krótkiej przejażdżki w sierpniowy wtorek, w samym środku Londynu. Czego tu się bać? Weź się w garść i niech się dzieje, co chce.

Wzięła go za rękę.

Odpowiedział ciepłym spojrzeniem.

– Dzielna dziewczyna.

Jej serce zatrzepotało jak wstążka na wietrze.

Dziewczynki wskoczyły na pokład i zaczęły przygotowywać się do swojego pierwszego pirackiego rejsu. Millicent posadzono na dziobie, w roli syreny.

Gdy rozwijały malutki żagiel, obserwowała je bacznie.

– Rosamund, natychmiast się stamtąd odsuń.

Chase objął ukradkiem jej ramiona.

– Proszę się tak nie przejmować, panno Mountbatten. Dziś po południu daję pani wolne od obowiązków guwernantki.

Owszem, mogła wziąć wolne od tych obowiązków. Ale nie od bycia sobą. Tą przerażoną dziewczynką, która dygotała w ciemnościach, pod strugami ulewnego deszczu, na rozszalałych morskich falach. Tą jąkającą się, nieśmiałą kobietą u Hatcharda, którą oczarowały bezczelne zielone oczy i aromat drzewa sandałowego i mięty.

Tak, dalej była sobą. Chase też pozostał sobą. Nie mogła już dłużej ukrywać, że za nim szaleje, choć wszystkie rozsądne argumenty przemawiały przeciwko temu. Zakochała się do obłędu w chwili, kiedy zderzyli się ze sobą w tej księgarni, a teraz nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek jej to przejdzie.

To beznadziejne uczucie pewnie ją wykończy. Albo przynajmniej pozbawi zdrowego rozsądku.

– Mam zapasy. – Wyciągnął z kieszeni mały, zakorkowany dzbanek i pomachał nim triumfalnie w powietrzu. – To jest grog.

Dziewczynki zaczęły wznosić przenikliwe okrzyki. Chase odkorkował dzbanek i podał go Daisy, która podniosła go do ust.

– Nie przejmuj się – szepnął do ucha Alex. – To woda z melasą.

– Brzuchy je rozbolą.

Chase chwycił dziób łódki i sapiąc, zepchnął ją z brzegu. Okrzyki dziewczynek były jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Stanął jedną nogą na pokładzie, a drugą na brzegu, żeby łódka nie odpłynęła.

Przywołał gestem Alex.

– Teraz pani. Pomogę pani wsiąść.

Zawahała się, o kilka stóp od wody. Ogarnęła ją panika. Serce łomotało tak dziko, że nie słyszała nic poza własnym oszalałym tętnem.

Nie dam rady. Nie zrobię tego.

– Zostanę na brzegu. Naprawdę. Łódka jest za mała na nas czworo.

– Skądże – odparła Rosamund. – Tu jest mnóstwo miejsca.

Daisy oparła ręce na biodrach.

– Panie Reynaud, niech jej pan każe.

– Zgoda. Jeśli nie chce przyjść po dobroci, pozostaje tylko piractwo. – Chase wyskoczył na brzeg, złapał ją w pasie, podniósł – odrywając od bezpiecznego, stałego lądu – i ruszył ku łódce.

– Nie mogę – szepnęła. – Błagam, tylko nie to.

Gdy Chase chciał ją posadzić na siedzeniu łódki, przywarła do jego ciała. Siedząca już w łodzi Daisy pociągnęła ją za suknię.

Zaczęła się szarpać, rozpaczliwie pragnąc dostać się z powrotem na brzeg. Jej gwałtownie ruchy sprawiły, że łódka przechylała się coraz bardziej. W panice gwałtownie machnęła nogą.

Trafiła prosto w Millicent i lalka poleciała w powietrze.

A potem z pluskiem wylądowała na samym środku je-ziora.

Daisy wydała rozpaczliwy pisk.

Z początku drewniana głowa lalki utrzymywała ją na powierzchni i przez kilka sekund wydawało się, że wszystko będzie dobrze – wystarczy powiosłować w jej stronę, wyciągnąć ją jakimś patykiem i nic jej się nie stanie poza drobnymi uszkodzeniami. Przetrwała już gorsze rzeczy.

Ale kiedy jej wypchane wełną ciało zaczęło nasiąkać, stała się tragedia.

Odporna na wszystko, niezniszczalna, nieśmiertelna Millicent zaczęła znikać pod wodą – a razem z nią opadał na dno koralowy wisiorek Alexandry.

– Nieee! – rozpłakała się Daisy. – Ona utonie!

Chase postawił Alex z powrotem na suchym lądzie.

– Nie na mojej wachcie – odpowiedział.

W sekundę zrzucił buty i kamizelkę. Nie na darmo przez długie lata ćwiczył się w szybkim zdejmowaniu garderoby. Kiedy został w samej koszuli i spodniach, skoczył do wody na główkę.

Wypłynął na środek jeziora, tam, gdzie zatonęła lalka. Nurkował raz za razem, na długą chwilę znikając pod powierzchnią wody, a potem wynurzając się z pustymi rękami.

Gdy znikał pod wodą. Alex wstrzymywała oddech. Daisy była zrozpaczona. Nawet Rosamund przywarła do Alex.

Chase dał nurka po raz siódmy, i znowu bez powodzenia. Na pewno był już zmęczony.

Zwinęła dłonie w trąbkę i zawołała:

– Panie Reynaud! Niech pan już wraca na brzeg!

– Nie. – odkrzyknął w odpowiedzi, odgarniając sobie włosy z czoła. – Muszę znaleźć tę cholerną lalkę.

Znowu zniknął pod wodą i nie wynurzał się przez całe wieki. Alex umierała z przerażenia. Przecież mógł ulec zmęczeniu, zemdleć z braku powietrza, zaplątać się w wodorosty… Na pływaka czaiło się mnóstwo

niebezpieczeństw, a ona była świadkiem aż za wielu śmiertelnych wypadków.

Lalkę można było zastąpić nową. Albo – w niektórych przypadkach – sprawić, by zmartwychwstała. Jej *corales* były jedyną rzeczą, jaka została jej po matce, ale przecież nie żywą istotą. W tej chwili nie liczyło się nic poza nim.

– Chase! – zawołała.

W końcu wynurzył się z wody. Nie na środku, ale przy samym brzegu, tak że ją przestraszył. Wyprysnął na powierzchnię jak fajerwerk. Przezroczyste płótno koszuli przywarło do jego ciała, a włosy przylegały do czaszki. Był jak Posejdon wynurzający się z fal. Tyle, że zamiast trójzębu dzierżył w dłoni ociekającą wodą lalkę.

Chase Reynaud, bóg Serpentine.

Och, wyraźnie oczekiwał hołdów.

Uśmiechnął się do niej, ten potwór. Tak, jakby przez niego o mało co nie umarła z przerażenia. Jakby tych ostatnich dziesięć minut było stałym programem przechadzek po Hyde Parku.

Podał lalkę Daisy.

– Napiła się wody, ale myślę, że się z tego wyliże.

Zamiast objąć lalkę, dziewczynka przywarła do jego nogi, czepiając się jej kurczowo wszystkimi kończynami. Alex pożałowała, że nie może zrobić tego samego.

Potrząsnął nogą, ale mała nie puściła. Spojrzał na Alex.

– Ty się znasz na żeglarstwie. Jak się odczepia pąkle od kadłuba?

Doskonale się czuł w roli bohatera. To była mile widziana odmiana, nawet jeśli miała potrwać tylko chwilę i dotyczyła drobiazgów.

Tylko że po po drodze do domu poczucie zwycięstwa zmieniło się w znużenie, psychiczne i fizyczne.

Kiedy dotarli do rezydencji, Alexandra od razu posłała dziewczynki na górę.

– Najpierw kąpiel. Dopiero potem kolacja.

Chase uznał, że to świetny pomysł. Kiedy zmył z siebie muł i jeziorną wodę, zjadł kolację w gabinecie i otworzył butelkę klaretu[2]. Potem zabrał się do przeglądania kolejnego tomu dokumentów związanych z książęcym majątkiem.

Dochodziła północ, kiedy Alexandra przyłączyła się do niego. Wyglądało na to, że spędziła czas tak samo jak on. Splecione w warkocz włosy były gładkie po kąpieli, a pod pachą trzymała książkę.

– Wino – westchnęła. – Doskonały pomysł.

– Zapraszam. Uratuj mnie przed fluktuacją cen zboża w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym drugim.

Nalał jej kieliszek wina. Przyjęła je z wdzięcznością i jednym haustem wypiła połowę. Poprosił służbę, żeby napaliła w kominku, choć było lato.

– Nie byłem pewny, czy do mnie zejdziesz. Myślałem, że może zasnęłaś.

– Dzisiaj niełatwo mi przyszło położyć dziewczynki do łóżek. Kosztowało mnie to godzinę czytania *Robinsona Crusoe* i po dwie porcje kremu na głowę.

– Kremu? Przecież wyraźnie zakazałem podawania im kremu.

– Następnym razem sam je połóż spać – odcięła się. – Ponieważ masz lepsze metody od moich.

– Dobrze, tym razem będę łaskawy. Ten jeden raz.

– A kiedy już zasnęły, musiałam trochę uspokoić skołatane nerwy. – Przesunęła palcem po brzegu kieliszka. – Najlepszym sposobem jest godzinka albo dwie zaglądania w teleskop. Kiedy skupiam się na gwiazdach i przestrzeni pomiędzy nimi, wszystkie zmartwienia roztapiają się w mroku.

Chase nienawidził myśli, że ona może mieć jakiekolwiek inne troski. Tym bardziej, że sam był powodem większości z nich.

– Teraz jesteś prawdziwym bohaterem – zmieniła temat.

– Eee tam.

– Przepraszam. To wszystko była moja wina.

– Nie. Moja. Nie powinienem cię do tego zmuszać. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się boisz. – Przechylił głowę. – Powiedz mi coś. Dlaczego córka kapitana statku, wychowana na pokładzie fregaty, tak bardzo boi się wody?

Jej strach podczas tego wypadku był wręcz dotykalny. Zrozumiałby, gdyby się zawahała. W końcu ojciec zginął na morzu. Ale taka panika? Może tkwiło w tym coś więcej.

Wyczuł, że nie chce odpowiadać i postanowił nie nalegać.

– Ja też jestem czegoś ciekawa – odpowiedziała. – Dlaczego mężczyzna o tak dobrym sercu, że nurkuje do jeziora, żeby wyciągnąć starą, zniszczoną lalkę, boi się wychowywać dwie osierocone dziewczynki?

– Chodziło mi nie tylko o lalkę.

– Wiem. I dziękuję.

Dotknęła koralowego wisiorka u podstawy szyi. Cieszył się, że ten drobiazg wrócił na swoje zwykłe miejsce. Wisiał na nowej wstążce – tym razem niebieskiej, o głębokim szafirowym odcieniu.

– Doskonale sobie z tym wszystkim radzisz – ciągnęła. – Umiesz pocieszyć, umiesz okazać troskę. Byłbyś świetnym opiekunem. Byłoby im u ciebie o niebo lepiej niż w jakiejkolwiek szkole z internatem.

– Może polubią szkołę. Ja ją lubiłem.

– Nie dziwię się. Dla ciebie szkoła to były psoty, sport i nauka sensownych rzeczy. A nie robótek i etykiety. Uczono cię odwagi i przebojowości. A one będą się uczyć, jak przetrwać w ciasnej, choć ładnie urządzonej klatce. Wiem, jak to jest, sama chodziłam do takiej szkoły. Tak samo jak one wylądowałam w internacie, bo moi krewni nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego.

– To co innego.

– Na pewno? Odpychasz je od siebie. Tak samo jak wszyscy pozostali. Nie oszukuj się, że tego nie czują. Jeśli je teraz odeślesz, już nigdy nikomu nie zaufają. One po prostu walczą o twoją uwagę, nie widzisz tego? Nawet, jeśli w tym celu muszą cię związać liną, polać wodą albo co rano wymyślić inną śmiertelną chorobę dla lalki. Czasem wydaje mi się, że Daisy robi to tylko po to, żeby choć raz w ciągu dnia móc cię wziąć za rękę. Powinieneś widzieć, jak Rosamund na ciebie patrzy, kiedy jest pewna, że nie będziesz na nią zwracać uwagi. Nigdy w życiu by się do tego nie przyznała, ale rozpaczliwie zależy jej na twojej akceptacji. – Ujęła go za rękę. – Chase, one cię już pokochały.

Zrobiło to na nim wrażenie. Ale te słowa nic nie mogły zmienić. Po prostu nie mógł, nie powinien przyjmować odpowiedzialności za czyjekolwiek dobro. Nawet jeśli mu na tej osobie zależało, albo nawet ją kochał. Gdyby uległ i pozwolił sobie na tak bliski kontakt z kimkolwiek, okazałby się potwornym egoistą.

– To niemożliwe, Alexandro. Nawet o tym nie myśl.

Jęknęła w desperacji.

– Zawsze tak mówisz.

– I mam swoje powody – odparł twardo.

– Niby jakie?

– Kiedy ostatnio obiecałem, że się kimś zaopiekuję, skończyło się to śmiercią tej osoby.

22

Śmiercią?

Alex zajrzała mu w oczy. O mało co nie zignorowała tych słów, myśląc, że przesadził. Ale jego wzrok, pełen napięcia i wyzwania, powiedział jej, że chodzi o coś więcej niż przypadek lub nieporozumienie. Był w nim żal. Poczucie winy. I ból.

Tak wiele bólu.

– Opowiedz mi o tym. – Zabrzmiało to jak żądanie, a nie jak prośba. Jeśli nosi w sobie taką tajemnicę, powinien ją z siebie wyrzucić, zanim poczucie winy zniszczy go od środka. – Chase. Opowiadaj.

W tym momencie zadźwięczał dzwonek.

– Co za skurwiel – mruknęła.

Oniemiał.

– Nigdy dotąd nie klęłaś.

– Staram się nie być wulgarna. Ale wychowałam się wśród żeglarzy, więc znam parę odpowiednich słów.

Nocny gość zrezygnował z dzwonienia i zaczął łomotać do drzwi. Chase wstał, żeby mu otworzyć, ale wyraźnie lokaj go uprzedził. Gość nie czekał, aż go wprowadzą, tylko od razu wpadł do pokoju.

– Gdzie Alexandra? – spytał szorstko.

– Mam lepsze pytanie. – Chase stanął między nią a natrętem. – Kim pan jest, do cholery?

Alex uśmiechnęła się tylko.

– To książę Ashbury.

Oczywiście, któż by inny. W całej Anglii nie było przecież drugiego takiego wysokiego, władczego księcia o ciele pokrytym bliznami po wybuchu rakiety pod Waterloo. Pokryta bliznami twarz nadawała mu przerażający wygląd. Ale Alexandra wiedziała, że pod tym wszystkim kryje się łagodne serce człowieka, który jest po uszy zakochany w swojej żonie.

I troszczy się o przyjaciół.

– Ash. – Wysunęła się z cienia i objęła go za szyję, zanim zdążył się odsunąć. – Co cię sprowadza do Londynu? Mam nadzieję, że z Emmą ani z małym nie dzieje się nic złego?

– Oboje świetnie się mają. – Spojrzał przez ramię, posyłając Chase'owi wściekłe spojrzenie. – Przyjechałem tylko po to, żeby komuś skopać tyłek.

– Myślałam, że ten okres jest już za tobą.

– Ja też. Ale twój pracodawca sprawił, że wróciłem z emerytury. Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem, gdzie zamieszkałaś. – Obszedł ją i stanął przed Chase'em, lustrując go wzrokiem. – Musisz się dowiedzieć, jaki to łajdak i szmata, Alex.

– Tak jest! – wykrzyknął Chase. Chwycił jego dłoń i potrząsnął nią energicznie. – Bardzo dziękuję. Cały czas jej to powtarzam, ale ona nie chce słuchać.

Ashbury oniemiał na te słowa. Posłał Alex spojrzenie, które oznaczało: Co ten facet chce przez to powiedzieć?

Ale ona tylko wzruszyła ramionami.

– Siadajcie, oboje. – Chase podszedł do kredensu i stojącej na nim karafki.

– Ashbury, napijesz się czegoś?

– Mam swoją brandy. – Ash wyciągnął piersiówkę i zdjął zakrętkę.

– Tym lepiej – odparł Chase, napełniając szklankę dla siebie. – Obsłuż się. Nie musisz na mnie czekać.

Alex zajęła miejsce na kanapie, wiedząc, że dopóki będzie stała, oni też nie usiądą. Może i daleko było im do ideału dżentelmena, ale kiedy chcieli, potrafili się zachowywać bez zarzutu. Ash usiadł na fotelu.

Ignorując gospodarza, powiedział do niej cicho, z powagą:

– Posłuchaj mnie, Alexandro. Ten człowiek to znany libertyn. Wiedziałem o jego reputacji od dawna, jeszcze przed moim wypadkiem. Wszyscy go znają. Żadna przyzwoita rodzina nie chce mieć z nim nic do czynienia.

– Widzi pani? – zawtórował mu Chase. Przyciągnął krzesło i przysiadł się do nich. – Jest dokładnie tak, jak mówiłem, panno Mountbatten. Jestem najobrzydliwszym lowelasem w tym kraju.

– Zdawałam sobie sprawę z popularności pana Reynauda wśród kobiet – odparła ostrożnie.

– Czy cię dotykał?

Och, to mało powiedziane. Ale to nie była sprawa księcia.

– Tylko za moim pozwoleniem.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie.

– Zaraz, zaraz. – Chase pochylił się na krześle. – Niech pani odpowiada szczerze, panno Mountbatten.

– Odpowiadam szczerze. Pan Reynaud nie obdarzał mnie żadnymi względami, których bym sobie nie życzyła, ani też w żaden sposób mnie nie wykorzystał.

Ash spojrzał na nią podejrzliwie, ale nie pytał dalej.

– Poza tym jego erotyczne eskapady to ledwie wierzchołek góry lodowej.

– Och, nie zapoznawałem jej z wierzchołkiem – wtrącił wesoło Chase. – W każdym razie nie tak, jak należy.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Mów dalej – poprosiła Alex księcia.

– Trzy lata temu wydarzyła się pewna pożałowania godna, podejrzana sprawa między nim i jego kuzynem.

– Zastanawiałem się właśnie, kiedy do tego dojdziemy. – Chase pociągnął solidny łyk brandy. – To jest najlepsza część tej historii. Słuchaj uważnie.

Ash posłał mu zirytowane spojrzenie.

– Mógłbyś nie przerywać? Właśnie rozmawiamy.

– Rozumiem, że chodzi ci o syna starego księcia – odpowiedziała Alex. – Tego, który odziedziczyłby tytuł, gdyby nie umarł.

– On nie umarł. Został zamordowany.

– Nie oskarżasz chyba pana Reynauda o morderstwo.

– A mógłby – wtrącił znowu Chase. – Wprawdzie kuzyn nie zginął z mojej ręki, ale jestem winien jego śmierci.

Ashbury podniósł wzrok do sufitu.

– Jeśli zamierzasz mi przerywać co dziesięć sekund, może po prostu opowiedz jej wszystko sam.

– Świetny pomysł. – Chase odstawił brandy. – Przejmuję pałeczkę, Ashbury. Na stoliku jest parę sportowych czasopism, jeśli chcesz się w międzyczasie rozerwać.

Ash tylko odchrząknął z dezaprobatą.

Chase pochylił się ku nim. Oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie.

– Był najmłodszym z moich trzech kuzynów, i najlepszym ze wszystkich. Miał zostać duchownym, a nie księciem. Ale jego średni brat zmarł na wojnie, a wkrótce potem najstarszy zginął w wypadku jeździeckim. Więc nieoczekiwanie… Anthony został dziedzicem tytułu. Miał dwadzieścia lat i w ogóle nie znał świata. Nie był przygotowany do objęcia tego stanowiska. Naiwny jak dziecko… Wuj przysłał go do Londynu na sezon towarzyski. Poprosił mnie, żebym mu pokazał miasto, zapoznał go z towarzystwem, pomógł znaleźć przyjaciół. Obiecałem, że się nim zajmę. I zawiodłem. – Westchnął i poprawił się na krześle.

– Łagodnie mówiąc – wtrącił Ash.

– Zaraz przejdę do szczegółów, Ashbury. Nikogo pewnie nie zdziwi, że moje rozumienie społeczeństwa i kultury nieco się różniło od poglądów wuja. Zacząłem wprowadzać kuzyna do klubów. Do agencji towarzyskich. Do teatrów, tych bardziej i mniej przyzwoitych. Uważałem, że powinien poznać, jak naprawdę żyją jego rówieśnicy. Nabrać pewności siebie, żeby potem byle co go nie zdziwiło. Pewnej nocy zaczęliśmy zabawę w klubie. Potem poszliśmy do baletnic. Kiedy w końcu wylądowaliśmy w szulerni, byliśmy w szampańskich humorach. Z perspektywy czasu zrozumiałem, że był bardziej pijany, niż mi się wydawało. Ja też raczej nie byłem trzeźwy. W polu widzenia pojawiła się jedwabna spódniczka. Zacząłem z nią flirtować; była chętna. Uznałem, że Anthony da sobie radę. W końcu musi się nauczyć, jak sobie dawać radę samemu. Więc z nią wyszedłem. To był ostatni raz, kiedy widziałem go żywego.

Alex miała ochotę go pocieszyć czułymi słowami, ale nie chciała przerywać, a wyraźnie miał dużo więcej do powiedzenia.

– Oskarżył kogoś, że oszukuje w grze w oko. Tamten zaprzeczył, ale Anthony nie chciał odpuścić i wdał się w kłótnię, którą ja załagodziłbym po paru sekundach, gdybym tam był. Ale mnie nie było. Więc kłótnia wymknęła się spod kontroli. Wyszli na zewnątrz i… – Chase ukrył twarz w dłoniach. Kiedy podniósł głowę, miał czerwone oczy. – Gdybym się nim opiekował tak, jak obiecałem, mógłbym go uratować.

– Może wcale nie chciałeś – włączył się Ashbury. – Chodzą plotki, że sam go zabiłeś.

– Ash. – Alexandra była zniesmaczona.

– Nikt przecież nie widział tej bójki w zaułku. A Reynaud też zniknął nie wiadomo gdzie.

– Powiedziałem ci, że byłem z…

– Wiem, wiem, z kobietą. A kto to był dokładnie?

Chase zacisnął zęby, jakby nie miał ochoty odpowiadać.

– Nie mogę podać jej imienia. Bo sam go nie znam.

– Co za zbieg okoliczności.

– Nie wierzysz chyba, że z zimną krwią zabił własnego kuzyna – wtrąciła Alexandra.

– Może i nie. Ale podejrzenia mają spore uzasadnienie. Był następny w kolejce do dziedziczenia. Więc wielce skorzystał na tej śmierci.

– Myślałam, że masz dość rozumu, by nie słuchać takich plotek.

– On tylko relacjonuje fakty – powiedział Chase. – Rzeczywiście ta śmierć przyniosła mi tytuł, i wiele osób podejrzewało, że to nie był przypadek. A kilka lat później wygrałem proces z wujem i przejąłem zarządzanie książęcymi dobrami. Twój przyjaciel nie jest jedyną osobą, która podejrzliwie przyjęła fakt, że z czwartego w kolejce do dziedziczenia stałem się jedynym dziedzicem, w dodatku wyposażonym w pełnomocnictwo do zarządzania. I to w ciągu paru lat.

– Właśnie – potwierdził Ash.

– Ale nie wierz w plotki, że choroba mojego wuja to oszustwo. Kiedy spojrzał na bezwładne ciało swojego trzeciego syna, ostatniego, który pozostał przy życiu, dostał ataku apopleksji. Na miejscu. Od tej pory jest sparaliżowany i nie może mówić – wyjaśnił Chase z goryczą. – Więc, jak widzisz, nie mogłem tego zaplanować. Ale tak czy owak, plotkarze mają rację, bo ta sytuacja jest dla mnie korzystna. Czy o czymś zapomniałem, Ashbury?

Ash wstał.

– O podsumowaniu, które mówi, że jesteś żałosnym, zdradzieckim obdartusem.

Chase strzelił palcami.

– Jasne. Oczywiście. Cokolwiek to znaczy.

– Ashbury zamiast kląć cytuje wyzwiska z Szekspira – wyjaśniła.

Książę odwrócił się do Alexandry, krzyżując ramiona na piersi.

– Alex, mam nadzieję, że teraz go przejrzałaś na wylot.

Przejrzałam? Na wylot?

Pomysł, że Chase wymyślił intrygę, by zabić kuzyna i przejąć od wuja prawną kontrolę nad majątkiem, był absurdalny. Wiedziała, że Ash kocha Szekspira, ale to było życie, a nie inscenizacja *Ryszarda III*.

Nie wspominając o tym, że gdyby książę Ashbury na serio chciał ją przekonać o podłości Chase'a, nie powinien tu przychodzić sam, tylko przysłać kogoś, kto nie był tematem absurdalnych, wyssanych z palca plotek.

– Cały Londyn huczy od pogłosek, co? Bardzo mi to przypomina historię innego mojego znajomego. Bardzo bliskiego i lubianego. Pewnego księcia, który jeszcze niedawno przemykał się ulicami tego miasta jako Potwór z Mayfair.

– To było coś zupełnie innego.

– Mimo to plotki powstały w ten sam sposób i były równie fałszywe. – Alex pokręciła głową. – Wiecie co, obaj macie ze sobą dużo wspólnego. Powinniście się zaprzyjaźnić.

– Nic nas nie łączy – warknął wściekle Ash.

– Nikt by nas ze sobą nie pomylił – zgodził się z nim Chase.

– Oczywiście, że nie – dodał Ash. – Jeden z nas to odrażający potwór, a drugi został okaleczony pod Waterloo.

– Powinniście się zobaczyć w lustrze. Nawet krzywicie się tak samo – powiedziała, zagłuszając ich protesty.

– Ja się nie krzywię – odparli natychmiast.

Zgodnym chórem.

I skrzywili się.

Alex nie mogła powstrzymać uśmiechu wyższości.

– No cóż, jedno na pewno was łączy: przekonanie, że nie potrafię sama o sobie decydować. Ash, nie martw się o mnie. Wiesz przecież, że zawsze miałam najwięcej rozsądku z całej naszej grupki. Nie brak mi rozumu i stoję mocno na ziemi. Umiem zatroszczyć się o siebie.

– Nie musisz z nim być, Alex. Przyjedź do nas. Będziemy szczęśliwi, jeśli nas odwiedzisz. A jeśli zapałałaś nagłym entuzjazmem do dzieci, chętnie to wykorzystamy.

– Jestem ci szczerze wdzięczna. Ale nie mogę odejść, nie kończąc pracy, do której mnie wynajęto. Dziewczynki mnie potrzebują. Co więcej, potrzebują jego. On… – zniżyła głos do szeptu. – On nie jest taki, za jakiego uważa go większość ludzi. Ani taki, za jakiego uważa sam siebie.

– Nie masz…

– Pozdrów ode mnie Emmę i maleństwo. I przyjmij gratulacje dla dumnego ojca. – Pocałowała go w policzek. – Wracaj do swojej rodziny.

Musiał pogodzić się z jej wyborem.

Chase zapraszającym gestem otworzył przed nim drzwi.

Zanim książę skorzystał z tego zaproszenia, rzucił mu przez ramię:

– Jeśli ją skrzywdzisz, choćby odrobinę, to cię wypatroszę.

– Rozumiem.

– Mówię serio, Reynaud. Szczerze mówiąc, to by była za łagodna kara. Rzucę cię mojemu kotu.

– Kotu? – zaśmiał się Chase. – Żeby na mnie pomiauczał?

– Uwierz mi, to nie jest zwyczajny kot.

– Mogę to potwierdzić – odezwała się Alexandra.

– Rozbiorę cię, zwiążę ci ręce za plecami, posmaruję ci męskość łososiem i zamknę was obu w szafie. A kiedy podrze ci jaja na strzępy, ja rozgniotę na krwawą masę wszystko, co zostanie.

– Dobry Boże. – Chase był pod wrażeniem. – Bardzo obrazowe. Wymyśliłeś to specjalnie dla mnie, czy zrobiłeś listę i dobierasz pogróżki stosownie do okazji?

– Trzymaj się od niej z daleka, kolekcjonerze spódniczek. – Książę złapał go z przodu za koszulę. – Bo pożałujesz, że się urodziłeś.

Chase wykręcił się z jego uchwytu.

– Na to już za późno.

23

Kiedy książę Ashbury poszedł wreszcie knuć w sekrecie dalsze plany tortur przy użyciu kota, Chase odwrócił się do Alexandry, krzyżując ramiona.

– Mam nadzieję, że to ci wystarczy. Przekonałaś się już?

– O czym konkretnie?

– Że jestem najgorszym możliwym kandydatem na opiekuna. Nieważne, co bym chciał, nieważne, czy kocham te dziewczynki, czy nie. Wręcz przeciwnie: jeżeli mi na nich zależy, za nic nie powinienem podejmować się tej opieki.

– Och, o tym? W ogóle nie jestem przekonana.

Klepnął się dłonią w czoło i jęknął.

– Alexandro, zastanów się dobrze. Nie potrafiłem się zaopiekować nawet dwudziestojednolatkiem. I nie chodzi o to, że wpakował się w jakieś kłopoty, jak setki innych młodych ludzi. Pozwoliłem, żeby zginął.

Jej spojrzenie zmiękło, a głos zmiękł jeszcze bardziej.

– Chase, tak mi przykro.

– Do diabła, tylko mnie nie żałuj.

– Dlaczego nie? Straciłeś kuzyna, zginął nagłą, tragiczną śmiercią. To normalne, że ci współczuję.

– Nie słuchałaś? Dałem wujowi słowo. Obiecałem, że będę go miał na oku. I złamałem tę obietnicę – w najgorszym możliwym miejscu i w najgorszym możliwym momencie. Zabili go pod szulernią, wykrwawił się na śmierć w bocznym zaułku. Sam. A gdzie ja wtedy byłem? W pokoju na

godziny, w łóżku z kobietą, która nawet nie powiedziała mi, jak ma na imię. Więc nie szukaj dla mnie usprawiedliwienia.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Ja…

– Mówię serio. – Zatrzymał ją gestem wyciągniętej ręki. – Nie rób tego, Alex. Nie próbuj tulić mojej głowy na kolanach, całować mojej brwi, głaskać mnie po włosach i mówić mi, że jestem niewinny i nikt mnie nie rozumie.

Zmarszczyła nos.

– Wcale nie miałam takiego zamiaru.

– Aha – odpowiedział. – No to w porządku.

I niech to szlag, dodał w myśli.

Usiadła na kanapie i poklepała miejsce obok siebie, zapraszając go, żeby usiadł. Nie był w stanie jej odmówić. Nie zdziwiło go to zbytnio. Nigdy nie potrafił się oprzeć kobiecie, która kusiła bliskością. Stąd brały się wszystkie jego problemy.

Odwróciła się ku niemu, usiadła wygodnie i oparła głowę na dłoni. Była piękna i zamyślona. Tym piękniejsza, że tak zamyślona.

– Popełniłeś błąd – powiedziała. – I to niemały. Poważny błąd, który przyniósł straszne konsekwencje. Złamałeś obietnicę daną wujowi, zostawiłeś kuzyna samego, choć powinieneś być przy nim. Ale czy to ty wbiłeś ten nóż, żeby się wykrwawił? Nie. Choć z drugiej strony, gdybyś tam był, mógłbyś powstrzymać sprawcę.

Przełknął coś, co dławiło go w gardle.

– Nie zamierzam ci perswadować, że jesteś niewinny. Szczerze mówiąc, o wiele mniej bym cię szanowała, gdybyś nie odczuwał winy.

– Jak to, o wiele mniej byś mnie szanowała? Kiedy zaczęłaś mnie w ogóle szanować?

– Nie jestem pewna. Ale to musiało się zdarzyć jakiś czas temu. A nawet gdyby się nie zdarzyło, to twoje nurkowanie w Serpentine, żeby uratować

Millicent, na pewno zaskarbiłoby ci mój szacunek.

– Zrobiłem to, bo jestem uparty. Ta cholerna lalka nie mogła przecież w końcu umrzeć na dobre. Za nic bym na to nie pozwolił.

Uśmiechnęła się lekko.

– Właśnie dlatego uważam, że będziesz doskonałym opiekunem dla dziewczynek. Dlatego, że popełniałeś w życiu błędy, i że się na nich uczyłeś.

– Uczyłem się, owszem. I dowiedziałem się, że nie można mi powierzać tak poważnych obowiązków.

– Twoim jedynym obowiązkiem jest obdarzyć je miłością. Wszystko inne samo się ułoży.

Zaczęła odliczać argumenty na palcach. Pewnie dlatego, że nie miała pod ręką ani kostek cukru, ani karafek z nalewką.

– Zależy ci na nich. One cię uwielbiają. Masz dość pieniędzy, by zaspokoić ich wszystkie potrzeby. Na pewno będą niszczyć rzeczy, a ty będziesz je umiał naprawić. – Został jej tylko najmniejszy palec. – Bez nich zostaniesz sam w życiu.

To ostatnie zdanie było jak sztylet wbity w pierś.

Wyciągnęła dłoń z rozłożonymi palcami.

– Spójrz, Chase. To jasne jak słońce. Wystarczy, żebyś otworzył dla nich ramiona. A potem je mocno objął.

Nic nie rozumiała. Oczywiście, że potrafił kochać. Rosamund i Daisy podbiły jego serce, gdy tylko pojawiły się w jego życiu. Chodziło o to, że gardził sobą i nawet sobie nie wyobrażał, że mógłby przestać. I to była przyczyna wszystkich jego klęsk. Pogarda dla samego siebie pchała go w ramiona kolejnych kobiet. Nie robił tego ani z nudów, ani z pożądania. Kiedy skupiał się na dawaniu im rozkoszy, zapominał o własnym wstydzie. Kiedy kochanka ciasno oplatała go nogami w pasie, kiedy słyszał gardłowy, kobiecy głos błagający o jeszcze… przez kilka błogosławionych minut miał poczucie, że jest coś wart.

Tylko że potem…

Czy jest takie słowo, które oznacza człowieka gorszego niż bezwartościowy? Bo właśnie tak się czuł po miłosnych zmaganiach.

Ale potem znowu ulegał pokusie, choć setki razy obiecywał sobie, że z tym skończy, i wbijał sobie do głowy, że ma dość sił, by ponieść zasłużoną winę na własnych ramionach, zamiast ukrywać ją w rozkosznych dekoltach przygodnych dam. Noce były jednak zbyt mroczne i ciche. W pustce pojawiały się wspomnienia, zapełniały próżnię jak deszczowa woda, która zalewa rynsztok.

Jak krew zbierająca się między brukowcami.

Jak garście ziemi zasypujące trumnę.

Kluby, przyjęcia, brandy… wszystko to pomagało, ale na krótko. Od czasu do czasu udawało mu się przeżyć tydzień w celibacie, albo nawet dwa. Ale potem i tak zawsze się poddawał.

Jak, do diabła, miał się zobowiązać do opieki nad tymi dzieciakami? Nie potrafił nawet dotrzymać obietnic, które sam sobie składał.

– Pomyśl o plotkach, krążących na mój temat – powiedział. – Jak mam wychować te małe w nobliwych warunkach, kiedy ludzie uważają mnie za mordercę? Słyszałaś przecież księcia. Ta śmierć niezaprzeczalnie przyniosła mi korzyści.

– Jasne – odpowiedziała. – Spora część towarzystwa powątpiewa w twój charakter. Może nawet mają po temu dobre powody. Ale wycofując się z ich grona, nie dajesz im szans, żeby zmienili zdanie. Gdyby zobaczyli, jak opiekujesz się dwójką małych dziewczynek, jak je wspierasz i chronisz, jak wyrastają na dwie wyjątkowe młode kobiety… sporo osób pewnie zmieniłoby zdanie. Jak myślisz?

Żelaznej logice jej słów nie dało się zaprzeczyć. Jak zwykle. Była przecież bardzo rozsądną osobą.

Nie zdawał sobie sprawy, jak gorąco tego pragnął. Jak tęsknił za kimś, kto nie chciał go ani oskarżać, ani mu wybaczać, tylko usiadłby i rozsądnie,

spokojnie dyskutowałby o faktach.

– Daj ludziom szansę, żeby dostrzegli w tobie zmiany, Chase. Wtedy sam zrozumiesz, że jesteś już kimś innym.

Boże. Rozpaczliwie pragnął jej uwierzyć. Zaglądał w te piękne oczy, czuł, jak jej spojrzenie przenika go do głębi, i mało brakowało, a by uwierzył. Miał większe zaufanie do jej opinii niż do własnej. Alex sprawiała, że pragnął być lepszy. Zawsze tak było, od samego początku.

Tylko że kiedy go w końcu zostawi, znowu poczuje się zagubiony. Nic z tego nie będzie, chyba że…

Chyba, że nie pozwoli jej odejść.

Zatrzymaj ją. Niech zostanie. Zagarnij ją na własność.

Chwycił ją w ramiona i pocałował.

Koniec z rozważaniami. Koniec z logiką i zdrowym rozsądkiem. Obudził się w nim szaleńczy impuls, który sprawił, że krew grała w jego żyłach jak tubylcze bębny. Pewnie w taki bęben bił jeden z jego przodków jaskiniowców, po tym gdy zespolił się z partnerką w oświetlonej łuczywem grocie, a potem pożarli razem antylopę na surowo. Każde uderzenie wibrowało pierwotnym pożądaniem.

Potrzebuję cię. Pragnę. Na własność. Jesteś. Moja.

Położył ją na kanapie i okrył jej szyję gorącymi pocałunkami. Skubnął zębami jej ramię. Jedną ręką podciągnął nocną koszulę i sięgnął między nogi, ku sercu jej kobiecości. Szalonej, pełnej pożądania i nieskrępowanej.

Rozchylił ją delikatnym dotykiem i wsunął dwa palce w jej gorące wnętrze. Nie była tak wilgotna jak zwykle, gdy pieścił ją dłońmi i językiem. Ale tej nocy brak mu było cierpliwości i delikatności. Sięgnął głęboko, zachwycony, gdy zacisnęła się na nim i jęknęła, podniecona dotykiem.

Drugą ręką rozpiął klapę spodni i uwolnił nabrzmiały, twardy drąg mięśni. Przesunął nim w górę i w dół, aż zwilgotniała. Potem odsunął się i potarł członek, rozprowadzając po nim jej wilgotną esencję. Rozsunął jej nogi biodrami i zatrzymał się, dotykając członkiem jej nabrzmiałego ciała.

– Alex, proszę cię. Pozwól mi się kochać. Wpuść mnie.

– Chase, poczekaj chwilę.

– Pragnę cię – zamruczał. – Chcę cię wziąć. Na własność. Żebyś była moja.

Moja.

Gdy tylko powiedział to słowo na głos, rozbrzmiało echem w każdym uderzeniu jego serca.

Moja. Moja. Moja.

Położyła mu ręce na ramionach i odsunęła od siebie.

– Wiem, że tak naprawdę wcale tego nie chcesz.

– Jak to nie, do cholery? – Potarł wzwiedzionym członkiem o jej udo, przedstawiając jej konkretny dowód.

– Nie o to mi chodzi. Wiem, jakie masz zdanie na temat seksu. Albo pieprzenia, jeśli wolisz tak to nazywać.

– Wcale nie. – Nie miał ochoty używać tego słowa. Nie teraz i nie z nią. Odsunął się, dysząc.

– Zawsze to robisz. Pozwalasz, by kierowało tobą ciało, kiedy chcesz ukryć to, co czuje serce. Cierpisz, a ja nie chcę cię wykorzystywać.

– Myślisz, że mogłabyś mnie wykorzystać? – zaśmiał się. – Chyba żarty sobie robisz.

– A ty chyba traktujesz mnie z góry. Dobranoc, Chase. – Wstała, otuliła się szlafrokiem.

I wyszła.

Pozwolił, żeby jego głowa opadła na oparcie kanapy, i zapatrzył się w sufit. Mądrze zrobiła, że się wycofała, ale myliła się co do tego, kto tu kogo wykorzystuje. To on by ją wykorzystał. Nie tak jak inne kobiety, ale mniejsza o to. Skłoniłby ją, żeby go zaakceptowała, żeby go wybawiła. Żeby przymknęła oczy na wszystkie jego grzechy i wady, z którymi nie chciał się zmierzyć.

Niech to szlag.

Powinien stąd wyjechać. Wyrwać się z tego domu i przypomnieć sobie, kim jest – zanim nieodwracalnie ją skrzywdzi.

Na szczęście znał idealne miejsce, żeby się zaszyć.

24

Tydzień spędzony w Hertfordshire wyleczyłby każdego nawet ze śladowych erotycznych żądz lub romantycznych marzeń. W każdym razie Chase miał nadzieję, że tak się stanie. Wprawdzie miejscowi czasem brali śluby i płodzili dzieci, ale nie w majątku Belvoir. I nie musieli spędzać całych dni, wyciągając dane o owczym nawozie i płodozmianie od sceptycznego zarządcy, który piastował swoje stanowisko, jeszcze zanim Chase przyszedł na świat. Ani też nie pałętali się po nocach po przepastnych korytarzach opustoszałego pałacu, pod pełnym dezaprobaty wzrokiem przodków wychylających się z ram obrazów.

Nie spędzili też pełnej napięcia godziny przy łóżku wiekowego, złamanego nieszczęściem starca. Sparaliżowany niemowa mógł tylko mierzyć Chase'a gniewnym spojrzeniem wodnistych, niebieskich oczu, które bez słów oskarżało: To była twoja wina.

Zaniedbane pastwiska, pusta cisza, wuj przykuty do łóżka i brak dziedzica.

To wszystko twoja wina.

Więc w żadnym razie nie powinien wracać myślą do Alexandry ani do dziewczynek.

Do diabła… jego plan zawiódł na całej linii. Przez cały przeklęty tydzień walczył z pragnieniem powrotu. Całkiem jakby jakaś lina wiązała go z Reynaud House, a on cały czas szarpał się na drugim końcu, resztką sił opierając się jej potężnemu przyciąganiu. Bez skutku, jeśli nie liczyć bólu.

Co wieczór zasypiał, żałując, że nie ma przy nim Alex.

Co rano budził się ciekaw, na co tym razem zmarła Millicent.

Powrót do Londynu był jeszcze gorszy. Nad jego głową rozpętała się ulewa i wprawdzie zmyła woń owczych bobków i kurz, ale zmoczyła go do szpiku kości. Trząsł się z zimna i rozpaczliwie chciał już być w domu.

W domu, czyli razem z nimi, podpowiadało mu serce.

Gdy wszedł, Alexandra podbiegła i powitała go z otwartymi ramionami. Boże. O mało nie padł na kolana. Podróż po błotnistych drogach potwornie go zmęczyła i pozbawiła wszelkiej siły woli. Gdyby go objęła, nie znalazłby siły, żeby się sprzeciwić.

Oparł się o balustradę schodów.

Zamiast go chwycić w objęcia, zaczęła obchodzić go kołem z rękami w kieszeniach i władczą miną. W rękach trzymała jakieś nieduże przedmioty. Zaczęła je wtykać w jego kieszenie, dziobiąc go w żebra i biodra.

– Słodycze dla dziewczynek – wyjaśniła, widząc jego zdumioną minę. – Żebyś nie wrócił z wyjazdu z pustymi rękami.

Patrzył na nią. Na nic innego nie miał siły.

– Mogłeś mi powiedzieć, że wyjeżdżasz – skarciła go. – Albo przynajmniej im. Niełatwo było ukoić ich uczucia. Ale powiedziałam im, że od czasu do czasu muszą się pogodzić z twoją nieobecnością. Jesteś przyszłym księciem, ważnym człowiekiem, który ma liczne obowiązki i tak dalej.

Kiedy wypchała jego kieszenie cukierkami, cofnęła się i wygładziła klapy jego surduta.

– Kiedy cię nie było, nauczyłam je piosenki. To marynarska szanta, ale wyrzuciłam najgorsze fragmenty. Nie mogą się doczekać, żeby ci ją zaśpiewać.

– Ale ja nie chcę jej słuchać.

– To może jutro.

– Nie. Ani jutro, ani pojutrze. Nie będę wychwalał żadnych piosenek ani przynosił im słodyczy i prezentów.

– To przecież tylko parę drobiazgów i krótka piosenka.

– Doskonale wiesz, że to o wiele więcej.

W jego piersi zapłonął irracjonalny gniew. Wyniósł się z domu na tydzień, by zerwać te więzi, a co się okazało po powrocie? Że ona przez cały czas działała przeciwko niemu. Jak śmiała sugerować Rosamund i Daisy, że należą do rodziny? Lepiej je zranić wcześniej niż później. Alexandra nie powinna budzić w nich nadziei. To najgorsze, co mogła mu zrobić.

Jego nadziei też nie powinna budzić.

Złapał ją za ramię.

– Nigdy nie składałem dziewczynkom żadnych obietnic. Ani jednej. A ty zaczęłaś składać je w moim imieniu. Przez ciebie czeka je rozczarowanie. Jeśli złamie im to serce… a raczej kiedy złamie im to serce… ty będziesz temu winna, Alexandro. Nie ja.

Myślał, że się skrzywi. Że się odsunie, zraniona jego słowami.

Zamiast tego przechyliła głowę i popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Czy ty się dobrze czujesz?

– Doskonale. I mówiłem serio. Każde słowo.

– Nie wyglądasz dobrze. Jesteś strasznie blady. Tak bardzo zmęczyła cię podróż?

– Może i jestem zmęczony, ale nie podróżą. Wykańcza mnie powtarzanie tej samej rozmowy w nieskończoność.

Dotknęła wierzchem dłoni jego policzka.

– Masz gorączkę.

– Na litość boską, jaką gorączkę?

Twarz rzeczywiście go paliła. A jej rysy były jakby rozmazane po brzegach. Pewnie dlatego, że się tak rozgniewał. Wcale nie był chory. Tylko dlaczego musiał się tak mocno trzymać poręczy, żeby nie upaść?

– Chase – powiedziała miękko, biorąc go pod rękę. – Myślę, że powinieneś pójść na górę i się położyć. Przyniosę ci herbaty.

– Przestań tak koło mnie skakać. – Odtrącił jej rękę, i z wielkim wysiłkiem ruszył po schodach. Ktoś chyba pomalował je lepkim syropem, kiedy go nie było. – Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? Jestem wściekły. Na ciebie.

– Oczywiście – przytaknęła łagodnie.

Wielki Boże. Czy jest jakiś sposób, żeby to do niej dotarło? Może ma nadać tę wiadomość morskim kodem sygnałowym?

Zdyszany, zatrzymał się na półpiętrze.

– Nie chcę cię tutaj. Ich też nie. Jutro przybiję na drzwiach tabliczkę: „Zakaz wstępu dla kobiet”. I dla lalek też.

– Dla wszystkich kobiet? To zrujnuje twoje plany w Jaskini Cielesnych Rozkoszy.

– Ty zrujnowałaś moje plany co do tego miejsca. I to też mam ci za złe.

Odpowiedziała pełnym satysfakcji uśmiechem, a jemu ze złości zakręciło się w głowie.

– Wcale tego nie powiedziałem na serio, Alex. Żartowałem sobie.

– Oczywiście.

Niech to szlag. Nic mu się nie udaje. W głowie mu brzęczało jak w ulu. Bolało go całe ciało.

– Nie patrz tak na mnie – warknął.

– To znaczy jak?

– Jakby ci na mnie zależało.

– Ale mi zależy.

– Jakbyś się spodziewała, że mnie też będzie na tobie zależało.

– A nie zależy ci?

– Nie. – Puścił poręcz, wyprostował się na całą wysokość i zebrał resztkę sił, by wydać ostateczny wyrok. – Na jesieni dziewczynki wyjadą do szkół. Ty skończysz u mnie pracować. Pożegnam się z wami i każde pójdzie

swoją drogą. Żadnych sentymentów. – Wyrzucał z siebie te słowa jak pociski. Naboje. Strzały z łuku. Meteoryty, komety. Suche ziarna grochu wystrzeliwane z rurki. Wszystko, co rani i boli. – A nasze lekcje na dole? Koniec z nimi. Z nami też koniec. Nie wiem, co ty tam sobie wymarzyłaś, ale czas, żebyś się wreszcie obudziła. Nic się nie zmieniło. Nic a nic.

Gardził sobą za to, że rozstaje się z nią w taki podły sposób. Ale widocznie tak było trzeba. Gdyby postąpił inaczej, sprawiłby jej z czasem o wiele większy ból.

– To by było tyle. – Nabrał powietrza w płuca. – Mam nadzieję, że się rozumiemy.

Skinęła głową.

– Rozumiemy się.

– To dobrze.

I wtedy, jakby stawiał ironiczną kropkę na zakończenie tej sceny, zrobił dwa chwiejne kroki w bok i padł zemdlony do jej stóp.

– Chase. – Przerażona Alexandra potrząsnęła go za ramiona. – Chase!

Żadnej reakcji, poza ledwie zrozumiałym bełkotem na temat owiec i nawozu.

Rozluźniła mu fontaź. Wielki Boże, dosłownie płonął z gorączki. Oddychał urywanie. Nie spodziewała się, że jest aż tak poważnie chory.

Alex rzuciła się do działania. Obudziła cały dom, wezwała lekarzy, kazała zagotować wodę na herbatę i pomogła przeciągnąć ciężkiego, bredzącego w gorączce mężczyznę do łóżka. Kilka następnych godzin minęło jak z bicza strzelił.

A kolejne dni? Wlokły się w ślimaczym tempie.

Im dłużej Chase chorował, tym większe szaleństwo ją ogarniało. Miała nadzieję, że nikt z domowników nie odgadł, co ją łączy z panem tego domu. Nie miała więc żadnej wymówki, by odwiedzać jego sypialnię, a

tym bardziej czuwać przy jego łóżku w nocy, choć bardzo pragnęła to robić. Nie mogła też przyprowadzać do niego dziewczynek, żeby się nie zaraziły.

Ta sytuacja boleśnie przypomniała jej o rzeczywistości. Uświadomiła sobie, jaką rolę pełni w jego życiu. Wyobrażała sobie, że jest czymś więcej niż jedną z wielu kochanek, ale w rzeczywistości było inaczej. Nie liczyła się. W każdym razie nie w sposób, który miałby teraz jakiekolwiek znaczenie.

Nie mogła się przyznać, że coś ich łączy.

O jego stanie dowiadywała się tylko z podsłuchanych urywków rozmów i od służby. Lekarze przychodzili i odchodzili, a stan pana Reynauda się nie poprawiał. Przeziębienie usadowiło się w płucach i nie udało się zbić gorączki.

Alex starała się być dzielna w obecności dziewczynek, ale jej serce ściskał strach. Chase był silny, zdrowy i w kwiecie wieku – ale zapalenie płuc potrafiło powalić nawet najsilniejszego, najzdrowszego mężczyznę. Wiedziała o tym aż za dobrze.

Po trzech dniach nie mogła już dłużej wytrzymać. Poczekała, aż wszyscy zasną, a potem zakradła się do jego sypialni. Spodziewała się, że będzie tam czuwał lokaj albo służąca, więc po drodze próbowała wymyślić jakąś wymówkę. Że pani Greeley ich wzywa, że przygotowano nową maść, albo że polecono jej, żeby czuwała przy chorym przez godzinę – choć w domu było pełno służby.

Ku jej uldze był sam.

Podbiegła do łóżka.

– Chase.

Otworzył oczy i jęknął przez spękane wargi.

– To ja. Alex. – Odgarnęła mu z czoła mokre od potu włosy. Wielki Boże, ależ on miał gorączkę.

Wzięła ręcznik z wieszaka, zmoczyła go w letniej wodzie i dotknęła jego czoła i szyi.

– Alex. – Otworzył zaczerwienione oczy, z wysiłkiem skupiając wzrok na jej twarzy. – Przepraszam cię, kochanie. Dziś nie będę lizał twojej pusi. Jestem chory.

Wybuchnęła głośnym śmiechem, choć w oczach zabłysły jej łzy ulgi. Prawdziwy Chase jeszcze gdzieś tam się krył.

– Wiem, że jesteś chory, kochanie. Nic nie szkodzi. – Pocałowała go w czoło.

Ktoś otworzył drzwi. Skoczyła na równe nogi i obróciła się jak fryga.

Do pokoju wszedł pan Barrow.

– Nie chciałam przeszkadzać – wyjąkała. – Ale dzieci pytały, jak on się czuje. Pomyślałam, że…

– Proszę się uspokoić i nie szukać wymówek. Wiem, co was łączy.

Na moment oniemiała, ale szybko odzyskała sprawność umysłu.

– Ja też wiem, co was łączy.

– Powiedział pani?

– Sama się domyśliłam.

– Nie dziwię się. – Przysunął sobie krzesło i usiedli oboje przy łóżku. – Pani jest mądra. A on nie potrafi udawać, jeśli mu na kimś naprawdę zależy.

– To prawda. A pan jest zbyt obiecującym prawnikiem, żeby poprzestać na takiej posadzie bez ważnego powodu. Nikt nie chciałby pracować dla Chase’a, chyba żeby rozpaczliwie szukał zajęcia albo czułby się z nim mocno związany.

– A panią co tu trzyma? – Jego głos był cichy i nieustępliwy. – Rozpacz? Czy miłość?

– Szczerze mówiąc, sama zadaję sobie to pytanie. Chyba jedno i drugie po trochu.

Chase zapadł w niespokojny sen. Jego urywany oddech tworzył niepokojące tło dla ich rozmowy.

– Nie poprawia mu się, prawda? – spytała.

Barrow ciężko westchnął.

– Nie. Choć ciężko mi w ogóle o tym myśleć, moja prawnicza dusza nie potrafi zignorować tej okrutnej prawdy. Musimy się przygotować na najgorsze.

W gardle Alex wezbrał dławiący ból.

– Co się wtedy stanie z dziewczynkami?

– Na jakiś czas wrócą pod opiekę starego księcia, jak wszystkie zobowiązania połączone z majątkiem. Do chwili, kiedy pełnomocnikiem zostanie następna osoba w kolejce do dziedziczenia.

– Tyle już przeszły… I znowu trzeba je będzie posłać w nieznane. I to w chwili, gdy zaczynały już czuć się bezpieczne…

– Zrobię, co w mojej mocy, by o nie zadbać. Ale ostateczna decyzja nie będzie należała do mnie.

– Wiem. Ale to nie będzie ich jedyna tragedia. One go uwielbiają.

– Jak my wszyscy – westchnął. – Jeden Bóg wie czemu, bo straszny z niego dupek.

– To prawda. – Gorąca łza spłynęła po jej policzku.

Barrow wziął ją za rękę.

– To może być próżna gadanina. On się tak łatwo nie podda. W szkole zawsze tłukł się z innymi chłopakami. Przeważnie w mojej obronie. Ale to nie była taka czysta braterska miłość. Odpisywał ode mnie wszystkie prace domowe. Gdyby nie ja, nie zdałby ani jednego egzaminu. Tak czy owak, to bojowy chłopak.

– Tak, tylko że teraz ma ręce związane na plecach. – Alex pochyliła się nad chorym ze zdecydowaną miną. – Musimy jakoś wyrównać szanse. Nie można tak po prostu siedzieć i patrzeć.

– Wszystkie znane środki zawiodły. Puszczanie krwi, lewatywa, poty, głodówka… doktorzy nie potrafili mu pomóc.

– W takim razie trzeba ich posłać do diabła – stwierdziła twardo. – Zajmiemy się nim sami. I tak gorzej już być nie może.

Spojrzał na nią i skinął głową.

– Zgoda.

Alex wstała i ściągnęła z nieruchomego ciała gruby, wełniany koc.

– Przede wszystkim trzeba zbić gorączkę. Zimne okłady, letnie kąpiele. Tak bardzo się spocił, że pewnie umiera z pragnienia. Trzeba mu podawać łyżeczką do ust tyle herbaty i rosołu, ile zdoła wypić.

– Poproszę Elinor o aromatyczną maść na przeziębienie.

– Elinor?

– Moją żonę. Może się kiedyś poznacie. Dobrze byście się dogadywały. – Uniósł głowę Chase'a, żeby Alex mogła położyć mu pod szyją chłodny kompres. – Chase i ja urodziliśmy się w odstępie zaledwie trzech tygodni, w niespełna rok po ślubie jego rodziców. Już samo to powinno pani dać do zrozumienia, jak bardzo jego ojciec cenił sobie małżeńską przysięgę.

– To musiało być dla pana trudne.

– Nie bardzo. Mnie przypadła w udziale lepsza cząstka tego układu. Mój ojczym zdecydował się ożenić z moją matką i wychować mnie jak własnego syna. Z miłością i poszanowaniem zasad. A w domu Reynauda nie było ciepła.

Alex zatrzymała się na chwilę.

– Dlaczego mi pan to mówi?

– Bo Chase nie ma pojęcia o miłości i w ogóle nie wie, co z nią począć. Doskonale umie troszczyć się o innych, ale głupieje, kiedy ktoś ma się zatroszczyć o niego… i nie pozwala na to.

Oczywiście. Święta racja. Od tygodni nakłaniała go, żeby powiedział dziewczynkom, że ich kocha, ale źle się do tego zabrała. Przede wszystkim powinna go przekonać, że zasługuje na ich wzajemność.

Ale żeby to zrobić, musiała go utrzymać przy życiu.

– No cóż. – Zdecydowanym ruchem poprawiła poduszkę. – Zaopiekujemy się nim teraz, czy mu się to podoba, czy nie.

25

Chase odzyskiwał przytomność i znowu ją tracił. Łagodne fale obmywały jego ciało. Chłodna, świeża woda zwilżała mu wargi. Kojący głos przypływał i odpływał. Pachniały zioła i cytryna. I kwiat pomarańczy. Zawsze. Jakby unosił się w morzu Alexandry. Albo w nim tonął. Trudno powiedzieć.

Obudził się rano – to musiało być rano, bo światło strasznie raziło go w oczy – i zobaczył ją śpiącą przy jego łóżku, z głową wtuloną w ramiona.

– Alex.

– Chase? – Podniosła głowę. – Chase. – Przetarła czoło ręką i odezwała się głosem pełnym emocji: – Dzięki Bogu.

– Mówiłem ci, że nic mi nie jest. – Usiadł z trudem. – Wystarczyło, że porządnie przespałem tę noc.

Zamrugała.

– Noc?

Przetarł oczy i zaklął.

– Nie mów, że pozwoliłaś mi przespać półtora dnia. Wielki Boże.

– Chase, to był cały tydzień.

– Tydzień? Niemożliwe. – Zauważył jej zwichrzone włosy i sińce pod oczami. – Co ci się stało?

– Jeśli uważasz, że okropnie wyglądam, powinieneś zobaczyć siebie. Miałeś zapalenie płuc. Przez wiele dni leżałeś w gorączce. Trzech lekarzy się tobą opiekowało. Wszyscy umieraliśmy ze strachu.

– Nie trzeba było. Nic mi nie jest.

Podrapał szczękę i natrafił na solidny zarost. Cały tydzień. Niech to szlag. Zsunął z łóżka ciężkie jak ołów nogi, żeby wstać. Trzeba się umyć i ogolić. Może wtedy poczuje się wreszcie jak człowiek.

– Nawet nie próbuj. – Położyła dłoń na jego piersi. – Nie masz jeszcze tyle siły.

– Pozwól, że sam o tym zdecyduję. – Odepchnął jej rękę, postawił stopy na podłodze i wstał. Na ułamek sekundy, ale wstał. Potem ugięły się pod nim kolana i nagle znowu usiadł, a przed oczami zatańczyły mu białe i czarne punkty.

– Zdecydowałem, że jeszcze nie będę wstawał.

Czekając, aż wróci mu czucie w kolanach, rozejrzał się po sypialni, która całkiem zmieniła wygląd. Zniknęły zasłony przy łóżku, a na ścianach pojawiły się nowe tapety. Kiedy przyjrzał się bliżej, okazało się że to rysunki i listy pisane niewprawną, dziecięcą ręką. Zerwał jeden, wiszący najbliżej wezgłowia.

Drogi panie Raynod,

Sam muwi że jak pan całuje panne Montbadin to potem idziemy na spacer. Proszę, niech pan zdrowieje i szybko ją znowu pocałuje.

Z szacunkiem. Daisy Fairfax i Milisent Fairfax

PS Namalowałam tyrysa, ale nie za dobże mi poszło.

Alex zajrzała mu przez ramię.

– Nieźle jej idzie pisanie, prawda? Chociaż trzeba będzie popracować nad ortografią. A ten tygrys bardzo mi się podoba.

Chase’a coś ścisnęło w żołądku, ale bynajmniej nie z głodu.

Alex sięgnęła po drugą kartkę. Rozwinęła ją i podała mu do ręki.

– To od Rosamund.

Drogi panie R.,

Pani M. mówi, że mam się przyznać na piśmie. Wzięłam z pana biurka w bibliotece cztery szylingi i guzik z masy perłowej. To było w poniedziałek. Już je oddałam. Przepraszam, że popełniłam taki okropny uczynek. Niech pan się zmiłuje nad pańską zbłąkaną podopieczną. W Tower jest za ciemno, żeby czytać.

Z poważaniem, itd.

Sam F.

– Podejrzewam, że wzięła więcej – skomentowała Alex. – Ale przyłapałam ją tylko na tych czterech szylingach.

– Rozumiem.

– Och, muszę zaraz napisać do Johna. Siedział przy tobie całą noc, a teraz wrócił do domu, żeby się wyspać. Będzie wniebowzięty, kiedy się dowie, że doszedłeś do siebie.

– Do Johna? A kto to jest John? – zdziwił się Chase.

– Pan Barrow.

– Jesteś na ty z moim prawnikiem?

– Nie. Jestem na ty z twoim bratem. Od kiedy wyrzuciliśmy lekarzy na zbity pysk, zmienialiśmy się przy twoim łóżku. – Sięgnęła po kubek. – Napij się rosołu.

Odsunął jej dłoń.

– Co ty wyprawiasz?

– Potrzebujesz tego, żeby się wzmocnić i nabrać sił. Może zabiorę dziewczynki na lody i przyniesiemy trochę dla ciebie? Przez kilka dni nie będziesz mógł jeść nic stałego, ale lody powinny być miłą odmianą po tym rosole.

– Nie chodzi mi o rosół – zirytował się.

Do diabła, czy ten cały tydzień na wsi miał pójść na marne? Przecież wyjechał, żeby się od niej oddalić. A to, co się działo, było przeciwieństwem dystansu. To była bliskość, nieznośna bliskość.

Największa, jakiej zaznał w życiu. Czuł się, jakby dusiły go ściany pełne zębatych tygrysów i miłych słówek wypisanych na papierze.

– Powiedziałem ci jasno, że to już koniec. Z tobą, ze mną i dziewczynkami. I nagle, kiedy się budzę, nadskakujesz mi i karmisz mnie rosołem. Całe ściany oblepiasz rysunkami kwiatków, tygrysów i pirackich statków. – Gniewnie machnął ręką. – Na litość boską, Alex. Kiedy ty się wreszcie poddasz?

Na moment znieruchomiała, a potem z trzaskiem odstawiła kubek.

– W dniu wyjazdu zadałeś mi pytanie: dlaczego córka kapitana pełnomorskiego statku boi się łódek? Przypominasz sobie?

Oszołomiła go ta zmiana tematu.

– Chyba tak – mruknął.

– Więc teraz ci wyjaśnię dlaczego. W wieku dwunastu lat straciłam ojca. Nasza „Esperanza” zaczęła tonąć w czasie sztormu. Ojciec zarzucił mi koc na ramiona i zmusił, żebym odpłynęła sama w kapitańskiej szalupie. Kazał mi wiosłować najmocniej jak potrafię i obiecał, że przyholuje mnie z powrotem na statek, kiedy wszystko się uspokoi. Tylko że statek właśnie się rozpadał. Ojciec polecił marynarzom wsiąść do dużej szalupy. Został na pokładzie do końca, żeby upewnić się, czy cała załoga jest bezpieczna, ale… – Przełknęła ślinę. – Jak to się mówi, kapitan idzie na dno razem ze statkiem.

Wielki Boże. Jak ona się musiała wtedy strasznie bać.

– Próbowałam dołączyć do reszty załogi. – Potrząsnęła głową. – Ale było za ciemno i fale były za duże. W jednej chwili znaleźliśmy się daleko od siebie, i potem nie mogłam już ich odnaleźć. Wołałam i wołałam, aż dostałam chrypy. Może oni też zatonęli. Tego nie wiem. Kiedy nadszedł ranek i niebo się przejaśniło, byłam zupełnie sama. Dryfowałam na środku oceanu. Przypadkiem wypatrzył mnie marynarz angielskiego brygu i uratował. Zapytaj teraz, po ilu dniach.

– Najdroższa, nie musisz…

– Po ośmiu. – Odpowiedziała sama sobie. – Po ośmiu dniach.

Jezu.

– Bez jedzenia. Z paroma kroplami wody deszczowej. Nawet nie umiem tego opisać. Kiedy umierasz z pragnienia, czas ciągnie się w nieskończoność. Oddech za oddechem, przełykanie śliny. Tylko o tym możesz myśleć. Pod koniec zaczęłam bredzić i to było błogosławieństwo. Czasem to wszystko wraca do mnie w snach. Nie wyobrażam sobie ani łodzi, ani sztormu. Czuję tylko, jak dryfuję w ciemnościach, a kiedy się budzę, straszliwie chce mi się pić.

– To znaczy, że tej nocy, kiedy zeszłaś do kuchni….

Skinęła głową.

– Alex, tak mi przykro.

– Nie musisz się nade mną rozczulać. Przecież jestem tutaj. Przeżyłam. Masz swoją odpowiedź, Chase. Kiedy się wreszcie poddam? Nigdy. Wtedy się nie poddałam. Teraz też nie zamierzam się poddawać w twoim imieniu. – Wygładziła fartuch. – Pójdę doprowadzić się do porządku i zabrać dziewczynki na lody. Sama zjem dwie porcje, a tobie nic nie przyniosę. Kiedy wrócimy, przyślę do ciebie Rosamund i Daisy, a ty masz być dla nich miły. Mnie możesz traktować, jak ci się podoba. Ale nie wolno ci gnębić tych dziewczynek za to, że cię kochają. Nie pozwolę ci na to. I nigdy więcej nie gadaj mi głupot o tym, że jesteś „straconym człowiekiem”. Odzyskałeś już wszystko.

– Poczekaj. – Próbował wstać znowu, ale za pierwszym razem zużył wszystkie siły. – Nie odchodź. Daj mi szansę…

Zatrzymała się przy drzwiach.

– Aha, jeszcze jedno. Kiedy byłeś chory, zsikałeś się do łóżka. Dwa razy. Może warto, żebyś się o tym dowiedział.

Chase został uwięziony przez piratów, i tym razem nie wystarczyło rozplątać jakiegoś tam węzła, żeby uciec. Podczas powolnej

rekonwalescencji, leżąc w łóżku, wyuczył się Regulaminu Pirata, zrobiono mu przymiarkę drewnianej nogi i założono złoty kolczyk. Bóg jeden wie, skąd go zwędziła Rosamund. Dostawał okrętowe racje żywnościowe w postaci herbaty i rosołu. Co dwie godziny, kiedy wybijano szklanki[3].

Alexandra dobrze wyszkoliła swoją piracką załogę. Tak dobrze, że wcale nie musiała włączać się do ich pracy. Chase miał poczucie, że to ma być dla niego kara. Miał też poczucie, że na nią zasłużył.

Ale była to też świetna motywacja, by szybko wyzdrowieć.

Czwartego dnia miał już dosyć. Czuł, że jeśli jeszcze raz posłucha Daisy, czytającej o tym, jak dziewczynki wspinają się na wieże, a chłopcy zrywają kwiatki, to zwariuje.

Kiedy obie przyszły do niego po południu, siedział przy stole, wykąpany, porządnie ubrany i gotów do działania. Koniec z rekonwalescencją.

– Buu – nachmurzyła się Daisy. – Ogoliłeś się. Z zarostem bardziej wyglądałeś na więźnia.

– No i dobrze – ogłosiła Rosamund. – Teraz, kiedy wyglądasz jak człowiek, możesz pójść z nami na herbatkę.

– Na herbatkę?

– Wybieramy się na herbatkę do lady Penny – pochwaliła się Daisy. – Byłyśmy tam już dwa razy. To przyjaciółka panny Mountbatten, i ma jeża. I jeszcze wydrę imieniem Hubert i kozę, która nazywa się Marigold, dwunogiego psa imieniem Bixby i kupę innych zwierząt.

– Dosłownie kupę – podsumowała Rosamund.

– Dzisiaj będę mogła pogłaskać jeża, jeśli będę się grzecznie zachowywać. A do tego panna Teague piecze najlepsze na świecie herbatniki. – Ujęła Chase’a za rękę i poprosiła: – Chodź z nami.

– O ile wiem, nie jestem zaproszony – odpowiedział.

– Oczywiście, że może pan pójść. To znaczy, jeśli pan zechce.

W drzwiach stanęła Alexandra. Znowu miała na sobie tę ładną żółtą suknię. Nagle gorąco zapragnął pobyć na słońcu. I w jej towarzystwie.

– Jest pani pewna? – Popatrzyli na siebie. Przyjrzał jej się, próbując odgadnąć, co naprawdę myśli.

– Lady Penelope chętnie pana powita. – Naciągnęła rękawiczki krótkimi, niecierpliwymi szarpnięciami. – Przyjmuje do domu wszystkie zabłąkane stworzenia, nawet te, które nie mają żadnych manier.

Chase wiedział, jak brzmi głos kobiety, kiedy gorąco pragnie czyjejś obecności. Zupełnie inaczej. Alex wyraźnie liczyła na jego odmowę.

Znowu musiał ją rozczarować.

– Każę przygotować powóz – odpowiedział.

26

Przez całą drogę do Penny Alex przeklinała samą siebie. Po co go tam zaprosiła? Tak się ucieszyła, że znowu jest zdrowy i w pełni sił, że zapomniała o wszystkim innym. Poza tym do głowy jej nie przyszło, że on się zgodzi.

Przejażdżka na Bloom Square zajęła niewiele czasu, więc nie zdążyła się przygotować do tej wizyty.

Kiedy Chase pomagał jej wysiąść, chwyciła go mocno za rękę.

– Lady Penelope Campion i Nicola Teague to moje dwie najbliższe przyjaciółki na świecie.

– Rozumiem.

Wcale nie była pewna, czy dotarł do niego prawdziwy sens jej słów.

– Penny i Nic… to niezwykłe osoby. Nie zachowują się jak przeciętne absolwentki pensji dla panien. Jeśli pozwolisz sobie choćby na cień drwiny lub nieuprzejmości, wyrwę ci z ucha ten złoty kolczyk.

Zaklął i zaczął majstrować przy uchu, aż go w końcu zdjął.

Szkoda, że o tym wspomniała.

– I jeszcze jedno – mruknęła, gdy Rosamund sięgnęła po kołatkę. – Jeśli lady Penelope Campion poda ci kanapki, to masz je zjeść. I pochwalić.

– Dlaczego mi się wydaje, że to brzmi jak groźba?

Nie odpowiedziała. Wkrótce sam się przekona.

Drzwi się otworzyły i Penny powitała dziewczynki solennymi pocałunkami w policzek.

– Wejdźcie, moje kochane.

Wtedy zauważyła Chase’a, a Alex zaczęła się modlić w duchu: Błagam cię, Penny. Raz w życiu zachowaj spokój.

Penny zarzuciła Chase’owi ramiona na szyję i zamknęła go w solidnym uścisku, kołysząc w przód i w tył.

– Co za ulga, że pana widzę. Strasznie się martwiłam na wieść o pana chorobie. Alex dosłownie wariowała.

Cudownie. Po prostu genialnie.

– Wchodźcie do środka – zaprosiła ich Penny jeszcze raz. – Nicola już jest. Upiekła herbatniki.

– Chwileczkę. Wiesz przecież, że dziewczynki muszą ćwiczyć. Zaczynajcie – powstrzymała wszystkich Alex.

Dziewczynki dygnęły. Niezbyt elegancko, ale lepiej niż poprzednio.

– Dzień dobry, lady Penelope – powiedziały jednocześnie.

– Rosamund, czy możesz przedstawić lady Penny naszemu gościowi?

– Panie Reynaud, czy mogę przedstawić…

– Nie, nie. Odwrotnie – poprawiła ją Alexandra. – Musisz spytać lady Penelope, czy wolno ci go przedstawić, bo ona góruje nad nim rangą. I na wiele innych sposobów też.

– Alex, wiesz, że gardzę takim sposobem myślenia – wtrąciła Penny.

– Muszą się tego nauczyć. Ich opiekun chce, żeby je wychować na prawdziwe młode damy. Prawda, panie Rey-naud? – spytała, zwracając się do Chase’a.

Rosamund zaczęła od nowa. Perspektywa objedzenia się herbatniczkami dodała jej cierpliwości.

– Lady Penny, czy wolno mi przedstawić naszego opiekuna, pana Reynauda? Panie Reynaud, to jest lady Penelope Campion.

Chase nie tylko się skłonił, ale ujął też dłoń lady i ucałował ją z szatańskim wdziękiem.

– Jestem zachwycony, mogąc panią poznać, lady Penelope.

– Och – westchnęła Penny. – Jest pan uroczy. Wiedziałam, że tak będzie.

Nauka etykiety została pod drzwiami. W domu Penny i tak nie sposób byłoby przestrzegać etykiety. Wszystkie meble miały podartą w strzępy tapicerkę, a dywan chlubił się wzorem w żółte plamy na przemian z kłębami futra. Jeśli jednooki kociak akurat nie wspinał się po zasłonach z przenikliwym miauczeniem, to dwunogi pies szczekał wniebogłosy, biegając w kółko po pokoju za pomocą specjalnie dlań zrobionego wózka inwalidzkiego.

Alex bezgranicznie uwielbiała to miejsce.

Chase został przedstawiony Nicoli, która przyjęła go równie lodowato, jak Penny serdecznie. Żadnych pocałunków w rękę. Kiedy odwrócił się na moment, Nicola rzuciła Alex znaczące spojrzenie i samym ruchem ust zapytała: Dlaczego?

Alex mogła tylko wzruszyć ramionami.

Usiedli razem w salonie. Dziewczynki natychmiast popędziły do ogrodu na tyłach domu.

– Dokąd one idą? – spytał Chase.

– Podać Hubertowi herbatę – wyjaśniła Penny.

– Hubertowi?

– To wydra.

– Ach, rozumiem. Wydry to piękne stworzenia.

– Prawda? Są takie uczuciowe. Hubert uwielbia Rosamund i Daisy. Tak jak my wszyscy. Musi być pan bardzo dumny ze swoich dziewczynek.

Podsunęła mu talerz.

– Kanapkę?

Aha. Nadszedł moment prawdy.

– To mój nowy przepis – Penny wskazała na kanapki ułożone na połowie talerza. – Nazwałam go pastą tuńczykową.

– Ja… nie słyszałem o czymś takim.

– No cóż, tuńczyk to śródziemnomorska ryba, a moja kuzynka z Kadyksu niedawno napisała mi w liście, że świetnie pasuje do kanapek, podana z odrobiną kwaśnej śmietanki. Ale ponieważ nie jadam mięsa, zrobiłam swoją własną wersję. Zamiast tuńczyka mamy pastę tuńczykową. Wszystko zależy od zalewy.

Wskazała drugą połowę talerza.

– A to moja specjalność. Szynka warzywna. Wszyscy ją uwielbiają.

– Szynka warzywna?

– Moja wersja szynki, tylko że zrobiona z warzyw, sprasowanych w blok i pokrojonych na plasterki. Mówiono mi, że smakuje lepiej niż prawdziwa.

Alex pochwyciła jego wzrok.

Nie waż się zranić jej uczuć. W żadnym razie. Tego nigdy ci nie wybaczę.

– Lady Penny, to brzmi wspaniale – powiedział gładko. Przez chwilę nawet Alex mu wierzyła. – Dziękuję. Wezmę po dwie.

W końcu zjadł po trzy z każdego rodzaju i poprosił Penny o przepis. Wychwalał cukiernicze umiejętności Nicoli i słuchał, jak opowiada o swojej ostatniej fascynacji – o wyzwaniach konstrukcyjnych przy budowie tunelu pod Ta-mizą.

Nawet jeż rozwinął się pod jego dłonią i dopraszał się głaskania po miękkim brzuszku.

Nie popełnił ani jednego niewybaczalnego *faux pas*. Może oprócz tego, że był niewybaczalnie miły.

Kiedy objęły się na pożegnanie, Penny szepnęła jej przekornie do ucha:

– Jak ci się podoba bycie zakochaną?

– Jest beznadziejnie – odparła Alex równie cicho.

Bo sytuacja rzeczywiście była beznadziejna.

27

Następnego dnia w gabinecie Chase złapał się za bok i jęknął.

Barrow spojrzał na niego spod oka.

– To stan konta?

– Nie. Szynka warzywna. A może pasta tuńczykowa.

– Nawet nie będę pytał.

– Dobrze. Bo nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Barrow założył ramiona za głowę i ziewnął.

– Wiesz co, zauważyłem, że lalka Daisy nie chorowała od tygodni – powiedział.

– Podejrzewam, że moja choroba była wystarczającą rozrywką.

– Hmm – Barrow zamyślił się, spoglądając w okno. – A skoro mowa o łóżkach… zdaje mi się, że ty od tygodni nie dzieliłeś łóżka z żadną kobietą.

– Tak, w końcu udało mi się wytrzymać jakiś czas w celibacie, prawda? Wystarczyła śmiertelna choroba i się udało. – Chase zmrużył oczy. – A tak w ogóle o co ci chodzi? Tylko nie zaczynaj mi tu doradzać, żebym zatrzymał dziewczynki u siebie.

– Chciałem ci doradzić, żebyś ożenił się z panną Mountbatten. I wtedy zatrzymał dziewczynki u siebie.

Co takiego?

– To niemożliwe.

– Przecież ją kochasz, prawda? To widać.

Chase pominął to pytanie milczeniem. Bez większego trudu. Stale unikał nawet myślenia na ten temat, więc miał praktykę.

– Nieważne, co do niej czuję – powiedział. – Ja się w ogóle nie ożenię. Wiesz, z jakich powodów.

– Tak, ale te powody nie mają sensu.

– Ponoszę odpowiedzialność za śmierć mojego kuzyna. Nie zamierzam zastąpić dziedzictwa Anthony'ego moją żałosną progeniturą. Tytuł powinien należeć do niego. – Zawahał się, a potem postanowił wyłożyć kawę na ławę. – A jeśli to niemożliwe, to powinien przypaść tobie. Jesteś ode mnie starszy. I obaj jesteśmy z krwi Reynaudów.

Barrow rozsiadł się wygodniej i skrzyżował nogi.

– Aha. Rozumiem, że nadszedł czas, by poruszyć ten temat, tak?

– Czemu nie. – Chase wskazał gestem otaczające ich papiery, będące świadectwem olbrzymiego bogactwa i własności ziemskiej. – Byłby z ciebie o wiele lepszy książę niż ze mnie. Jesteś pewien, że nie mogę ci tego wszystkiego oddać? A przynajmniej połowy?

– Obawiam się, że nie. Wszystko obejmuje majorat[4].

– No to poszukaj jakiegoś prawnego wykrętu.

Barrow zaśmiał się.

– Wezmę to pod uwagę.

– Mówię poważnie.

– Chase, będzie z ciebie lepszy książę niż połowa arystokratów w tym kraju. Choćby dlatego, że troszczysz się o podopiecznych majątku. Nie umknęło mojej uwagi, że od kiedy przejęliśmy zarządzanie tym wszystkim, poprosiłeś mnie o ustanowienie aż sześciu trustów i zapisów na rzecz „oddanych służących". Znam wszystkich twoich służących. Żaden z nich nie jest szczególnie oddany.

Chase westchnął. Trudno było się z tym spierać.

– Domyślam się więc, że nie jestem jedynym bękartem twojego ojca – dodał i umilkł na chwilę. – Co chcesz zrobić z dziewczynkami? – zapytał,

zmieniając temat.

– Nie wiem. – Chase zasłonił oczy. – Może też są jego dziećmi, ale nie mam co do tego pewności. Zresztą to nie czyni żadnej różnicy. Zamierzam na nie łożyć. Na szkoły, posagi, fundusze majątkowe.

– Innymi słowy, jesteś gotów zająć się wszystkimi bękartami twojego ojca, ale własna rodzina cię nie interesuje?

– Do ciężkiej cholery, Barrow. Nie obchodzą mnie jego bękarty. To tylko kwestia pieniędzy.

Twarz Barrowa skamieniała.

– Rozumiem.

– Nie o to mi chodziło. – Chase przeklął swoją bezmyślność. – Ale sam widzisz, jaki jestem. Beznadziejny w tych sprawach. Z przyjaźnią może jakoś bym się uporał. Ale z prawną opieką? Rodziną? W żadnym razie. Po śmierci Anthony'ego zawiozłem jego ciało do domu, do Belvoir. Wysłałem posłańca z wiadomością, żeby ich uprzedził, ale jakimś cudem dojechałem pierwszy. Wuj dowiedział się o śmierci swego syna w chwili, gdy zobaczył jego zwłoki. Wiesz, jak to jest, kiedy komuś pęka serce z żalu, a ty stoisz obok?

Barrow potrząsnął głową.

– A ja wiem. I nigdy więcej nie chcę przeżyć czegoś takiego.

Milczeli dobrą minutę.

– Chase, kiedy się kogoś kocha, zawsze jest ryzyko, że się go zrani. Ale jeśli je odepchniesz, to już nie będzie ryzyko, tylko stuprocentowa pewność. Widziałem, jak ta kobieta siedziała dniem i nocą przy twoim łóżku, kiedy byłeś o krok od śmierci. – Uniósł brew. – Zeszczałeś się, wiesz? Dwa razy.

– Owszem, już to słyszałem – odpowiedział z irytacją. – Dziękuję, że mi o tym przypominasz. Po raz kolejny.

– Alexandra jest w tobie zakochana. Jeśli nie potrafisz pokochać jej z wzajemnością, powiedz jej to prosto w oczy. I to jak najwcześniej.

Chase skinął głową. Brat, ten mądrala, jak zwykle miał rację.

– Obiecałem im, że jutro pójdziemy razem do British Museum. Porozmawiam z nią przy pierwszej okazji.

Nie minęły nawet dwie minuty w Sali Egipskiej, a Alexandra już wiedziała, że ta wycieczka to był najlepszy pomysł, na jaki wpadła tego lata.

– Spójrz na nie. – Trąciła Chase'a łokciem. – Czy kiedykolwiek widziałeś je tak szczęśliwe?

– Oczywiście, że są szczęśliwe – odparł ze znacznie mniejszym entuzjazmem niż ona. – Daisy jest otoczona śmiercią… w każdej gablocie ma po trzy mumie. A Rosamund w życiu sobie nie wyobrażała, że można nakraść tyle złota.

– Pomyśl o korzyściach edukacyjnych.

Daisy założyła okulary i pochyliła się nad tabliczką w gablocie bogato rzeźbionego kamiennego grobowca. Sylabizowała głośno:

– Sar-ko-fag.

– Chodź, popatrz. – Rosamund pomachała ręką, przywołując siostrę. – Zanim zabandażowali mumię, wyjmowali wszystkie narządy i wsadzali je do złotych dzbanów. Ten jest na mózg – dodała, wskazując palcem. – Piszą tu, że wyciągali go przez nos.

– Ojej!

Alex odwróciła się do Chase'a.

– Nie powiesz mi chyba, że się niczego nie uczą.

Tylko pokręcił głową.

W duchu musiała mu przyznać nieco słuszności. Ona także miała nadzieję, że dziewczynki z czasem znajdą sobie inne zainteresowania. Albo będą rozwijać obecne, ale w mniej makabryczny i przestępczy sposób.

– Czy możemy iść do sali z osobliwościami z Mórz Południowych? – spytała Rosamund. – Chciałabym zobaczyć mapy i rzeczy kapitana Cooka.

– Ruszajcie przodem – zachęciła ją Alex. – Ale miej na oku Daisy. Dołączymy do was za chwilę. Tylko nie biegajcie!

Kiedy wyszły z Sali Egipskiej, Alex podeszła do zacisznego zakątka pomiędzy wystawami.

– Musimy porozmawiać.

– Też o tym myślałem.

– Lato zbliża się do końca.

Skinął głową.

– I nasz kontrakt również.

– Tak. – Ściszyła głos. – Obiecaj mi jedną rzecz, jeśli możesz. Kiedy już wyślesz je na pensję, nie każ im zostawać tam na wakacje. Jeśli nie chcesz, żeby wracały do ciebie do domu, przyślij je do mnie. Ja spędziłam w szkole wszystkie wakacje i to było strasznie smutne.

– Na pewno nie wszystkie.

– A gdzie miałabym pojechać? Nie miałam żadnej rodziny. Któregoś roku jedna z koleżanek zaprosiła mnie do siebie na wieś na wakacje. Ale nic z tego nie wyszło.

Nie opowiedziała mu nic więcej. Nie wspomniała, że ta dziewczynka – Violet Liddell – przez całe tygodnie opowiadała jej o różnych wspaniałych rzeczach, które będą robić razem. Pikniki, wycieczki do wiejskiego sklepu po wstążki, gadanie i śmiechy w łóżku aż do rana, i tak dalej. Alexandra marzyła o tym co noc przez długie miesiące, wyobrażając sobie, jakie przygody ją czekają razem z Violet. Ale jej największe marzenie nie miało nic wspólnego z przygodami. Śniła o niedzielnych obiadach w rodzinnym gronie.

Kiedy skończył się semestr i po Violet przyjechali rodzicie, Alex czekała na dworze z kufrem, ubrana w najlepszą sukienkę, nie mogąc się doczekać, aż wyruszą w drogę. Myślała, że zostanie przedstawiona państwu Liddell, ale Violet wcale tego nie zrobiła. Zamiast tego odwróciła się do niej z okrutnym uśmiechem i powiedziała:

– Mam nadzieję, że miło spędzisz tu lato, Alexandro.

A potem wsiadła do rodzinnego powozu i odjechała.

Alex zapamiętała na całe życie ten wstyd, kiedy ciągnęła kufer do sypialni, schodek po schodku, a reszta dziewczynek stała naokoło, pękając ze śmiechu. Były doskonale o wszystkim poinformowane. Wiedziały, co się stało.

– Po prostu mi to obiecaj – nalegała. – Wielkanoc, święta, lato. Nie zostawiaj ich tam samych. Muszą czuć, że mają własny dom.

– Niech to szlag – mruknął, odwracając się do ściany.

– O co chodzi?

– Zobaczyłem znajomego, za którym raczej nie przepadam.

– Gdzie? – odwróciła głowę.

– Nie patrz tam – syknął. – Mam nadzieję, że mnie nie zauważy.

Z powrotem spojrzała przed siebie.

– Oby nikt nie zauważył, że oglądamy sobie pustą ścianę.

– Już dobrze, spójrz na niego. Tylko przelotnie. Jest po drugiej stronie galerii. Taki niski facet, który nadrabia niedostatki wzrostu absurdalnie wysokim kapeluszem.

Odwróciła się, udając, że rozgląda się bez celu. Trudno zresztą powiedzieć, co było bardziej sensowne: czy rozglądanie się naokoło bez celu, czy wpatrywanie się w pustą ścianę.

W końcu spostrzegła mężczyznę, o którym mówił Chase. Ścisnęło ją w żołądku.

– Uspokój mnie, że on wcale na nas nie patrzy – mruknął Chase.

– Owszem, patrzy – odparła. Co miało oznaczać, że najchętniej zebrałaby suknię w garść i popędziła w przeciwną stronę.

– Reynaud? – odezwał się czyjś głos z drugiego końca galerii. – Chase Reynaud, czy to ty?

Chase zaklął pod nosem.

– Nie mamy szans na ucieczkę. – Odwrócił się i uniósł dłoń w niechętnym powitaniu. – To jest sir W…

– Sir Winston Harvey.

– Znasz go?

– Przez trzy lata nakręcałam zegary w jego domu.

– To wiesz, jaki on jest nieznośny.

Poczuła gęsią skórkę na ciele.

– Oj, tak.

W międzyczasie sir Winston żegnał się ze swoim przygodnym rozmówcą, żeby jak najszybciej dotrzeć do nich.

– Pójdę do dziewczynek – powiedziała Alex. – Są w sali greckich rzeźb.

– Nie, zostań. – Przytrzymał ją i wziął pod ramię. – Jeśli sobie pójdziesz, ten typ poczęstuje mnie opowieściami o swoich obleśnych przygodach w burdelu. Wydaje mu się, że to na mnie robi wrażenie.

– Wolę iść do dziewczynek.

– Co on ci zrobił? – Chase wychwycił napięcie w jej głosie. – Powiedz.

– Głównie się gapił – odpowiedziała szeptem. – Raz czy dwa mnie uszczypnął. No wiesz, tak jak zawsze.

– Jak zawsze?

– Jak zawsze, w jego przypadku. Chase, to było sto lat temu. Przecież mnie nawet nie pozna. Po prostu mnie puść.

Ale już było za późno. Mężczyzna stał o krok od nich.

Nie mieli szansy na ucieczkę.

28

Chase nie przepadał za aktami przemocy. Nie miał nic przeciwko drobnej zemście od czasu do czasu, ale zazwyczaj mu się to nie udawało. Zawsze się spóźniał i przychodził, gdy już było po wszystkim.

Dziś wreszcie nadarzyła mu się okazja.

– Reynaud, ty łajzo. Ostatnio wcale nie widuję cię w klubach. – Sir Winston przeniósł uwagę na Alex i obrzucił ją obleśnym spojrzeniem. – Dobrze wiedzieć, że dalej jesteś w formie. A to kto?

– Jestem tylko guwernantką – odpowiedziała pośpiesznie Alex.

– Wcale nie jesteś tylko guwernantką – poprawił ją Chase. – Na pewno nie „tylko”.

– To chyba oczywiste, że jest u ciebie nie tylko guwernantką. – Sir Winston znacząco puścił do niego oko. – One zawsze są czymś jeszcze, prawda?

Chase poklepał go po ramieniu, jakby rozbawił go ten żart. A potem, odwracając się tyłem do sali, wymierzył solidny cios pięścią w brzuch obleśnego łajdaka.

Kapelusz sir Winstona potoczył się po podłodze.

Mężczyzna zgiął się wpół i jęknął.

– A to za co, do cholery, Reynaud?

– Proszę przeprosić pannę Mountbatten.

– Niby za co?

– Za to, że ją dzisiaj obraziłeś. To na początek. I że za dużo pozwalałeś sobie wobec niej w przeszłości.

– W przeszłości? Na litość boską, człowieku. O co ci chodzi? Widzę tę spódniczkę pierwszy raz w życiu.

Alex pochyliła głowę, unikając wzroku zaciekawionych zwiedzających.

– Mówiłam ci, że nie będzie mnie pamiętał – mruknęła.

– Ale skoro już o tym mowa, to chętnie się z nią zapoznam. Jak z nią skończysz, przyślij do mnie – dodał jowialnie sir Winston i schylił się po kapelusz.

Chase stanął nad nim. Patrząc prosto w oczy swego adwersarza, powoli opuścił nogę i zgniótł bobrowy cylinder, nadając mu kształt filcowego, przypalonego naleśnika.

A masz, łajdaku. Spróbuj mi się teraz zrewanżować.

– Przeproś pannę Mountbatten – warknął przez zaciśnięte zęby. – Bo, na wszystkich egipskich bogów, wyciągnę ci mózg przez nos i wsadzę cię do tego sarkofagu na następne trzy tysiące lat.

Sir Winston wiedział, kiedy się poddać. Wyprostował się i skłonił.

– Przepraszam, panno Montbarren.

– Mountbatten.

– Panno Mountbatten.

Poczekali, aż ta żałosna namiastka człowieka opuści galerię, zabrali dziewczynki i wyszli z muzeum, choć Rosamund i Daisy głośno się temu sprzeciwiały. Kiedy czekali na powóz, Chase przekupił dziewczynki pomarańczami kupionymi od ulicznego sprzedawcy.

W domu obie popędziły na górę, żeby przerobić Millicent na mumię. Chase skierował się do gabinetu. Alexandra weszła za nim, a potem zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

– Co za bezczelny łajdak. – Ściągnął rękawiczki i trzasnął nimi o kant biurka. – Przykro mi, że cię zdenerwował.

– Owszem, sir Winston Harvey mnie zdenerwował, ale to, co ty potem zrobiłeś, było o wiele bardziej krępujące. Wystawiłeś mnie na pośmiewisko.

– Chwileczkę. Nie rób ze mnie czarnego charakteru. Ten drań zasługiwał na wszystko, i jeszcze na więcej. Szkoda, że nie miał więcej kapeluszy.

– Uraził twoją dumę, więc się mścisz, prawda? A zastanawiałeś się choć przez moment, co ja czuję?

– Twoje uczucia były dla mnie najważniejsze. Jak on śmiał odzywać się do ciebie w ten sposób! Jakbyś była moją…

– …kochanką? – dokończyła.

Łagodnie mówiąc, pomyślał.

– Oczywiście, że uznał mnie za twoją kochankę. – Podeszła do biurka i oparła na nim dłonie. – A wiesz dlaczego? Bo nią jestem. I nie minie dzień, a wszyscy w Mayfair się o tym dowiedzą.

– Po pierwsze, nie jesteś moją kochanką – odpowiedział. – Po drugie, nie martw się o plotki. Szczerze wątpię, żeby sir Winston Harvey miał ochotę rozpowiadać o tym, co się stało.

– Nie odważy się powiedzieć ani słowa o tym, że podeptałeś jego kapelusz. Cały jad zachowa, żeby rozpowiadać wszystkim o mnie. Boże, ależ ty jesteś naiwny.

– Ja? Ty mnie nazywasz naiwnym?

– Owszem, ciebie. Chase, jesteś bogatym człowiekiem, z dobrą pozycją społeczną. Niedługo zostaniesz księciem. Ludzie wybaczą ci wszystko. Kobiety takie jak ja nie mają aż tyle szczęścia. Zarabiamy na życie, świadcząc usługi wyżej urodzonym od nas. Najmniejszy ślad skandalu jest równoznaczny z ruiną. Nikt nas więcej nie zatrudni przez resztę życia. Tak działa angielskie społeczeństwo.

– W takim razie angielskie społeczeństwo powinno się poprawić.

– Jeśli nie planujesz zmienić go przed końcem lata, to proszę cię, nie rzucaj mu mnie na pożarcie. – Założyła ręce na piersi i zaczęła chodzić po

pokoju. – A co będzie, gdy rozejdą się plotki, że twoja guwernantka jest tak naprawdę twoją kochanką…

– Nie jesteś moją kochanką.

– …i przez to Rosamund i Daisy nie zostaną przyjęte do szkoły? Ja naprawdę liczę na te dodatkowe dwieście funtów, które mi obiecałeś. Kiedy skończy się lato, będę musiała zarabiać na życie.

Tak jakby mógł ją wypuścić od siebie bez grosza i pozwolić, by przymierała głodem.

– Nie martw się o swoje wynagrodzenie. Wiesz przecież, że się tobą zaopiekuję.

– Naprawdę? A niby jak? Wynajmiesz dla mnie domek gdzieś na wsi, wyznaczysz dochód i dasz mi damę do towarzystwa? Jak kochance?

– Po raz ostatni. – Wstał, obszedł biurko i złapał ją za ramiona. – Nie jesteś moją kochanką.

– To niby czym dla ciebie jestem? – Głos jej się załamał. – Powiedz, czym?

– Jesteś dla mnie…

Wszystkim.

Wygięła wargi w gorzkim uśmiechu.

– Nie zmuszaj się do odpowiedzi.

– Do ciężkiej cholery, Alex. Nie wiem, jak to nazwać. – Przyciągnął ją mocno do siebie. – Wiem tylko, że prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę ci odejść.

Kiedy usta Chase’a zgniotły jej wargi, odpowiedziała tym samym. Akcja równa się reakcji.

Efekt był oszałamiający.

Przez cały ten czas całowali się już wiele razy. Namiętnie, czule, ukradkowo, w sekrecie… ale gdyby wiedziała, ile emocji daje gniewny pocałunek, kłóciłaby się z Chase’em co noc.

Walczyli ze sobą, chwytali się wargami, karząc się nawzajem za niewyznane sobie grzechy. Jakże stęskniła się za jego ciepłem, zapachem i głodną namiętnością. Za tym twardym ciężarem, który czuła w dłoni, za słonym smakiem jego skóry na języku.

Tak długo na to czekała. Za długo. Z jego winy.

Chwycił jej pośladki, podniósł ją i posadził na biurku. Dokumenty i pióra poleciały na podłogę.

W którymś momencie przestali walczyć ze sobą i zaczęli walczyć z tym, co ich dzieliło. Zjednoczyli się w walce przeciwko odzieży. Toczyli pojedynki z guzikami i brali do niewoli koronki. Halki pomaszerowały na północ. Koszula zabłysła jak biała flaga i opadła w dół.

Gdy ich nagie ciała spotkały się wreszcie ze sobą, zapałały takim żarem, że oboje jęknęli.

Jego chciwe usta i ręce przesuwały ją dalej na biurko. Chciał ją mieć pod sobą. Nie tym razem. Przekręciła się, popchnęła go, pociągnęła, poprowadziła, aż w końcu położył się na plecach na biurku, a ona uklękła nad nim.

To jej się spodobało.

Spojrzała z góry na ten mocny, gładki tors, przeciągnęła dłońmi po mięśniach i ścięgnach, a potem zrobiła to samo paznokciami, lekko skrobiąc skórę. Podrzucił biodrami. Poczuła jego wzwód na brzuchu. Agresywny, niecierpliwy.

Cierpliwości. Nie tak szybko.

Pochyliła się, by go pocałować. Przesunęła językiem i zębami po szyi i sutkach, radując się każdym urywanym oddechem i jękiem. Wsunął palce w jej włosy, wyciągnął spinki z fryzury i chwycił w garść opadające swobodnie loki. Pociągnął mocno, wywołując dreszcz podniecenia, który dotarł aż do stóp.

Odzyskał nad nią nieco kontroli i wykorzystał to, przyciągając ją to siebie, by spotkały się ich języki i zęby. A potem zepchnął ją w dół, coraz

niżej i niżej, aż zrozumiała, czego chce.

Dobrze. Dostanie to. Ale nie od razu.

Droczyła się, rozpinając klapę spodni.

Guzik po guziku.

Jeden…

I drugi…

I następny.

Potem wsunęła dłoń do środka, zaciskając palce na jego członku.

Jeden…

I drugi…

I następny.

W końcu wyjęła gruby, zaczerwieniony, pulsujący drąg mięśni i zaczęła okrywać go pocałunkami od spodu.

Jeden…

I drugi…

I następny.

Warknął jak dzikie zwierzę. Zwierzę, które pragnie, by je oswoić. Chwycił mocniej jej włosy.

– Alex, ty mnie wykończysz.

Nie można było na to pozwolić.

Nigdy w życiu nie czuła się tak potężna. Dla reszty świata była drobna, szczupła i mało ważna. Albo nawet niewidzialna. Ale tutaj i teraz sprawiła, że ten potężny mężczyzna dygotał pod jej najlżejszym dotykiem. Błagał o dotyk jej warg.

Westchnął z tęsknotą i puścił jej włosy. Wygiął biodra, by wejść w nią jeszcze głębiej.

Przyjmij mnie całego, prosiło jego ciało. Weź w siebie wszystko.

Ona też chciała go mieć całego.

Jeszcze kilka razy przekornie musnęła go językiem, a potem podniosła głowę. Podciągnęła suknię do pasa i usiadła na nim okrakiem, przyciskając

kroczem jego sztywny członek, położyła mu dłoń na piersi i zaczęła się o niego ocierać.

Tak. Tak. Tak.

Położył jej dłonie na biodrach i nadał im szybszy rytm. Czuła jego twardość napierającą tam, gdzie powinna, budzącą fale rozkoszy, która śpiewała w jej żyłach.

Wpatrywała się w jego oczy i dosiadała go z coraz większą odwagą i pożądaniem. Jeszcze szybciej. Rozchyliła wargi i oddychała urywanie. Oczy zaćmiła jej rozkosz, coraz większa i większa, aż jeden idealny, świetlisty promień przebił tę mgłę i zepchnął ją w otchłań spełnienia.

Nie przestając poruszać biodrami, dotrwała do końca orgazmu, a potem dalej się kołysała, czekając, aż on osiągnie szczyt.

Napiął uda. Był już blisko.

– Chase – szepnęła. – Zostań ze mną.

Nie odpowiedział ani słowami, ani bez nich. Odrzucił głowę do tyłu, napinając szyję. Zacisnął powieki. Chwycił jej biodra i nadał jej własne tempo, poruszając nimi energicznie, aż zadygotał i osłabł.

Zapadła cisza, przerywana tylko jego chrapliwym oddechem.

Przyciągnął ją do piersi. Rozlane nasienie skleiło skórę na ich brzuchach. Słyszała, jak bije jego serce.

– Gdzie ty się podziewasz?

W jego głosie zabrzmiało zdziwienie.

– Tutaj. Na biurku. Pod tobą.

– Nie o to mi chodzi. Zawsze, kiedy jesteśmy ze sobą, pod koniec gdzieś się wymykasz. Nie wiem dokąd. Ale na pewno nie jesteś wtedy ze mną.

Pogłaskał ją po włosach.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Sama nie jestem tego pewna.

Wysunęła się z jego objęć i niezgrabnie zsunęła z biurka. Jakie to niesprawiedliwe, że kiedy zaczynali się kochać, składała się z piersi, bioder

pewnych siebie dłoni, a kiedy było po wszystkim, zostały jej tylko łokcie i kolana!

Podciągnęła rękawy sukni na ramiona, żeby jak najszybciej się wymknąć. Jeśli on zawsze gdzieś się oddala, ona też może to zrobić.

– To nasz ostatni raz. Nie mogę być twoją kochanką, czy jak tam chcesz to nazywać.

– A ja nie mogę ci zaofiarować nic więcej.

– Nigdy o tym nie marzyłam.

Co za kłamstwo. Marzyła o tym, zanim dowiedziała się jak on się nazywa, a ostatni raz marzyła pięć minut temu. Ciągle, co chwila. Jak głupia.

Przecież on miał zostać księciem. A dziewczyny takie jak Alex, w których żyłach płynęła hiszpańska i wyspiarska krew, kompletne sieroty, katoliczki, z dołów społecznych – nie nadawały się na księżniczki. Dziewczyn takich jak Alex nie zapraszało się nawet do koleżanek na wakacje. Pracowały ciężko, za niewielkie pieniądze. Panowie podszczypywali je w korytarzu albo w ogóle nie zwracali na nie uwagi.

I zapominali o nich natychmiast, gdy wyszły z pokoju.

29

Chase siedział przy biurku ze szklanką brandy i przeglądał listy z najlepszych pensji dla panien w całej Anglii.

Naturalnie, wszystkie z zaproszeniami dla dziewcząt. Obietnica szczodrej darowizny czyniła cuda w tej mierze.

Nie wiedział tylko, czym ma się kierować przy wyborze. Filozofią szkoły? Popularnością wśród arystokracji? Bliskością do Londynu albo Belvoir?

Kiedy posortował listy na cztery różne sposoby, w końcu zrozumiał, na czym polega problem. Nie chodziło o to, którą szkołę chce dla nich wybrać.

Tylko o to, czy zniesie rozstanie.

Rozważania przerwał mu odgłos kroków na schodach. Podniósł głowę i zdążył dostrzec białą, ciemnowłosą postać, która przemknęła się do drzwi. Otworzyła je, a potem zamknęła. Albo to był jakiś psotny duch, albo Alexandra właśnie wybiegła z domu.

Chase nie wierzył w duchy.

Wstał i ruszył za nią w chłodną jesienną noc.

– Alex? – Rozglądał się na wszystkie strony. Nigdzie jej nie było. Zawołał więc głośniej: – Alexandra!

– Tu jestem.

Głos dochodził z trawnika na środku skweru. Ale natrafił na nią, dopiero gdy przeszedł przez ulicę i bezskutecznie rozglądał się po parku.

O mało się o nią nie potknął.

– Alex, dlaczego leżysz tu na trawie w środku nocy i do tego w bieliźnie? Co to ma być, do jasne j cholery?

– Kometa. To może być to. – Trąciła nogą jego but. – A teraz bądź tak miły i wracaj do siebie. Zasłaniasz mi niebo.

Zamiast tego położył się obok niej.

– Powiedziałam ci, wracaj do domu.

– Nie zostawię cię tutaj.

Poczuł, jak zadrżała.

– No dobrze, jak chcesz.

– Jeśli to kometa, to nie potrzebujesz przypadkiem teleskopu?

– Nie teraz. To jest naprawdę smuga. Nie znalazłam jej wśród obiektów Messiera ani na mojej liście znanych komet. Muszę ją teraz obserwować, żeby sprawdzić, czy porusza się w odniesieniu do gwiazd.

– Którą część nieba obserwujemy?

– Spójrz na przedłużenie mojego palca. – Przysunęła się do niego i wskazała na niebo. – Widzisz te gwiazdy w trójkącie? Tuż nad najniższą z nich jest malutka smuga. Masz ją?

– Tak mi się zdaje.

Szczerze mówiąc, widział tylko zwykły galimatias gwiazd, ale nie chciał jej rozczarować. Pragnął uczestniczyć w tym, co się działo.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby się upewnić? – zapytał.

– Co najmniej kwadrans. Może trochę dłużej.

– Będę liczył czas. – Otworzył wieczko zegarka i delikatnie pomacał cyferblat, żeby wyczuć wskazówki.

Leżeli w milczeniu chyba przez godzinę.

– Ile czasu minęło? – zapytała.

Chase sprawdził, znowu wyczuwając wskazówki palcami.

– Nie jestem pewny. Ale wydaje mi się, że około trzech minut.

Jęknęła.

– To nie do wytrzymania.

– Jak to mówią, czekającemu czas się dłuży.

Minęła cała wieczność. Może nawet pięć minut. Chase z trudem znosił tę pełną napięcia ciszę.

– Trapi mnie koszmarny sen – powiedział. – Ciągle się powtarza. Jest rano, a ja stoję w dziecinnym pokoju. Wszyscy tam jesteśmy i jak zwykle patrzymy na łóżko. Przygotowuję się, żeby powiedzieć coś o tragicznym zgonie z powodu owsików, gdy nagle uświadamiam sobie, że ręka, którą trzymam, nie jest żywa. Tylko drewniana. Uświadamiam sobie, że to ręka Millicent, a ciało na łóżku to Daisy.

Poczuł dłoń Alexandry w swojej i mocno ścisnął jej palce.

– Po prostu tam leży. Jest blada i nieruchoma. Na oczach ma guziki. Zaczynam na nią krzyczeć. Potrząsać jej drobnym ciałkiem. Ale nie mogę zdjąć tych guzików, żeby ją obudzić, i nagle… łóżko zaczyna się zmieniać. Staje się szare i nierówne. To bruk w tamtym zaułku. Pod ciałem tworzy się kałuża krwi. Gorączkowo szukam rany, chcę ją ucisnąć ręką, ale nie mogę jej znaleźć. A kałuża rośnie. Wtedy…

– Co wtedy?

– Wtedy się budzę. Pokryty zimnym potem.

– Och, Chase. Tak mi przykro. To brzmi okropnie.

– Bo to jest okropne. Przeraża mnie nawet na jawie, kiedy wiem, że to był tylko sen. Ten strach jest coraz większy i wiem, dlaczego tak jest. Dlatego, że je… – przerwał, by przełknąć ślinę. – Dlatego, że je kocham.

Mocno ujęła jego dłoń.

Zaklął.

– Ja cholernie kocham te dziewczynki, Alex.

– Wiem o tym. Od dawna.

– Tak, tak. Ty wiesz wszystko. – Trącił ją łokciem. – Mogłabyś przynajmniej poczekać, aż wyrzucę z siebie wszystkie strapienia na tę trawę i dopiero potem zacząć się nadymać.

– Przyjmuję naganę. Mów dalej.

– Jest coraz gorzej. Strach walczy z uczuciem i wzajemnie się nakręcają. Na samą myśl, że ktoś miałby je skrzywdzić, a ja nie mógłbym im pomóc, ogarnia mnie cholerne przerażenie.

– To chyba normalne.

– Nie chodzi tylko o wypadki i choroby. Chodzi o wszystko. Rosamund ma dziesięć lat. Co ja zrobię, jeśli mi powie, że jakiś chłopak jej się podoba? Albo, co gorsza, ona spodoba się jakiemuś chłopakowi? – Nagle skrzywił się, bo przyszła mu do głowy jeszcze gorsza rzecz, chyba najbardziej przerażająca ze wszystkich. – Na litość boską, co ja do diabła mam zrobić, kiedy ona będzie miała pierwszą miesiączkę w życiu?

Alex wybuchnęła śmiechem.

– Przestań się śmiać, ja mówię poważnie. Nie wierzę, że sprawdzę się jako ich opiekun. Jakim cudem? Nikt inny też by mi nie zaufał.

– Właśnie, że nie. Ja jestem przekonana, że będziesz doskonałym opiekunem. Mówię to z całą szczerością. Dlatego, że też je kocham i nie mogłabym ich zostawić pod koniec lata, gdybym nie miała do ciebie pełnego zaufania. Lepiej ci teraz?

– Trochę.

Jeszcze lepiej by było, gdyby nie musiała odchodzić pod koniec lata. A najlepiej, gdyby w ogóle nie musiała odchodzić.

– Chase. – Złapała go za ramię, jakby nagle sobie przypomniała, dlaczego w środku nocy leżą na trawie na tym skwerku. – Jak myślisz, minął już kwadrans?

Pomacał zegarek.

– Co najmniej.

– Och, nie. Zgubiłam tę smugę.

– Niebo nie jest aż tak duże. Nie mogła się za bardzo oddalić.

– Cicho bądź. – Wstrzymała oddech, wpatrując się w ciemność nad ich głowami. – Jest! Teraz porusza się śladem Altaira. – Wstała, a on został na trawie sam, zupełnie skołowany.

– Zaczekaj! – zawołał za nią. Była już w połowie drogi do domu. – To dobrze czy źle? Co to znaczy „Altair?”

– To „orzeł w locie” po arabsku. – Doszła do drzwi, odwróciła się i dodała: – A konkretnie znaczy to, że muszę natychmiast pojechać do Królewskiego Obserwatorium.

W tym momencie rozpoczął się wyścig.

Chase pozbierał się z trawy i wszedł za nią do domu.

Odwróciła się ku niemu.

– Jak myślisz, gdzie znajdę o tej porze dorożkę?

– Dorożkę? Nie bądź śmieszna. Każę zaprzęgać do powozu. Przebierz się w coś cieplejszego i spotkamy się przed domem.

– Pojedziesz ze mną?

– W żadnym razie nie pozwolę, żebyś sama jechała aż do Greenwich i to w środku nocy.

– A dziewczynki?

– Powiem pani Greeley, że wyjeżdżamy. Zajmie się nimi. Wrócimy rano, nim się obudzą. – Ujął ją za ramiona. – Idź na górę. Włóż buty i płaszcz. A resztę zostaw mnie.

Skinęła głową.

– Dobrze.

– Zejdę na dół i powiem stangretowi, że jedziemy do Greenwich.

– Poczekaj – przerwała mu zdecydowanie. Wreszcie mogła myśleć jasno. – Powiedz mu, że jedziemy do nabrzeża w Billingsgate.

– Do nabrzeża?

– Tak. – Wzięła głęboki oddech. – Musimy popłynąć łodzią.

– Zwariowałaś? Za nic nie wsadzę cię na łódź. Nie po tym, co mi opowiedziałaś o zatonięciu statku, śmierci twojego ojca i samotnym dryfowaniu po oceanie, bez wody i jedzenia.

– Wiem, co ci opowiedziałam, Chase. Nie ma czasu na próżną gadaninę o tym koszmarze. Nocą drogi są zbyt ciemne, będziemy jechać za wolno. Łodzią będzie najszybciej. Jeśli nie dotrzemy do Greenwich, zanim kometa zajdzie za horyzont, trzeba będzie czekać na weryfikację do jutra. A jutro może padać albo może zejść mgła. Jakiś inny obserwator może mnie uprzedzić. Nie chcę ryzykować.

– Dobrze, skoro jesteś pewna, że dasz radę.

Skinęła głową.

– Myślę, że tak. – Przymknęła na moment oczy, zacisnęła pięści. – To znaczy, wiem, że dam radę. Jeżeli będziesz ze mną.

Jasne, że będę z tobą. Nawet nie próbuj się wymknąć. Będziesz ze mną bezpieczna, Alex. Chętnie dałbym ci na to słowo, ale moje słowa są tak mało warte, że szkoda fatygi.

Spojrzał jej z powagą w oczy.

– Prędzej umrę, niż cię puszczę samą.

Dam radę, powtarzała sobie Alex w myśli. Dam radę, dam radę, na pewno dam radę.

W domu łatwiej jej było w to uwierzyć. Teraz, gdy stała na nabrzeżu, z każdą chwilą coraz bardziej wątpiła w swoją decyzję. Ostatni raz, kiedy tu była, wpadła do Tamizy i w efekcie życie wymknęło jej się spod kontroli.

Ale gdyby to się nie zdarzyło, nie byłaby tu dziś z Chase’em.

Właśnie w tej chwili do niej podszedł, skończywszy rozmowę z właścicielem łodzi, którego udało mu się wyrwać ze snu.

– Zaraz ruszamy. Właśnie przygotowuje żaglówkę.

– Żaglówkę? – Myślała, że to będzie ciężka, wiosłowa łódź.

– Dziś jest wiatr. Żagiel poniesie nas szybciej niż wiosła.

Tak, ale wiosłowe łodzie są bezpieczniejsze.

Popatrzyła na rzekę. Tamiza płynęła w dole, mroczna jak atrament, złowróżbna i milcząca.

– Jeszcze możesz zmienić zdanie – powiedział.

Pokręciła głową.

– Odesłałeś przecież powóz.

– Ale mogę wezwać inny.

– Nie. Popłyniemy żaglówką.

Ta noc, ta podróż prowadziły ją do celu, do którego dążyła przez całe życie. Żadne irracjonalne lęki nie przeszkodzą jej, by go osiągnąć.

Chase wsiadł pierwszy i podał jej rękę. Im bardziej zbliżała się do nabrzeża, tym bardziej serce tłukło jej się w piersi. Miała wrażenie, że piasek oblepia jej język.

– Nie patrz na wodę, Alex. Spójrz na mnie.

Posłuchała. W ciemnościach jego źrenice tak się powiększyły, że nie widać było jasnej zieleni tęczówek. Zniknął wdzięk i zaczepność, pozostała tylko szczerość.

– Weź mnie za rękę – powiedział. – Obiecuję, że jej nie puszczę.

Podała mu dłoń. Zacisnął na niej palce tak, jakby to była najzwyklejsza rzecz w świecie. W końcu robił to co rano, od tygodni.

Druga dłonią ujął jej przedramię i pomógł wsiąść do łodzi. Niezgrabnie stanęła na pokładzie, a żaglówka się zakołysała. Ogarnęła ją panika, ale nie zdążyła rozwinąć skrzydeł. Chase złapał ją w talii i posadził na ławce, a potem przyciągnął do siebie.

Sternik odbił od nabrzeża.

I nagle zaczęli dryfować. Podskakiwać na falach. Bez żadnej kontroli.

– Trzymam cię – szepnął jej do ucha.

– Wiem. – Z trudem uruchomiła wyschnięte gardło, by przełknąć ślinę. – Wiem. – Splotła dłonie na podołku. – Nie powinnam robić sobie nadziei. Obserwatorów nieba jest mnóstwo, i nie tylko w Anglii, ale też na kontynencie. Szczerze mówiąc, jakie ja mam szanse na to, że dostrzegłam ją pierwsza?

– Pewnie niewielkie.

– W dodatku nie wiadomo, czy to jest w ogóle kometa. Mogłam się mylić.

– Nie byłby to pierwszy raz.

– Dokładnie. Więc pewnie nic z tego nie wyjdzie.

Skinął głową.

– Pewnie masz rację.

Spojrzała na niego z ukosa. To dziwne, że ze wszystkim się zgadzał.

– Szczerze mówiąc, co to za zawód, łowca komet? – mruknął. – Niezbyt realistyczny.

Zesztywniała.

– Jest realistyczny, choć niezwykły.

– Naprawdę? Wymień choć jedną kobietę, która zarabia na życie jako astronom.

– Caroline Herschel.

– Świetnie. Wymień dwie kobiety, które zarabiają na życie jako astronomowie.

– Caroline Herschel i Margaret Bryan. A jeśli potrzebujesz trzecią, to Mary Somerville, od strony matematyki – odparła zirytowana. – I to tylko w Wielkiej Brytanii. Jest jeszcze Gottfried Kirch z Niemiec, który ma trzy siostry i żonę, wszystkie są astronomami. We Francji są Marie-Jeanne de Lalande i Louise du Pierry, która wykładała astronomię na Sorbonie. Mam mówić dalej?

– Tak jest – odpowiedział. – Jeszcze dwadzieścia i mnie przekonasz.

Zagryzła wargi i zamilkła. W tej samej chwili spostrzegła w jego oczach rozbawiony błysk, który go zdradził.

– Robisz to specjalnie. Kłócisz się ze mną, żeby odwrócić moją uwagę.

Nie zaprzeczył.

– Całkiem nieźle mi idzie.

Łódka podniosła się na fali, a potem opadła.

Żołądek Alex też zaczął wyprawiać skoki. Próbowała ukryć twarz na jego piersi, ale natrafiła czołem na coś twardego.

– Przepraszam. Zapomniałem o niej. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął piersiówkę, znacznie większą od tej, którą zwykle nosił ze sobą. Podał ją Alex.

– Proszę. To dla ciebie.

– To miło z twojej strony, ale chyba nie dam rady utrzymać w żołądku ani kropli brandy.

– Spokojnie. To woda. Pomyślałem, że może będzie ci potrzebna. – Wcisnął jej w dłonie piersiówkę. Jedną ręką obejmował ją w talii, a drugą zdjął srebrną zakrętkę i wsadził sobie do kieszeni. – Proszę. Pociągnij solidny łyk.

Wpatrywała się w lśniące srebro, zbyt wzruszona, by coś powiedzieć.

Przez trzynaście lat unikała łodzi. Bardzo często wybierała dłuższą drogę, marnując niezliczone godziny i cenne szylingi, żeby nie budzić licha. Pozostała w Anglii i zadomowiła się w obcym kraju, żeby tylko nie wracać do kraju swojego ojca albo matki. Stała się jeńcem swoich niepokonanych lęków.

A teraz wreszcie skonfrontowała się z tym strachem i wyruszyła w najbardziej przerażającą podróż… tylko po to, by odkryć najwspanialsze, całkowite bezpieczeństwo, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

Ależ ona kochała tego człowieka.

Pragnienie już jej nie dokuczało, ale przez resztę podróży trzymała piersiówkę w dłoniach, rozkoszując się dotykiem chłodnego srebra. Co chwila przesuwała palcem po monogramie, wyczuwając zawijasy grawerowanego „R”.

Oddała mu ją, dopiero gdy dotarli do Greenwich.

– Dziękuję.

Zakręcił piersiówkę i wsunął do kieszeni.

– Jesteś równie odważna, jak piękna. Albo jeszcze bardziej. – Pocałował ją w czoło. – Jestem z ciebie ogromnie dumny, choć właściwie nie mam do tego prawa.

Potem chwycił ją w talii, podniósł do góry i postawił na suchym lądzie.

Zakręciło jej się w głowie… z bardzo, bardzo wielu powodów.

– A teraz gdzie to jest? – spytał, odwracając się od rzeki.

– Co takiego?

– Obserwatorium. A cóż by innego?

Och. Naturalnie. Przecież po to tu przyjechali, prawda?

– Na górze – odpowiedziała. – Na górze.

– Kiedy powiedziałaś „na górze” – wysapał Chase – to nie był żart…

Dobry Boże. Od poziomu rzeki zaczynały się schody, które najpierw prowadziły na łąkę. Ta wznosiła się coraz wyżej i wyżej, stając się łagodnym trawiastym pagórkiem. A potem cholernie stromym trawiastym pagórkiem. Potem dopiero zaczynały się prawdziwe schody.

– Przecież to obserwatorium, więc nic dziwnego, że jest w najwyższym punkcie w okolicy. – Zebrała w garść spódnicę, żeby się nie potknąć o jej skraj, i żwawo parła pod górę.

Kiedy dotarli do drzwi, Alexandra się zawahała.

– O co chodzi? – zapytał.

– Boję się zastukać do drzwi. Może już śpią?

– Zdaje mi się, że obserwatorium astronomiczne to jedyne miejsce na świecie, gdzie można zapukać o północy i nie przejmować się, że mieszkańcy się obudzą.

– To może są zajęci?

Mógł sięgnąć po kołatkę i sam zastukać, ale nie zrobił tego.

– To twoje miejsce, Alex. Królewskie Obserwatorium istnieje właśnie dla takich odkryć, a astronomowie pracują dlatego, że ich pasją są odkrycia

takie jak twoje. – Założył jej kosmyk włosów za ucho. – Nie ma dla ciebie lepszego miejsca na całym świecie niż to. Właśnie o tej porze.

Skinęła głową i zastukała do drzwi.

30

Chase niewiele zrozumiał z rozmowy, jaką prowadziła Alex z asystentem w obserwatorium. Ale to nie było ważne. Fascynowało go podniecenie malujące się na jej twarzy i pełen emocji głos, kiedy dyskutowała z osobą, która w pełni rozumiała znaczenie jej odkrycia. Był trochę zazdrosny o to, że to nie on jest tą osobą i nigdy nią nie będzie – ale z drugiej strony, to on jej pomógł tej nocy i to też było ważne.

Choć umierał z ciekawości, nie chciał im przerywać pytaniami. Złamał się dopiero w kilka godzin później, kiedy wyszli z obserwatorium.

– Więc… do czego doszliście?

– Jest niemal pewny, że to kometa.

– To dobrze.

– I że do tej pory on jej nie zaobserwował.

– Jeszcze lepiej.

– Ale trzeba czasu, żeby sprawdzić, czy ktoś inny jej nie zaobserwował i nie nazwał. Będzie musiał napisać do innych obserwatoriów i sprawdzić artykuły w czasopismach.

– Ile to potrwa?

– Całe tygodnie. Może nawet miesiące.

– Miesiące? – skrzywił się.

– To dobrze – odpowiedziała. – Dzięki temu będę miała dość czasu. Czy możesz mi pomóc w znalezieniu patrona, który zapłaci, by nazwać ją jego nazwiskiem?

Zatrzymał się nagle.

– Za nic.

– Chase, ja nie mam takich powiązań jak ty. Potrzebuję pomocy, żeby znaleźć kupca.

– Nie powinnaś jej sprzedawać.

– Muszę to zrobić.

– Świetnie. W takim razie ja ją kupię, a potem ci oddam.

Spojrzała na niego.

– Nie chcę takiego układu. Nie potrzebuję jej.

– Ale ja chcę, żeby należała do ciebie. Bo ty ją odkryłaś. I powinna zostać nazwana twoim imieniem. Bo to jest cholernie męczące, być jedyną osobą na świecie, która dostrzega, że jesteś genialna. – Ujął jej twarz w dłonie, ale bez czułości. – Nie zamierzam ci pomagać w ukrywaniu tego przed samą sobą ani przed światem. Nic z tego.

Alex nie wierzyła własnym uszom.

– Jesteś najbardziej bezwstydnym hipokrytą na świecie – odpowiedziała, wysuwając się z jego objęć. – Jak ty możesz oskarżać mnie, że ukrywam się sama przed sobą? Byłabym ci wdzięczna, gdybyś tę samą przemowę wygłosił przed lustrem, panie Chasie Reynaud, bo sam siedzisz w ukryciu tak długo, że już zapomniałeś, jak to jest oddychać świeżym powietrzem. Też zasługujesz na mnóstwo rzeczy. Takich jak bliskość, rodzina i wybaczenie, którego sobie odmawiasz jak ostatni dureń. Można się załamać, patrząc na to z boku i będąc jedyną osobą, która rozumie, co się dzieje. Poza tym ja mam w tym dłuższą praktykę.

– Nieprawda. Ja rozpoznałem cię wcześniej.

– Skądże – pokręciła głową. – Zrozumiałam, kim jesteś, już wtedy, gdy po raz pierwszy trzymałam cię za rękę i słuchałam, jak wygłaszasz mowę pogrzebową dla lalki zmarłej na zapalenie płuc. Aż dziesięć tygodni temu.

– Dziesięć tygodni to nic. Ja cię przejrzałem na wylot dziesięć miesięcy temu.

Alex oniemiała.

– Co takiego?

– W listopadzie zeszłego roku zderzyliśmy się ze sobą w księgarni Hatcharda – powiedział. – Ale pewnie tego nie pamiętasz.

– Oczywiście, że pamiętam.

Nie tylko pamiętała, ale przecież myślała o tym spotkaniu co dnia.

– To ty zapomniałeś.

Potrząsnął głową.

– Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj.

– To dlaczego udawałeś, że mnie nie znasz?

Wzruszył ramionami.

– Bo zachowywałaś się wtedy jak kompletna gapa. Nie chciałem ci o tym przypominać, żeby cię nie krępować.

Co za typ.

– Oczywiście, że pamiętam nasze spotkanie – dodał. – Jak mógłbym zapomnieć? Niecodziennie wpada się na kobietę, która woli smugi na niebie od bajek. – Z lekkim uśmiechem chwycił pasmo jej włosów i zawinął sobie na palcu. – Panna Alexandra Mountbatten, o włosach czarnych jak noc i atrakcyjnej figurce, która zareagowała na flirt niezmiernie pochlebiającym mi rumieńcem.

Pogładził ją przekornie po policzku i natychmiast poczuła, jak jej skóra znowu różowieje.

– Panna Alexandra Mountbatten, posiadaczka najbardziej fascynujących i niepokojących oczu, w jakie kiedykolwiek spoglądałem. Co więcej, jakie kiedykolwiek spoglądały na mnie. Oczu, które były nie tylko piękne, ale też odważne, śmiałe i mądre. Nie bały się zaglądać w ciemność, wierząc, że kiedyś dostrzegą w niej jakiś błysk. – Jego głos pociemniał od emocji. – Nie zapomniałem cię, Alex. I nie pozwolę, żeby inni o tobie zapomnieli.

Ani Obserwatorium Królewskie, ani świat. I w ogóle cały wszechświat, skoro już o tym mowa.

Niech go diabli, świetnie mu to wyszło. Cała topniała na wieczornym chłodzie, poczynając od palców u nóg, kolan i wyżej. Za chwilę zostanie z niej tylko dziesięć tysięcy aleksandrowych kropelek rozsianych po trawie, rozpaczliwie czepiających się dziesięciu tysięcy źdźbełek.

Kompletnie zapomniała o celu tej sprzeczki. To nie było fair. Jak mogła toczyć pojedynek z człowiekiem, który latami zmieniał kobiety w rozdygotane obłoczki pary?

Nie ma innego sposobu, jak być sobą. Prostolinijną, szczerą i rzeczową.

– Kocham cię – odpowiedziała. – I co z tym zrobisz?

31

Nie.

Chase nie zamierzał nic z tym robić.

Nie potrafił zaakceptować ani tych nieprawdopodobnych słów, ani oczekiwania w jej oczach. Ani ostrego pchnięcia radości, która przeszyła jego serce, ani tego, że to serce dygotało teraz przy każdym oddechu.

Nie potrafił sobie z tym poradzić. W desperacji jego umysł znalazł jedyne sensowne dlań wyjście.

Zrobić coś z nią.

Wziąć ją w ramiona.

Zagarnąć jej usta swoimi.

I, na Boga, odebrać jej oddech. Niech jęczy w oszołomieniu, żeby nie mogła wypowiedzieć następnych strasznych słów.

To nieskończone, trawiaste zbocze, które przeklinał, gdy wspinali się do obserwatorium… Teraz je błogosławił. Ściągnął z siebie płaszcz, rozłożył go na trawie i ułożył ją na nim. Świat stał się ciemnym, intymnym pokojem o rozgwieżdżonym suficie.

Wśród pocałunków, pieszczot i pozbywania się odzieży ogarnęło ich poczucie nieuchronności.

Oboje wiedzieli, co się stanie. Co musi się stać.

– Alex… Wiesz, że nie robię tego z każdą. Szczerze mówiąc, od bardzo dawna tego nie robiłem. Choć cierpi na tym moja duma, muszę cię ostrzec, że to może nie być mistrzowskie wykonanie.

– I tak nie zauważę różnicy.

– Racja. Trochę mnie uspokoiłaś. – Ulokował się pomiędzy jej udami. – Nie chcesz, żebym poczekał? A ty sobie policzysz kostki cukru albo coś innego?

Zaśmiała się.

– Nie potrzebuję kostek cukru.

– Alexandro. – Porzucił żarty i odezwał się ze szczerą powagą: – Jeśli to zrobimy, będę cię chciał zatrzymać na zawsze. Rozumiesz to, ukochana?

Skinęła głową.

– Kiedy pytam, odpowiadaj słowami. – Zajrzał jej prosto w oczy. – Powiedz mi, że tego chcesz.

– Chcę. – Objęła go za szyję. – Chcę ciebie.

Chase miał cholerną nadzieję, że mówiła to serio, bo właśnie wyczerpała się jego dżentelmeńska cierpliwość i pozostało mu jedynie dzikie, bezmyślne pożądanie. Namiętność, która ścinała krew w żyłach. Bezrozumna potrzeba, by być w niej, by stopić się w jedno. By brutalnymi, prymitywnymi pchnięciami atakować wszystko, co ich rozdzielało.

Sięgnął pomiędzy nich, ujął penis i ustawił go we właściwym miejscu. Główka wsunęła się w wilgotne rozwarcie i ten jeden cal sprawił, że Chase zadygotał z rozkoszy i zaborczości.

Oparł się na ramionach, zacisnął zęby i pchnął, wnikając w gorące, jedwabiste ciało.

– Boże…

Zacisnęła palce na jego ramionach i gwałtownie wstrzymała oddech.

– Zabolało? – Wypowiadając to słowo, poruszył biodrami, żeby ukradkiem wsunąć się jeszcze głębiej. – Wytrzymasz?

Skinęła głową.

– Ja… Nic mi nie jest.

Dzięki Bogu.

Pocałował ją z wdzięczności. Po każdym ruchu czuł, jak się pod nim kurczy i czuł się jak potwór, bo sprawiał jej ból.

Zapomniał o wszystkich łóżkowych sztuczkach. Chciał być tylko cierpliwy i łagodny. Tylko że od wieków nie był w kobiecie. W dodatku to nie była pierwsza lepsza kobieta.

To była Alexandra.

Jego Alexandra. Na zawsze. Jego i tylko jego.

Jeszcze tylko odrobinę, obiecał sobie w duchu. Nie był przecież samolubnym kochankiem. Zrobi to powoli, da jej dość czasu, żeby do tego przywykła.

Ale najpierw jeszcze odrobinę.

I jeszcze. O Boże, jeszcze trochę. Aż zagarnie wszystko, co można wziąć. Zagłębiony po korzeń, stopiony z nią biodrami w jedność, otoczony nią bez reszty.

Nigdy w życiu nie zaznał takiej rozkoszy.

A Alex nigdy w życiu nie zaznała takiego bólu.

Wielkie nieba. Wiedziała, że dziewice boleśnie przeżywają pierwszy raz, ale nie przypuszczała, że aż tak. Rozkosz była bardziej odległa niż fatamorgana na horyzoncie. Dobrze będzie, jeśli wytrzyma do końca, nie krzycząc z bólu.

Zagryzła wargi aż do krwi, żeby się nie zdradzić. Nie chciała ranić jego uczuć.

– Alex. – Zakołysał się w niej. – Tak mi z tobą dobrze.

Warknęła z bólu przez zaciśnięte wargi. Miała nadzieję, że to zabrzmiało jak jęk rozkoszy.

– Powiedz, jak ci się podoba – powiedział.

– Jest cudownie. Rób dalej to, co teraz.

– Teraz nie robię nic.

– Wiem. – Odrzuciła głowę do tyłu na murawę i zasłoniła oczy dłonią. – Boli jak cholera. Przepraszam, ale jesteś albo wyjątkowo duży, albo wyjątkowo niezgrabny. Podejrzewam, że to pierwsze.

W jego piersi zahuczał śmiech, a kiedy dotarł do organu, który sprawiał jej ból, jęknęła.

– Trzeba było mi wcześniej powiedzieć. – Podciągnął się na rękach i ukląkł między jej nogami. – Natychmiast przerwiemy.

Zaczął się wycofywać. Ścisnęła go nogami, unieruchamiając biodra.

– Nie chcę przerywać.

– Ale…

– Jeśli za pierwszym razem ma boleć, to chcę mieć to za sobą.

– Tak, kochanie. Ale ja wolałbym, żeby nasz pierwszy raz nie był dla ciebie bólem, który bohatersko wytrzymałaś. Wyjątkowo duzi mężczyźni też mają swoją dumę.

– Nie widzę innego sposobu. Ale może jest sposób, żeby to ułatwić?

– Dzielna dziewczyna – odpowiedział ciepło. – Zawsze rozsądna, ale nic jej nie powstrzyma.

Umysł Alex zaczął gorączkowo pracować.

– Chodzi mi o to, że seks można uprawiać w wielu różnych pozycjach, prawda?

– Jest ich setki, jeśli wierzyć pewnej zaczytanej na śmierć, ilustrowanej książce w mojej bibliotece.

– Może uda nam się znaleźć mniej bolesną – odparła. – Jeśli to nie kłopot.

– Kłopot? – powtórzył. – Alexandro, właśnie poprosiłaś mnie, żebyśmy się kochali w wielu różnych pozycjach. Jeśli uważasz to za kłopot, to błagam cię, kłopocz mnie tym co noc.

Alex tylko się uśmiechnęła. Ależ ona go kochała.

O dziwo, ból zaczął ustępować. Przez czas tej rozmowy jej ciało dostosowało się do niego, tym bardziej, że nie musiała już ukrywać

niewygody ani napinać mięśni.

– W takim razie spróbujmy. – Przetoczył się na bok, pociągając ją za sobą. Przyciągnął ją za pośladki i przełożył nogę przez jej biodro. – Lepiej?

– Chyba tak.

Kiedy poruszał się, nie przygniatając jej swoim ciężarem, odczucia były dużo łagodniejsze. Była w stanie nad nimi zapanować.

Wciąż wydawał jej się nieprawdopodobnie wielki, ale zaczynała wierzyć, że da się dokonać niemożliwego.

Na próbę, ostrożnie poruszyła biodrami, czując w sobie całą jego długość. Tępy ból wciąż jej towarzyszył, ale nabrał słodyczy. Jęknęła cicho.

Zajrzał jej w twarz.

– Dalej tak boli?

– Nie. – Powtórzyła ten sam delikatny ruch. – Nie, nie było źle. Wręcz przeciwnie.

– To dobry znak.

– Tak – westchnęła, znowu poruszając biodrami. – O, tak.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Poruszali się w płynnym rytmie, a ich ciała zwilgotniały od potu.

Miała wrażenie, że wspina się na górskie zbocze, krok za krokiem. I każdy z tych kroków wynosi ją coraz wyżej. Pod szczytem powietrze stawało się coraz bardziej rozrzedzone. Oddychała z trudem. Płuca walczyły o powietrze. Kręciło jej się w głowie.

– Chase.

– Jestem – odpowiedział rozdygotanym głosem. – Dalej jest ci dobrze?

– Bardzo, bardo dobrze. A tobie?

– Umieram, przeszyty tysiącem sztyletów rozkoszy. Miło, że pytasz.

Uśmiechnęła się w duchu. Był z nią taki cierpliwy. Taki delikatny. Podziękowała mu tysiącem pocałunków wyciśniętych na szyi i piersi. Przesunęła paznokciami po jego ramieniu.

Zacisnął palce na jej pośladkach.

– Na litość boską, Alex. Chcesz zrujnować mój pokaz heroicznego opanowania?

Spojrzała mu w oczy.

– Może mam na to nadzieję.

Przycisnął czoło do czubka jej głowy i objął ją mocno. Potem pchnął silnie, głęboko, aż jęknęła.

– Tak… – szepnęła, żeby nie myślał, że to z bólu. – Nie przerywaj.

Nie musiała się fatygować. Nawet nie zwolnił.

Gdyby rozkosz była górskim zboczem, wspinałby się teraz na nie energicznym krokiem, z Alex uczepioną jego ramienia jak towarzyszka podróży.

Brał ją mocnymi, szalonymi pchnięciami, z oszałamiającą siłą. Nawet zwierzęce, gardłowe pomruki były cudownie podniecające. Kiedy warknął jej do ucha stek wulgaryzmów, nieprzyzwoite podniecenie wzburzyło jej krew.

Im bardziej szalał, tym bezpieczniej się czuła. Jego pragnienie było pierwotne i dotykalne. Czuła, że prędzej by umarł niż ją zostawił. Po raz pierwszy od wieków czuła, że jest pod czyjąś opieką. Rzeczywistą i wszechogarniającą. Wszelka niepewność, jaka stale towarzyszyła jej w życiu – nieustanny strach, który nazywała zdrowym rozsądkiem lub realizmem – opuściły jej ciało.

Szczytując, wzniosła się na niesłychaną wysokość, swobodna i nieważka.

– Boże. – Utracił rytm. Ale nie wtulił twarzy w jej szyję, we włosy albo w zgięcie własnego ramienia. Nie odszedł.

Pozostał tu i teraz. Razem z nią. I w niej.

– Alexandro.

– Jestem.

– Powiedz coś do mnie.

– To ja. – Pogładziła jego plecy. – Jesteś tutaj, ze mną. Kocham cię. Na całym świecie nie ma miejsca, które byłoby bardziej twoje.

– Alex. Boże, ja…

Obejmowała go mocno, gdy targały nim spazmy rozkoszy. Potem przycisnął ją do siebie, okrywając jej twarz gorącymi pocałunkami. Kiedy pocałował ją w nos, wybuchnęła śmiechem.

Przetoczył się na bok i ułożyli się tak jak przedtem na skwerze, trzymając się za ręce i patrząc w gwiazdy. Czy to możliwe, że działo się to zaledwie pięć albo sześć godzin temu?

Przyciągnął ją do siebie, położył jej głowę na swej piersi i zaczął się bawić włosami.

– Mam wrażenie, że cały świat wiruje.

– Bo on zawsze wiruje.

Jęknął cicho.

– Taka jest prawda. Cały czas wiruje.

– To może powiem inaczej. Ty jesteś moim światem. I nie wirujesz.

– Ależ wiruję. Tak jak i my wszyscy. Jesteśmy na Ziemi, ona wiruje, więc i my kręcimy się razem z nią.

– Zniszczyłaś taki słodki komplement.

– Takie jest życie. – Położyła mu dłoń na piersi, przykrywając dziko bijące serce. – Dla mnie prawda nie niszczy niczego. Dlaczego zrozumienie wszechświata miałoby zmniejszyć nasz zachwyt? Wirujemy bezustannie, z szybkością setek mil na godzinę, na olbrzymiej skale pośrodku niezmierzonego wszechświata. Czy to nie oszałamiające?

– Jeśli wirujemy tak szybko, to cud, że jeszcze jesteśmy na tej skale.

– To nie cud. Tylko grawitacja.

Ucałował czubek jej głowy.

– Kocham cię. Tu i teraz. Masz pod ręką jakąś astronomiczną teorię, która zrujnuje to wyznanie?

– Nie. – Była wdzięczna, że nie widzi radości na jej twarzy. – To właśnie jest cud.

– A widzisz. Dla mnie to jest najbardziej logiczna rzecz na świecie.

Łagodnie odsunął ją od siebie i pochylił się nad nią. Powiódł czubkiem palca po zarysie jej twarzy i konturach ciała.

– Słuchaj, mógłbym ci teraz skłamać, że o tej porze nie ma powozów ani łódek, albo że w nocy fala zmyła most na rzece. I że znalazłem gospodę z jedynym wolnym pokojem, więc musimy go dzielić. Ale prawda jest taka, że chcę tulić cię do siebie przez resztę nocy i mam gdzieś, co ludzie powiedzą.

Uśmiechnęła się.

– Świetny pomysł.

Kochali się w gospodzie jeszcze dwa razy, dając sobie ledwie godzinę lub dwie na odpoczynek między porywami namiętności. Nic dziwnego, że rano porządnie zgłodnieli.

– Chcesz długiego narzeczeństwa? – zapytał, przeżuwając sadzone jajko.

Alex odstawiła kubek z herbatą. Nagle straciła wiarę, że da radę utrzymać go w palcach.

– O co… o co ty mnie przed chwilą spytałeś?

Posmarował tost, złożył go na pół i pochłonął jednym kęsem.

– Jeśli poczekamy, przycichną najgorsze plotki. Możesz zamieszkać osobno, możemy dać sobie trochę czasu. Na przykład do wiosny. – Odłożył nóż i widelec, a potem popatrzył na nią przez stół. – Do cholery, ale ja nie mam ochoty czekać aż do wiosny.

– Chase, o czym ty mówisz?

– O naszym ślubie. A o czym innym?

– Nie wiem. O czymś, co może się wydarzyć naprawdę.

Odsunął od siebie talerz, oparł się o blat, pochylił i powiedział cicho:

– Wczoraj ci mówiłem, że to ma być na zawsze. A ty się zgodziłaś.

– Oczywiście, że się na to zgadzam – odpowiedziała szeptem. – Ale dlaczego mamy brać ślub?

– Sama powiedziałaś, że nie będziesz moją kochanką.

– A ty powiedziałeś, że nie masz mi nic innego do zaproponowania.

– Ale zmieniłem zdanie.

– Ja też.

– Nic nie rozumiem – mruknął, stukając palcem w stół.

– To pomyśl. Jeśli ta kometa jest moja, to znajdę kogoś, kto za nią zapłaci. Może nawet tyle, że zostanę niezależną kobietą i kupię sobie własny dom. I zostanę twoją kochanką, ale nie utrzymanką.

– Miałem już i kochanki, i utrzymanki. Swoje i innych mężczyzn. Więc uprzejmie dziękuję, to mi wystarczy.

Alex westchnęła.

– Nie mogę za ciebie wyjść. Jestem córką Amerykanina, który zarabiał na życie handlem. Moja matka była Metyską, z nieprawego łoża. Jestem katoliczką. Nie mam żadnych pieniędzy ani koneksji. Na litość boską, ty przecież masz zostać księciem. A ja jestem guwernantką.

W jego oczach błysnęła irytacja.

– Tyle czasu namawiałaś mnie, żebym zaczął ulegać uczuciom, a teraz odrzucasz moje oświadczyny? Przez całe długie lato tłumaczyłaś Rosamund i Daisy, że kobieta może wszystko. Teraz chcesz im powiedzieć, że ty nie możesz zostać księżną? Czy oszukiwałaś nas przez cały ten czas, czy teraz oszukujesz samą siebie?

– Nie wiem. – Poczuła bolesną kulę w gardle.

Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń w swoją, delikatnie gładząc palce kciukiem.

– Przepraszam. Nie musimy dziś podejmować żadnych decyzji. Po prostu chcę być z tobą.

– Ja też chcę być z tobą.

Ucałował jej dłoń.

– To pobądźmy ze sobą w domu. Stęskniłem się za naszym materacem.

Zachwyciło ją, że powiedział „nasz materac”.

Nim też była zachwycona.

Może… może tym razem jej nadzieje nie rozwieją się w pył. Może marzenia jednak się spełniają. Przecież tym razem nie wypowiadała życzenia, wpatrując się w jakąś tam spadającą gwiazdę. Miała całą kometę na własność.

Powrót dyliżansem do Mayfair zajął im czas do południa. Alex postanowiła nic więcej nie robić tego dnia, poza kąpielą i miłą, długą drzemką, najlepiej w ramionach Chase’a, gdyby się udało.

Niestety, gdy dotarli do Reynaud House, musieli zrezygnować ze wszystkich planów. Pani Greeley wybiegła na podjazd, jeszcze zanim powóz zatrzymał się na dobre.

– Och, panie Reynaud. Dzięki Bogu, że pan wrócił.

– Co się stało, na litość boską?

– Rosamund i Daisy zniknęły, proszę pana. Uciekły z domu!

32

*U*ciekły z domu? – powtórzyła Alex, mając nadzieję, że źle usłyszała słowa gospodyni.

Pani Greeley zalała się łzami.

Chase nie czekał na potwierdzenie. Wbiegł do domu. Alex ruszyła za nim.

Razem popędzili po schodach do pokoju dziecinnego, a potem do otwartego okna. Z parapetu zwisała powiązana w supły lina, sięgająca poziomu ulicy.

Och, nie. Boże…

Alex podbiegła do skrzyni i gorączkowo zaczęła przerzucać jej zawartość. Jej obawy spełniły się.

– Nie ma.

– Czego nie ma?

– Zawiniątka Rosamund. Natrafiłam na nie kiedyś przypadkiem, parę tygodni temu. Trzymała w nim pieniądze. Wszystkie te pensy i szylingi. Uzbierała się z nich spora suma. Miała tam też inne rzeczy. Mapy i rozkład jazdy dyliżansów.

– I ty nic z tym nie zrobiłaś? Chryste panie, Alex.

Spuściła głowę pod jego spojrzeniem.

– Nie chciałam, żeby się zorientowała, że to znalazłam.

– Powinnaś mi o tym powiedzieć. Powinnaś im to zabrać.

– Zrobiłaby nowe. Ucieczce można było zapobiec tylko w jeden sposób: sprawić, by Rosamund poczuła, że tu jest jej dom. Ostatnio bardzo się uspokoiła. Nie mam pojęcia, dlaczego zmieniła zdanie.

Chase pokręcił głową.

– Listy. Na pewno te listy.

– Jakie listy?

– Ze wszystkich najlepszych szkół z internatami w całej Anglii. Wszystkie je przyjęły. Wczoraj w nocy zostawiłem je na biurku.

– Och, nie…

– Pewnie zeszła na dół, żeby zwędzić szylinga albo dwa. I na nie natrafiła.

Przeczesał dłonią włosy.

– Dokąd one mogły pojechać?

– Nie wiem. Może do jakiegoś portu.

– Do portu?

Zamknęła oczy, bo zrobiło jej się niedobrze.

– Bardzo możliwe, że chcą się przebrać za chłopców i zaciągnąć na statek do pracy.

Chase zaklął w sposób godny najbardziej zatwardziałego pirata.

Alex przeklęła samą siebie. Powinna się wcześniej domyślić, że Rosamund nie bez powodu zgodziła się na zabawę w piratów. To dlatego tak uważała. Nie tylko nauczyła się tego, co powinien umieć chłopiec okrętowy, ale dowiedziała się też, gdzie i jak znaleźć pracę. Przez cały czas Alex starała się, żeby dziewczynki czuły, że mają dom. W rzeczywistości udzielała Rosamund lekcji, jak uciec – tak szybko i inteligentnie, żeby nikt ich nie złapał.

Chase wyszedł z pokoju równie zdecydowanie jak wszedł. Zbiegł po schodach. Alex znowu ruszyła jego śladem.

– Tak mi przykro – powiedziała słabym głosem. – To moja wina. To wszystko moja wina.

Nawet nie zwolnił, żeby przyjąć na siebie część winy.

– Zaraz każę zaprzęgać świeże konie. Zacznę od stacji dyliżansów w oberżach na południu, popytam, czy jakieś dziewczynki podobne do naszych nie kupowały biletów, a jeśli tak, to dokąd. Jeżeli to nie przyniesie efektów… Miejmy nadzieję, że jednak się uda.

– Pojadę z tobą.

– Nie. Tylko byś mnie spowalniała. Poza tym jedno z nas powinno zostać w domu, na wypadek gdyby wróciły.

– Ale ja…

– Zostań. – Podszedł i ujął jej twarz w dłonie. – Znajdę je, żeby nie wiem gdzie się podziały, i sprowadzę do domu.

Kiedy Chase wreszcie wrócił, zapadała już noc. Nie marnował słów na wymianę grzeczności.

– Powiedz mi, że są już w domu.

Alex gorąco, rozpaczliwie, każdym włóknem swego ciała żałowała, że nie może tego powiedzieć.

Zamiast tego musiała pokręcić głową.

– Posłałam wiadomość do Penny i Nicoli. Nie widziały ich, ale oczywiście przyślą wiadomość, gdy tylko się czegoś dowiedzą. Napisałam też do twojego brata. Ruszył na poszukiwania.

– Ale nie ma jeszcze żadnych wiadomości?

– Nie.

Nigdy w życiu nie widziała go tak bladego i załamanego. Dowlókł się do krzesła, upadł na nie i ukrył twarz w dłoniach.

– Och, Chase. – Uklękła obok niego i objęła go za ramiona. – Znajdziemy je. Na pewno.

– Zaraz jadę znowu. – Oparł dłonie na fotelu i podciągnął się do góry. – Nie mogę tak siedzieć.

– Jesteś wykończony. Teraz ja pojadę.

– Mówiłem ci już.

Położyła dłoń na jego piersi i stanowczo pchnęła go do tyłu.

– Naprawdę powinnam pojechać. Mam największe szanse, żeby je odnaleźć. Praktycznie naszkicowałam im plan ucieczki.

Alex była gotowa wynająć statek i ruszyć na morze śladem dziewczynek, gdyby to było konieczne. Myśl o oceanicznym rejsie wciąż ją przerażała, ale to było nic w porównaniu z lękiem, jaki przepełniał ją na myśl, że dziewczynki mogą zaginąć bez śladu. Chase'a też by wtedy straciła.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Wybiegli do hallu.

Kiedy…

W szeroko otwartych drzwiach stała ona – uparta, jak muł, dziesięcioletnia złodziejka, czyli odpowiedź na ich modlitwy.

– Rosamund. – Chase chwycił ją w ramiona i przyciągnął do piersi. – Dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

Alex rozejrzała się po chodniku i schodach.

– Daisy. Gdzie jest Daisy?

– W dorożce. Ranna.

– Petersfield. – Chase wychylił łyk brandy. Bursztynowy płyn spłynął w dół zdartego, znużonego gardła. – Dotarły aż do Petersfield. Czyli prawie do Portsmouth.

Alex skinęła głową, pociągając nosem.

– Wiem.

Przez czas, jaki upłynął od chwili, gdy Rosamund stanęła w drzwiach, zajęli się trzema rzeczami.

Po pierwsze, wezwali lekarzy.

Po drugie, wyciągnęli z dziewczynek szczegóły ich wyprawy.

Po trzecie i ostatnie, siedzieli w kącie pokoju i patrzyli, jak spokojnie śpią.

– Petersfield – powtórzył tępo.

Jak się okazało, genialny plan Rosamund przewidywał podróż do Portsmouth dyliżansem. To zaledwie dziewięciogodzinna podróż, wyjaśniła. Po przyjeździe, dokładnie tak jak przewidziała Alex, dziewczynki planowały obciąć sobie włosy, włożyć płócienne spodnie i poszukać pracy jako chłopcy okrętowi.

Plan powiódłby się bez zarzutu, gdyby nie jedna rzecz. Daisy spadła ze sznurowej drabiny i przygniotła sobie rękę. Rosamund przez większość podróży nie zwracała uwagi na jej narzekania. W końcu Daisy była mistrzynią w wynajdywaniu różnych chorób. Ale kiedy ręka zaczęła sinieć i puchnąć, zrozumiała, że muszą iść do lekarza. Wysiadły z dyliżansu w Petersfield i złapały inny, jadący z powrotem na północ.

– Przyznaj sam, że świetnie sobie z tym poradziły. Rosamund zrozumiała, że powinny wrócić do domu, i bezpiecznie dotarła do nas razem z Daisy. To dowód wielkiej odwagi i przedsię…

– Przestań – uciął. – Przestań szukać dobrych stron tej sytuacji. Gdyby Daisy nie upadła, byłyby już na morzu, o dzień żeglugi od Anglii. A gdyby upadek był silniejszy, albo z większej wysokości, to Daisy…

Zadygotał, odpychając od siebie koszmarny obraz kałuży krwi Daisy na bruku.

– Żeby wrócić, musiały się wykazać rozsądkiem, odwagą i wydać pieniądze – odparła. – Mogły pojechać w dowolne miejsce w tym kraju. Ale przyjechały do nas. Do domu.

Chase zacisnął zęby. Jak ona śmie? Jak śmie wychwalać ich niesłychane osiągnięcie? Jak śmie tworzyć umoralniającą opowiastkę z tego, że Daisy o mało nie umarła? I to tylko po to, żeby go znowu nabrać.

Tym razem to ona powinna stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością.

Chase ją do tego zmusi.

Wstał i gestem polecił jej, by poszła za nim. Po chwili znaleźli się w jej sypialni.

– Oto co zamierzam zrobić. – Zerwał ze ściany jedno z ogłoszeń o domku do wynajęcia. – Kupię ci ten domek albo jakiś podobny. – Przyjrzał się ogłoszeniu. – Szczerze mówiąc, kupię ci coś o wiele lepszego. Żeby było tam dość miejsca dla ciebie i dla dziewczynek.

– Dla mnie i dla dziewczynek?

– Tak jest. Przedłużam twoją umowę o pracę w charakterze ich guwernantki. Na czas nieokreślony.

– Jako guwernantki? Nic nie rozumiem.

– Słusznie. Jak mogłem tak pomyśleć? Nie będziesz już ich guwernantką. Zatrudnię inną, żeby z wami mieszkała i uczyła dziewczynki. Ty, naturalnie, będziesz astronomem. – Podszedł do ściany, by obejrzeć inne ogłoszenia. Żaden z domów mu się nie spodobał. – Będzie ci potrzebny większy teren. Z jakimiś pagórkami. Barrow znajdzie coś odpowiedniego. – Wyszedł z jej pokoju i zaczął schodzić na dół.

Usłyszał za sobą jej drobne kroki.

– Chase, przestań. Zachowujesz się kompletnie bez sensu.

Tym razem Alex się myliła. Właśnie zaczął wracać mu rozsądek. Od samego początku miał rację, ale to zlekceważył, jak ostatni głupek.

– O ile dobrze rozumiem, chcesz wysłać mnie z dziewczynkami i jakąś nową guwernantką na wieś.

– Do dużego domu. Na wzgórzu.

– A gdzie jest twoje miejsce w tych planach, jeśli wolno zapytać?

Zacisnął szczęki.

– Bardzo daleko od was.

– Och, nie. – Przyłożyła dłoń do skroni. – Wczoraj byłeś gotów spędzić ze mną życie. Z nami wszystkimi, we czwórkę, jako rodzina. I nagle odwołujesz cały ten plan na życie, bo wydarzyło się coś nieprzewidzianego? I w związku z tym wszyscy mają być nieszczęśliwi?

– Może i będziemy nieszczęśliwi, ale przynajmniej zostaniemy przy życiu. To nie był drobiazg, Alex. Daisy wypadła z okna. Mogła umrzeć na

tej ulicy. A mnie znowu przy tym nie było. Bo zabawiałem się w gospodzie z jakąś kobietą.

Poderwała podbródek.

– Z jakąś kobietą?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Owszem, wiem. – Wzięła go za rękę i odpowiedziała spokojnym, rozsądnym głosem: – Doskonale wiem, o co ci chodzi i doskonale rozumiem, dlaczego cię to przeraziło. Ale to nie jest to samo. Daisy dojdzie do siebie.

– Ma złamaną rękę! – zirytował się.

– Ma złamaną rękę. Ale dojdzie do siebie.

Potrząsnął głową i wszedł do gabinetu. Wyciągnął z kieszeni kamizelki kluczyk i otworzył kasetkę na pieniądze. Odliczył banknoty.

– Pięć za każdy tydzień. I dwieście na koniec pracy. – Uporządkował stosik funtów. – Proszę bardzo. Oto dwieście pięćdziesiąt funtów. Twój zarobek.

– Chase, nie rób im tego. I nie rób tego mnie.

Rzucił z brzękiem klucz.

– Muszę to zrobić. Jedynym moim błędem było to, że na chwilę uwierzyłem, że mogę postąpić inaczej.

Alexandra uważała się za rozsądną osobę. Praktyczną. I bezpośrednią. Chase też chciał w to wierzyć. Niemal uwierzył, że przejrzała go na wylot. Że naprawdę go przejrzała, dostrzegła, kim był i kim nie był. Że jej lśniące oczy jak w lustrze pokazały mu, kim mógłby się stać.

Ale to było złudzenie. Ten dzień był na to wystarczającym dowodem.

Zamierzała się oszukiwać, że on jest lepszy niż w rzeczywistości, i chciała mu to wmówić. Żadne argumenty ani dowody nie przekonają jej, że jest inaczej. Nie zechce tego zrozumieć. W takim razie pozostał tylko jeden sposób, by ją przekonać.

Musiał ją zranić. I to głęboko.

Nawet jeśli w ten sposób śmiertelnie zraniłby samego siebie.

– Nigdy nie powinienem proponować tego ślubu. To był błąd.

– Dlaczego to robisz? – spytała łamiącym się głosem. – Przecież połączyła nas tamta noc. Wiem, że mnie kochasz. Może na razie za bardzo się boisz, żeby się do tego przyznać, ale to jest prawda i nic jej nie zmieni.

– Nawet gdybym cię kochał, nie miałoby to żadnego znaczenia. Jestem opiekunem Rosamund i Daisy. Wkrótce zostanę księciem Belvoir. Muszę godnie pełnić obowiązki. A na razie ledwie ślizgam się po obrzeżach socjety. Pomyśl tylko: jeśli ożenię się z osobą tak niskiego rodu, dziewczynki stracą szansę, by dobrze wyjść za mąż.

– Niskiego rodu? Opowiadasz bzdury, Chase. Dobrze wiem, że akurat ty nie wierzysz w takie rzeczy.

– Ale wszyscy inni wierzą. Sir Winston Harvey i jego podobni postarają się, żeby nikt nie zapomniał o tym, że niegdyś byłaś tylko guwernantką.

– Nie jestem tylko guwernantką. Ani niczym innym.

Podsunął jej banknoty.

– Od tej chwili nie jesteś już nawet guwernantką.

W kąciku jej oka zabłysła łza. Przez chwilę chwiała się na rzęsach. Alex nie zlitowała się nad nim i nie otarła jej. Pozwoliła, by opadła na policzek. Patrzył, jak spływa coraz niżej po jej twarzy.

Najchętniej wyrwałby sobie serce z piersi i rzucił je do kominka. Za to wszystko, co mu zrobiło. Wreszcie by się go pozbył.

Nawet nie spojrzała na stos banknotów.

– Ani przez chwilę nie wierzę, że to, co powiedziałeś, było serio. Za dobrze cię znam. Jesteś dobrym, kochającym człowiekiem. Tylko że takie słowa można zignorować, a one mimo to ranią.

– Weź te pieniądze, Alexandro. I teleskop. Nie będzie mi potrzebny.

– Nie chcę twoich pieniędzy. Serca nie da się sprzedać, wiesz?

– Szczerze mówiąc, uważam, że wyszłaś z tego obronną ręką.

Pokręciła głową.

– Jutro albo pojutrze, a może za tydzień, oprzytomniejesz i zrozumiesz, jakim byłeś idiotą. Potem będziesz chciał się ze mną pogodzić. Więc teraz mówię ci z góry: już jest za późno. To był ostatni raz, kiedy pozwoliłam sobie mieć na coś nadzieję, Chase. Ostatni raz, kiedy odważyłam się marzyć o naszej wspólnej przyszłości. Tylko po to, by zobaczyć, jak moje marzenia rozpadają się w gruzy.

Spojrzał jej prosto w oczy i skinął głową.

– No i dobrze.

33

Nie minęła godzina, a Chase już zrozumiał, że okazał się kompletnym idiotą. Przecież za żadne skarby nie pozbyłby się tych dziewczynek ze swego życia.

Kiedy trzeba było nastawić rękę Daisy, musiał przycisnął ją do łóżka swoim ciałem, żeby lekarz mógł to zrobić. Krzyczała z bólu i wyrywała się z całej siły. Najchętniej sam złamałby sobie rękę i obie nogi, gdyby przez to mógł przyjąć na siebie jej ból. To była najstraszniejsza rzecz, jaką zrobił kiedykolwiek w życiu, ale za nic nie pozwoliłby, żeby ktoś go przy tym zastąpił.

Kiedy było już po wszystkim, Daisy zasnęła, wyczerpana szarpaniną. Chase był równie wykończony jak ona. Odprowadził lekarza do drzwi, zadając mu tyle pytań, że doktor w końcu spojrzał na niego z miną, która wyraźnie mówiła: czy ty, człowieku nie masz o niczym pojęcia?

Nie miał. Naprawdę nic nie wiedział o byciu opiekunem. Ale postanowił wszystkiego się nauczyć.

Co trzeba zrobić później? Czy dać im kolację, czy wykąpać, czy poczytać? Czy może odprawić jakiś inny, pełen miłości rytuał, którego on sam nie zaznał w dzieciństwie, więc nie miał o nim pojęcia? Wino raczej nie wchodziło w grę. W każdym razie nie teraz.

Z jadalni dochodziło ciche łkanie. Schylił się i zajrzał pod stół.

– Rosamund?

Odwróciła się od niego i wytarła nos rękawem, żeby nie widział łez.

Chase wszedł pod stół na czworakach, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

Tylko spokojnie, powtarzał sobie w duchu. Żebyś jej nie przestraszył.

Musiał jej dodać pewności siebie, choć nigdy w życiu nie czuł się bardziej niepewnie.

– Daisy czuje się dobrze. Nic jej nie jest – powiedział.

– Strasznie krzyczała. Słyszałam.

– Lekarz musiał nastawić jej rękę. Ale już po wszystkim. Wsadził jej ramię w łubki i zabandażował. Teraz trzeba tylko poczekać, aż się zrośnie. Za parę miesięcy będzie jak nowa. – Położył jej dłoń na ramieniu. – To nie twoja wina. Słyszysz? To był wypadek. Nikt nie będzie cię winił.

– Chyba nie myślisz, że w to uwierzę. Oczywiście, że to moja wina. Kazałam jej zejść z okna po drabinie. Więc spadła przeze mnie.

– No dobrze. Może trochę w tym twojej winy. Ale mojej też. Powinienem dać wam poczucie bezpieczeństwa, żebyście zostały. – Usadowił się wygodniej w ciasnej przestrzeni. Podciągnął kolana pod brodę. – Opowiem ci pewną historię.

– Jedną z tych umoralniających powiastek? Dziękuję, ale nie.

– To smutna historia. Bez szczęśliwego zakończenia.

W prostych, jasnych słowach opowiedział jej o śmierci Anthony’ego, naturalnie bez skandalicznych szczegółów. Ale nie zmieniło to sensu całej historii.

– Obiecałem, że będę się nim opiekował – zakończył. – Ale nie było mnie przy nim, kiedy mnie naprawdę potrzebował.

Nie odpowiedziała, a on nie chciał jej do tego przymuszać. Miała przecież tylko dziesięć lat, i to on miał ją pocieszać, a nie odwrotnie.

– Kiedy wraz z Daisy dostałyście się pod moją opiekę – dodał – obawiałem się, że nie będę dla was dobrym opiekunem. Zawiodłem już kiedyś mojego kuzyna. Co by się stało, gdybym was również zawiódł? Dlatego postanowiłem przy pierwszej okazji wysłać was do szkoły. Powiedziałem sobie, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Usiadła wygodniej w swojej ciasnej kryjówce.

– Jesteś pewny, że nie miałeś wtedy racji?

– Często nie mam racji, więc to całkiem możliwe. – Zrobił głęboki wydech, aż do końca. – Szczerze mówiąc, Rosamund, byłem przerażony. Nie tylko dlatego, że kiedyś zawiodłem Anthony'ego. Strasznie mi go brakuje. Więc już nie chciałem stracić żadnej bliskiej osoby. Nie chciałem, żeby mi zaczęło na was zależeć.

Pociągnęła noskiem.

– Ja też nie chciałam, żeby mi zaczęło na tobie zależeć.

– Pomimo tego, że tak bardzo się starałem tego uniknąć, szybko pokochałem i ciebie, i Daisy. Bardzo, bardzo pokochałem. Kiedy uciekłyście, myślałem, że zwariuję. Ciągle sobie wyobrażałem, jaki pusty będzie bez was ten dom. Jakie puste będzie moje życie.

– A ja myślałam o tym, jakie puste będą nasze żołądki, i że powinnam zabrać więcej kanapek. – Oparła podbródek na kolanie. – I o tym, że w ogóle nie powinnyśmy odjeżdżać.

Uśmiechnął się lekko.

– Ale z nas para. I co my teraz ze sobą zrobimy?

Wzruszyła ramionami.

– Posłuchaj, co myślę. Przeszłości nie da się zmienić. Jeśli pozwolimy, żeby nasze błędy nas trzymały, na zawsze zostaniemy w jednym miejscu. I to wcale nie będzie dobre miejsce. Uwierz mi, przesiedziałem w nim wiele długich lat, więc wiem. Jedyna możliwość, to pójść do przodu. Uczyć się na błędach. Może ja nie jestem idealnym opiekunem. A wy nie jesteście idealnymi podopiecznymi. Ale jeśli będziemy się kochać i starać się, żeby wszystko było jak najlepiej, to może nam się uda. – Zamilkł, a po chwili dodał: – Pamiętaj, wszyscy powinniśmy zacząć się lepiej zachowywać, przynajmniej publicznie. Jestem gotów spróbować, jeśli i wy spróbujecie. Co ty na to?

Milczała. Czuł, że toczy wewnętrzną walkę. Nie chciała się przyznać, że go potrzebuje. Że w ogóle kogoś potrzebuje.

– Mrugnij raz na „tak” a dwa razy na „nie”.

Zamiast tego przytuliła się do jego ramienia.

– Rozumiem, że to znaczy „tak”. – Objął ją i pocałował w czubek głowy. – Czyli mam twoje słowo. Mam nadzieję, że to rozumiesz, bo już go nie cofniesz.

Uniosła głowę.

– Gdzie pojechała panna Mountbatten? Zabrała swoje rzeczy. Czy wyrzuciłeś ją z pracy z powodu naszej ucieczki?

– Zatrudniłem ją, żeby uczyła was przez lato, i lato dobiegło końca. To wszystko. Ale możecie chodzić w czwartki na herbatkę do lady Penny. Zaprosiła was. Będziecie tam widywać Alex.

Rosamund spojrzała na niego z powątpiewaniem. Równie dobrze mogłaby przesłuchiwać go przez długie godziny. Ta dziewczyna złamałaby najtwardszego szpiega.

– Dobrze, już dobrze. To nie wszystko. Rozstaliśmy się.

– Nie możesz jej przeprosić?

– Obawiam się, że nie tym razem. W każdym razie jeszcze nie.

Pewnie by mu od razu powiedziała, że jest już za późno. Albo za wcześnie. Jeżeli chciał odzyskać zaufanie Alex – i jej miłość – mógł zrobić tylko jedno. Udowodnić, że na nie zasługuje. Nie tylko wobec Alex, ale przede wszystkim wobec samego siebie.

– To znaczy, że zrobiłeś coś okropnego.

Skinął głową.

– Można to tak podsumować.

– Czyli, innymi słowy… jedyna możliwość to pójść do przodu i uczyć się na błędach? – spytała bezczelnie.

– Oj, bo pożałuję, że podjąłem się opieki nad wami.

Obniżyła głos, imitując jego baryton:

– Mam twoje słowo. Rozumiem, że już go nie cofniesz.

Westchnął w desperacji.

– Zamierzasz mnie pokonać moimi własnymi słowami?

– Można to tak podsumować.

– W takim razie obiecuję, że wyrosnę na idealną młodą damę.

– Cudownie. – Wygramoliła się spod stołu. – W takim razie mam parę niedokończonych serwetek, które możesz od razu zacząć wyszywać.

Nawet herbatniki Nicoli nie potrafiły ukoić złamanego serca.

Właśnie dlatego Alexandra siedziała w pokoju śniadaniowym w Ashbury House, przed talerzem, na którym pysznił się cały torcik toffi, a obok niego czekał jedyny widelec.

Smętnie dłubała widelcem w torciku i od czasu do czasu oblizywała polewę. Emma spacerowała za jej plecami, gruchając do rozkapryszonego niemowlęcia, które trzymała w ramionach. Bryczes, czyli koci demon, miał akurat dobry dzień. Mrucząc, otarł się o jej nogę.

– Ukochana przyjaciółka, niemowlę, kot i torcik. Czego można w życiu chcieć więcej? – spytała. – Po co komu mężczyźni?

– Zdaje się, że niedługo sprowadzi się tu kolejny. Ktoś w końcu wynajął ten dom na rogu.

– Obok Penny?

– Tak jest. – Emma wstała i podeszła do okna. – Robotnicy kręcą się tam przez cały tydzień. Służba przyniosła plotki, że to jakiś szlachcic, ale nic więcej o nim nie wiadomo. Założę się, że biedak nie ma pojęcia, w co się wpakował. Miejmy nadzieję, że nie będą mu przeszkadzać ani kozy w sąsiednim ogrodzie, ani wydry w beczce na deszczówkę.

– No cóż, w tej chwili interesuje mnie tylko jeden mężczyzna, a konkretnie młody markiz Richmond. – Alex wzięła od Emmy płaczące dziecko. – Teraz moja kolej. A ty zajmij się torcikiem.

– Chciałam cię o coś poprosić – powiedziała Emma. – Bylibyśmy z Ashem szczęśliwi, gdybyś zechciała zostać matką chrzestną Richmonda.

Alex oniemiała.

– Naprawdę?

Emma skinęła głową.

– Strasznie bym chciała, ale zostałam ochrzczona jako katoliczka, a ostatnio w ogóle nie chodzę do kościoła.

– Ojcem chrzestnym będzie Khan, a on jest muzułmaninem. Zważywszy, że mój ojciec jest pastorem i strasznym hipokrytą, a Ash to po prostu Ash, nie będziemy zbytnio przestrzegać ceremoniałów.

– Ale czy proboszcz się zgodzi?

– Zarabia na życie w dobrach Ashburych. Jakoś go przekonamy.

– W takim razie będę zaszczycona.

Przytrzymała dziecko jedną ręką, a drugą radośnie przytuliła Emmę. Tylko że po chwili jej uścisk z radosnego stał się rozpaczliwy. W końcu popłynęły długo wstrzymywane łzy.

– Tak mi przykro. – Pociągnęła nosem, przerywając uścisk. – I tak masz już jedną płaczliwą duszyczkę do uspokajania. Nie zamierzam się przyłączać.

– Nie opowiadaj głupot. Płacz, ile zechcesz. – Emma wzięła od niej dziecko, usiadła na fotelu i rozpięła poranną suknię od góry. – Przykro mi tylko, że twojego płaczu nie ukoi ani karmienie, ani zmiana pieluszki.

– Tak mi głupio. Pozwoliłam sobie uwierzyć, że mnie kocha i że już zawsze będziemy razem. A następnego dnia wszystko się rozleciało.

– Może jeszcze da się poskładać. Przecież wiesz, że on cię kocha.

– Nie w tym problem. On po prostu kompletnie sobie nie radzi z przyjmowaniem miłości.

Patrzyła, jak Emma karmi niemowlę i miała wrażenie że maleńka piąstka ściska jej własne serce. Nigdy nie marzyła o małżeństwie ani o dzieciach. Ale teraz ogarnęła ją tęsknota. Pełne nadziei marzenia o własnym dziecku

wydrążyły sobie miejsce w jej sercu i zadomowiły się w nim na dobre. Teraz wprawdzie zniknęły, ale pozostało po nich puste miejsce i ból. Tuż obok dwóch innych pustych miejsc po Daisy i Rosamund, oraz sporej jaskini, którą sama wykuła dla Chase'a.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

– Khan otworzy – powiedziała Emma i dodała cicho: – Może to on.

– To nie on – odparła Alex.

Naturalnie, w jej głowie ścierały się sprzeczne myśli. A jeśli to on? To całkiem możliwe. Tylko co wtedy? Czy ja mam ochotę się z nim widzieć? Może przyszedł błagać, żebym wróciła. Może ma w kieszeni pierścionek z diamentem, uklęknie przede mną i poprosi mnie o rękę.

A potem posadzi mnie na swego jednorożca i razem pomkniemy w zachód słońca. Oprzytomniej, Alex.

W drzwiach stanął Khan.

– Wasza Wysokość, przyszła jakaś kobieta, która zbiera datki na fundusz dobroczynny.

Alex wzięła widelec i wbiła go w ciasto.

Intuicja znów ją oszukała. Nie mogła ufać nawet sobie samej, kiedy chodziło o Chase'a. Powinna pokonać cierpienie i wyjść z tego wszystkiego mocniejsza. W przeciwnym razie tęsknota skruszy jej serce, kawałek po kawałku.

Aż nic z niego nie zostanie.

34

Trzy tygodnie później

Z lewej musi być wyżej – powiedziała Daisy.

Chase odłożył młotek i odsunął się. Do diabła, miała rację. Półka dalej wisiała krzywo.

Wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył szufladę, gdzie trzymał narzędzia – a przynajmniej te, które wolał trzymać z dala od Rosamund. Zamiast miarki jego palce natrafiły na coś, co cicho zaszeleściło. To była niewielka, zapakowana w elegancki papier paczuszka, przewiązana lawendową wstążką.

Kompletnie o niej zapomniał.

Co za ironia, pomyślał i zaśmiał się gorzko. To miał być prezent niespodzianka dla Alexandry. Okazało się jednak, że to prezent dla niego. Sam go sobie zrobił, kilka tygodni wcześniej, i to kompletnie nieświadomie.

Miał pretekst, by się z nią zobaczyć.

Nareszcie.

– Ile mam jeszcze czekać? – spytała Rosamund z wierzchołka drabiny, na którym przytrzymywała drugi koniec półki. – Ręce mi się zmęczyły.

– Ciesz się, że się nie złamały – dokuczyła jej Daisy. – Podnieś jeszcze trochę, bo twoja strona opada.

Ta mała zdecydowanie za bardzo wczuwała się w rolę szefowej.

– Możesz puścić tę półkę – powiedział Chase. – Wychodzę.

– Dokąd? – spytała Rosamund.

– Rozmówić się z panną Mountbatten.

– Nareszcie!

– Możemy pójść z tobą? – poprosiła Daisy.

– Nie tym razem, kochanie.

Chase musiał pójść sam, i to od razu, bo inaczej znalazłby jakąś wymówkę i zrezygnował. Ten prezent nie był wiele wart. Alex zasługiwała na dużo więcej. Ale chciał go jej dać, nawet jeśli go nie przyjmie.

Ale jeśli szczęście mu dopisze, jeśli przeprosi ją uniżenie, to może przyjmie i prezent, i jego? Pewnie nie było na to szans, ale postanowił mimo wszystko spróbować.

Wybiegł do hallu, prosto na Barrowa, który właśnie zakładał kapelusz.

– Musimy przełożyć spotkanie w banku. Idę szukać Alexandry.

Barrow odwiesił kapelusz na wieszak.

– Nareszcie.

– Nie chce mnie widzieć na oczy. – Chase pośpiesznie wkładał płaszcz. – Jak ją przekonać, żeby mnie wysłuchała? Co mam powiedzieć?

– To ty masz dar wymowy. Nie jestem pewien, co chcesz ode mnie usłyszeć.

– Masz rację. Nie wiem, po co szukam rady u mężczyzny, który oświadczył się swojej żonie w pasmanterii.

– Ale w odróżnieniu od ciebie, zostałem przyjęty.

– To było podłe, Barrow.

– Ale prawdziwe.

Chase szarpnięciem wyprostował klapy płaszcza. Nadszedł czas, by wykorzystać wszelkie umiejętności perswazji, na jakie mógł się zdobyć.

– Chryste panie, to bez sensu. Beznadziejnie ją potraktowałem. Nie masz pojęcia jak podle.

Jego brat tylko wzruszył ramionami.

– Czyli popełniłeś błąd.

– Myślisz, że tylko jeden?

– No dobrze, kilka błędów.

– Kilkadziesiąt.

– Nieważne, ile – zirytował się Barrow. – Ale jeżeli ją kochasz…

– Dlaczego mówisz „jeżeli?” Ty spostrzegłeś to prędzej ode mnie.

– Jeżeli ją kochasz – powtórzył Barrow, z trudem zachowując cierpliwość – to są szanse, że ci wybaczy. Ja na przykład codziennie toleruję twoje niezliczone wady.

– Ty ich nie tolerujesz, tylko je lubisz. Dają ci poczucie wyższości. Jesteś przecież przywiązany do tych swoich nieskazitelnych zasad.

– Przede wszystkim jestem przywiązany do ciebie, ty debilu. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, moim bratem, moją rodziną. Nikt, kto cię naprawdę kocha, nie będzie oczekiwał perfekcji. Gdybyś jakimś cudem ją osiągnął, to byśmy cię nie poznali.

Chase już miał zaprotestować, ale uświadomił sobie, że wcale nie chce.

– Musisz jej obiecać tylko jedną rzecz: siebie. To wystarczy. – Barrow położył mu rękę na ramieniu. – Ty jej wystarczysz.

Przez całe dorosłe życie Chase miał reputację mistrza gładkich, spontanicznych, intymnych gestów. Ale zdaje się, że stracił ten talent z braku praktyki. Objął brata najbardziej niezgrabnym, żenującym uściskiem w swoim życiu.

Barrow uwolnił się i litościwie pacnął go w ramię.

– Zmykaj, bo muszę spisać ślubną intercyzę.

– A moje zrzeczenie się tytułu? Nie zapominaj o nim.

– Chase, przestań grać na czas. Idź już.

Jeden jedyny raz w życiu Chase usłuchał go bez słowa.

Najpierw zastukał do drzwi lady Penelope Campion, ale gospodyni powiedziała mu, że Penny jest u panny Teague. Więc i on tam poszedł.

Drzwi panny Teague były otwarte na oścież, żeby ze środka wywiało chmurę dymu. Dom pachniał zwęgloną czekoladą i cynamonem.

– Chase! – Penny powitała go machnięciem ręki. – Akurat zdążyłeś na herbatę. Siadaj i zjedz herbatnika.

– Nie dam mu ani jednego – warknęła wściekle Nicola i jednym ruchem sprzątnęła talerz ze stołu. – Po tym, co zrobił Alex? Nawet przypalonych nie dostanie.

– Ale teraz jest mu przykro. Widać, że przyszedł z przeprosinami. Biedak jest taki nieszczęśliwy.

Chase nie był pewny, jak się z tym czuje.

– Dziękuję, ale nie mam czasu ani na herbatę, ani na ciastka. Mam coś dla Alex. Pewnie chciałaby to jak najszybciej dostać.

– To proszę to u mnie zostawić – odparła Nicola. – Przekażemy jej.

To był bardzo sensowny pomysł. Chase nie miał na podorędziu żadnej wymówki. Postanowił więc powiedzieć prawdę.

– Proszę was, ja koniecznie muszę się z nią zobaczyć. I porozmawiać.

– Widzisz, Nicola? – spytała Penny. – Jest załamany.

– Jestem załamany – zgodził się natychmiast. – Strasznie załamany. I do tego zawstydzony, pełen żalu, zrozpaczony, gotów pełzać na kolanach.

– Zapomniałeś dodać „zakochany” – uzupełniła Penny z uśmiechem.

Niech Bóg błogosławi lady Penelope Campion za jej niewyczerpany romantyzm. Na całym świecie nie było kobiety o większym sercu niż ona. Chase doskonale zdawał sobie z tego sprawę, bo zawsze trzymał się od takich kobiet najdalej jak potrafił. Takie otwarte, szczere serce jest delikatniejsze niż dojrzała brzoskwinia. Kiedyś będzie musiał ją ostrzec, że po świecie hulają dżentelmeni o szatańskich charakterach i nie należy im bezgranicznie ufać.

Ale nie dziś.

Nicola w końcu odpowiedziała na jego pytanie.

– Alexandry nie ma.

– Kiedy wróci?

– Nie wróci. W każdym razie nie szybko – odpowiedziała Nicola.

– Przeniosła się do… – Lady Penelope nie dokończyła zdania. W całym domu chyba ze sto zegarów zaczęło wybijać godzinę. Oczywiście, los chciał, że było to południe. Jakżeby inaczej. Wtedy biją najdłużej.

Przez tę minutę wypełnioną dzwonkami i kurantami, Chase wyobraził sobie ze sto najgorszych zakończeń tego zdania.

Przeniosła się na Filipiny, szukać rodziny swojej matki.

Przeniosła się na statek i żegluje po morzach.

Przeniosła się na swoją kometę i odleciała na odległą planetę, gdzie wszyscy ją doceniają.

Przeniosła się gdzieś, gdzie nie ma ciebie, ty żałosny łajdaku.

Przeniosła się na Maltę.

To nieważne, postanowił. Gdziekolwiek się przeniosła, on, Chase, pojedzie za nią. Odnajdzie ją, wyzna jej miłość i będzie błagał, żeby wróciła do domu. Nic go nie powstrzyma. Żadna podróż nie będzie zbyt daleka. Żadna przeszkoda zbyt trudna.

– Przeniosła się na stałe do Ashbury House – dokończyła Penny. – To po drugiej stronie placu. Jutro Ash z Emmą wyjeżdżają na wieś. Zabierają ze sobą Alexandrę.

Ashbury House. Cudownie.

Chyba wolałby pojechać na Maltę.

W Ashbury House przyjęto go zgodnie z oczekiwaniami. Szczerze mówiąc, spodziewał się, że będzie gorzej.

Książę złapał go za klapy i pchnął na ścianę.

– Słuchaj, Ashbury. Wiem, że ona jest na mnie wściekła i ma rację. Ale chcę to wszystko wyprostować. Daj…

– Ostrzegałem cię – odparł książę szatańskim szeptem. – Powiedziałem ci, co z tobą zrobię, jeśli ją zranisz.

– Tak, przypominam sobie – wykrztusił Chase. – Była mowa o moich jajach, szafie i jakimś piekielnym kocie.

– Och, to tylko na początek – warknął cicho książę. – Ty plugawa, ociekająca tłuszczem patelnio![5]

– Nie zamierzam tego dłużej znosić. – Chase wyrwał się z jego uchwytu. – Nie potrzebuję twojego pozwolenia, żeby porozmawiać z Alexandrą. Nie jesteś jej opiekunem.

– Jestem jej przyjacielem. A ty jesteś dla niej nikim.

To był bezlitosny cios. Owszem, Ashbury mógł mieć rację, ale Chase musi sprawdzić to sam. Walczyć aż do niesławnego końca.

– O tym zadecyduje sama Alex. – Chase wyminął go i podniósł głos: – Alexandr…. Ufff.

Ashbury złapał go od tyłu, przewrócił na dywan i zatkał mu usta dłonią.

– Zamknij się, ty padalcu – warknął półgłosem. – Ani słowa więcej. Bo jaja w strzępach będą najmniejszym z twoich problemów.

Wielki Boże. Czy może być coś gorszego niż jaja w strzępach? Jego klejnoty na samą myśl o tym schowały się do brzucha. Był tylko jeden rodzaj bólu, który wydał mu się gorszy od tego.

Ból po stracie miłości jego życia.

Zaparł się mocno w podłogę, wykonał dźwignię i przewrócił ich obu na plecy. Potem usiadł na piersi Ashbury’ego i spojrzał z góry na jego pobliźnioną twarz.

– Traktowałem cię łagodnie, ze względu na Alex, ale teraz jestem już zły. Może nie mam kota krwiopijcy, ale znam dziewczynkę, która potrafi sprawić, że niedrożność jelit będzie się wydawać zupełnie przypadkową przyczyną zgonu. Ja zaś ze swej strony mam ogromne doświadczenie w wygłaszaniu mów pogrzebowych.

– Jeśli choć jedno…

Chase pchnął Ashbury’ego w twarz. Przycisnął jego głowę do dywanu i oparł się na niej na moment, by zawołać:

– Alex! Muszę z tobą…

W tym momencie poczuł książęce zęby na nadgarstku.

– Jasny szlag.

Chase wyszarpnął dłoń, a Ashbury wykorzystał ten moment nierównowagi i odzyskał przewagę. Przeturlali się po dywanie co najmniej ze trzy razy, dopóki nie zderzyli się ze stołem.

Chase niestety wylądował na dole. Ashbury wbił mu kolano w brzuch.

– Na litość boską, człowieku – wykrztusił Chase. – Co jest z tobą nie tak? Oczywiście poza tym, co widać na pierwszy rzut oka.

– Ty tępogłowy głupcze[6]. – Ashbury przysunął pokrytą bliznami twarz o cal do nosa Chase'a. – Teraz. Jest. Czas. Drzemki.

– Co takiego? – zdumiał się Chase.

Książę ułożył się na boku i podparł łokciem, ciężko oddychając.

– Mój syn jest aktualnie na górze, zasnął po raz pierwszy od dziewiętnastu godzin. Nie wypatroszę cię w tym hallu tylko dlatego, ty glinianomózga kiszko[7], że pewnie byś go obudził jękami i błaganiem o łaskę.

– Och.

Gdzieś na górze ciszę przerwał płacz.

Ashbury zamknął oczy.

– Nienawidzę cię.

– Pozwól mi tylko porozmawiać z Alexandrą. – Chase wstał i obciągnął surdut.

– Nie ma jej tutaj.

– Ty draniu. Dlaczego mi od razu nie powiedziałeś? Oszczędziłbyś nam tej dziecinady.

Ashbury wstał z niejakim trudem.

– Chciałem się pogimnastykować.

Chase posłał mu mordercze spojrzenie.

– Gazety miały rację. Naprawdę jesteś potworem.

Ashbury wzruszył ramionami na znak, że się zgadza.

– Skoro Alexandry tu nie ma, to gdzie się podziewa?

– Poszła po zakupy. – U szczytu schodów stała jakaś kobieta, prawdopodobnie księżna Ashbury, i kołysała w ramionach niemowlę.

– Po co mu powiedziałaś? – naburmuszył się Ashbury. – On na to nie zasługuje.

Wzruszyła ramionami.

– Bo zjadł warzywną szynkę. I pastę z łososia. Powinien przynajmniej dostać szansę, żeby z nią porozmawiać. – Zwracając się do Chase'a, dodała: – Alex poszła kupić parę rzeczy przed wyjazdem.

– Jakich rzeczy?

– Nie znam szczegółów. – Księżna zawahała się na moment i dodała: – Ale wspominała coś o książkach.

Książki. Oczywiście. Sam powinien się tego domyślić.

– Wie pani, w której księgarni?

– Obawiam się, że nie – odpowiedziała, potrząsając głową.

No cóż. Nie po to szukał jej po całym Londynie, żeby teraz zrezygnować.

Po prostu będzie musiał zajrzeć do wszystkich po kolei.

35

Alex uświadomiła sobie, że popełniła błąd, wchodząc do tej księgarni.

Po długich tygodniach ronienia łez w torciki i ciastka, postanowiła dla odmiany iść po zakupy, żeby się trochę rozerwać. Perspektywa wyjazdu z Londynu dodała jej chęci do życia. Miała nadzieję, że pobyt poza miastem uleczy jej serce. Ale wystarczyło wejść tutaj, by rana otworzyła się na nowo.

Tym razem obeszła Hatcharda szerokim łukiem. To byłoby zbyt bolesne. Wybrała więc Świątynię Muz. Zawsze zachwycało ją to wnętrze, zaprojektowane jako rotunda, ze schodami prowadzącymi na balkon pod wewnętrzną kopułą. Półki były zapchane książkami na wysokość człowieka – i to człowieka o wiele wyższego od niej, więc nie wszystkich mogła dosięgnąć. Zawsze zaczynała od balkonu. Tu książki były lepsze od tych na dole. Po prostu lepsze i już. Szczerze mówiąc, wszystko, co znalazło się na tym balkonie, od razu nabierało blasku.

Z wyjątkiem jej dzisiejszego nastroju. Nawet balkon go nie poprawił.

Cały czas ma wrażenie, że napotyka wzrok Chase'a, a jego uroczy, zawadiacki uśmiech wprawia w drżenie jej serce, i dłonie też. Dosłownie widziała go przed sobą. Czuła jego zapach.

Wręcz wyobrażała sobie, że słyszy jego głos.

– Alexandro! Alexandro Mountbatten!

Otworzyła oczy i spojrzała w dół.

Chase.

Rzeczywiście tam był. Wykrzykiwał jej imię na cały głos, zakłócając ciszę tego miejsca, i biegał między półkami jak wariat.

Przez chwilę chciała się schować, ale coś jej na to nie pozwoliło. Stała jak przyrośnięta do miejsca.

W końcu ją zauważył.

– Alex. Dzięki Bogu. – Pochylił się, opierając dłonie o kolana. – Daj mi sekundę na odpoczynek. Ledwo zipię. Obleciałem cały Londyn.

– Po co? Żeby się ze mną zderzyć i znów wytrącić mi z ręki książki? – Oparła się o balustradę i pozwoliła, by niewielki tomik wysunął jej się z rąk. Trafił Chase’a w ramię. – Ojej – zadrwiła.

Nie przejął się tym, oczywiście.

– Nie ruszaj się stamtąd. Idę do ciebie.

– Nie. Jesteś ostatnią osobą, którą mam ochotę oglądać.

– Ty też jesteś ostatnią osobą, którą mam ochotę oglądać.

Machnęła ręką z irytacją.

– Dlaczego w takim razie…

– Jesteś ostatnią osobą, którą pragnę oglądać przed zaśnięciem. Każdej nocy. Ostatnią osobą, którą mam ochotę całować przez resztę życia. A twoja śliczna twarz jest ostatnią rzeczą, którą chcę zobaczyć przed śmiercią. Kocham cię, Alexandro.

Zapiekły ją kąciki oczu.

– Jak to się dzieje, że zawsze potrafisz powiedzieć coś tak pięknego? To pewnie kwestia praktyki.

– Całkiem możliwe. Ale nawet jeśli dużo ćwiczyłem, to tylko dlatego, żebym właśnie teraz umiał zdobyć twoje serce. – Spojrzał na nią. – Powiedz mi, że jestem na dobrej drodze.

Owszem, wyglądało na to, że mu się uda i to było najstraszniejsze.

– Proszę cię, nie każ mi przez to przechodzić jeszcze raz. Zawsze, kiedy jesteś blisko, budzą się we mnie te głupie nadzieje. Wiem, że są bez sensu, ale nie potrafię nic na to poradzić. A potem znowu cierpię.

– Dobrze, nie ruszę się z miejsca. To powinna być bezpieczna odległość.

Alexandra wcale nie była tego pewna. Zasięg jego urody był większy niż okrętowego działa.

– Miałaś absolutną rację – powiedział. – Pożałowałem wszystkiego, co powiedziałem w niespełna godzinę po twoim odejściu. Chciałem pobiec za tobą od razu, ale wiedziałem że to nic mi nie da. Nie będziesz miała żadnego powodu, by mi zaufać. Szczerze mówiąc, sam sobie nie ufałem. Ale teraz mogę ci z tego miejsca uczciwie powiedzieć, że się zmieniłem.

Nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć.

– Powinnaś to zobaczyć na własne oczy. Daisy pożera książki tak szybko, że nie nadążam kupować jej nowych. Zacząłem uczyć Rosamund geometrii. Barrow pomógł mi znaleźć dla nich nauczyciela. W dalszym ciągu uważam, że szkoła może się kiedyś okazać dla nich najlepsza, ale miałaś rację. Jeszcze na to nie czas.

Duma i miłość w jego głosie wzruszyły ją do głębi. Kompletnie oszołomiona, odwróciła się od balustrady. W kilka sekund wbiegł po schodach i stanął przy niej.

Powstrzymała go wyciągniętą dłonią. Bała się zapytać o jedną rzecz, ale musiała wiedzieć.

– A co z Jaskinią Cielesnych Rozkoszy?

– Ach, to. Niestety, Jama Libertyna już nie istnieje.

– Oddałeś ją z powrotem pani Greeley?

– Skądże znowu. Dziewczynki pomogły mi w przebudowie. Teraz jest Pałacem Piratów. Z wyjątkiem momentów, kiedy zmienia się w gabinet lekarski.

Zaśmiała się, wyobrażając to sobie.

– Strasznie za tobą tęsknią. A ja jeszcze bardziej.

Oczy ją zapiekły. Zaczęła mrugać. Tak gorąco chciała uwierzyć w jego słowa, ale jej serce wciąż ściskała nieufność.

– Dobrze, zróbmy to po twojemu. – Podszedł do niej i zdjął z najbliższej półki kilka książek. – Ułożymy je na dwóch stosach. To będą argumenty za i przeciw małżeństwu ze mną. Zaczniemy od przeciwnych, bo te łatwo będzie wymienić: Okropna reputacja. Lata rozpusty. Nie umie się zachować w muzeach. – Układał na podłodze książkę za książką, podając coraz bardziej absurdalne powody. Tyle ich było, że musiał opróżnić kolejną półkę.

– Równie dobrze mógłbym policzyć, ile razy cię zawiodłem, i dołożyć tyleż książek. – Westchnął ciężko i kolejnych sześć albo więcej tomów powędrowało na stos. – Proszę bardzo. Chcesz dodać coś jeszcze?

Po dłuższym namyśle dołożyła jeszcze jedną książkę.

– To za poroże.

Skinął głową.

– Wiedziałem, że coś przegapiłem. A teraz argumenty „za”.

Alex już zaczęła wymieniać je w myślach. Zawadiackie poczucie humoru. Opiekuńczy, troskliwy charakter. Interesuje się tym, czym ja się interesuję i robi to dla mnie. Pewnie sam doda do tej listy „fantastyczny w łóżku”.

Ale Chase, zamiast zacząć układać na podłodze drugi stos, sięgnął do kieszeni i wydobył z niej niewielką paczuszkę. Podał ją Alex.

– Kocham cię. Do tego to się sprowadza. Czy to ci wystarczy?

Wzięła pakiet, rozwiązała lawendową wstążkę i zdjęła opakowanie. Wewnątrz znalazła niewielką książkę oprawną w błękitną cielęcą skórkę. Obróciła ją w dłoniach, żeby przeczytać tytuł wytłoczony złotymi literami na grzbiecie.

Katalog gromad gwiazd i mgławic Messiera

Spojrzała na Chase’a, kompletnie oszołomiona. Przecież kiedyś bez przerwy snuła te szalone fantazje. Ciągle marzyła o tym, że on chodzi z tą książką w kieszeni na sercu i rozgląda się za nią po ulicach. Że pragnie ją

odnaleźć, wyznać jej miłość i błagać, żeby została panią Donżuanową z Księgarni.

– Nosiłeś ją ze sobą przez cały czas? – zapytała.

– Oczywiście, że nie.

– Och.

– Po co miałbym to robić?

– No… nie wiem.

– Tamtą zaniosłem z powrotem do Hatcharda, jeszcze jesienią, na wypadek gdybyś jej szukała. Poza tym, nie miałem pojęcia, co z nią zrobić. Ten egzemplarz zamówiłem jakiś miesiąc temu i miałem ci go wtedy sprezentować. Tylko że wtedy ty odkryłaś kometę, ja zrobiłem z siebie kompletnego durnia i zapomniałem o wszystkim. Aż do dzisiaj.

No cóż, to brzmiało o wiele mniej romantycznie, ale jej serce i tak rozśpiewało się na cały głos. To wszystko brzmiało teraz bardzo realistycznie i było absolutnie w stylu Chase’a.

Przesunęła dłonią po okładce. Podniosła książkę do nosa, żeby poczuć zapach świeżego druku.

– Jest piękna.

– Ty jesteś piękna. – Wyciągnął rękę i nieśmiało pogładził ją po policzku. – Chciałbym ci obiecać, że już nigdy więcej w życiu cię nie zranię. Ale jestem kompletnym nowicjuszem w sprawach związków i miłości. Na pewno coś czasem spieprzę. Jedno, co mogę obiecać, to że nigdy nie zrezygnuję. Ani z ciebie, ani z siebie. Nauczyłaś mnie tego.

– Nie chce mi się wierzyć, że mnie posłuchałeś.

Z krzywym, czarującym uśmiechem przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona. Rzucił jej ciepłe spojrzenie zielonych oczu – naprawdę na nią spojrzał. Mało kto się na to odważa, bo takie spojrzenie sprawia, że ludzie otwierają się na innych.

Tym razem nie poczuła się jak jedyna kobieta we wszechświecie. Ani nawet jedyna na całym świecie, ani choćby w tej księgarni.

Poczuła się jak kobieta, którą trzymał w ramionach, i to jej wystarczyło.

– Alexandro. Moja przyjaciółko, moja kochanko, moja miłości. Wracaj do domu.

Epilog

*O*ch, Alex. – Penny uniosła głowę znad teleskopu. – Jest taka piękna.

Alexandra wybuchnęła śmiechem.

– Przecież to tylko mała smuga na niebie.

– Ale jest twoja – wtrącił się Chase.

– Nasza – poprawiła go Alex.

Jej przyjaciele tak bardzo się starali, żeby zachwycać się jasnym punkcikiem na niebie, który nosił jej imię. Mało ją obchodziło, czy rozumieją jego znaczenie. Ważne, że byli razem z nią.

Przyszli wszyscy. Skromny astronomiczny piknik przy Bloom Square zmienił się w prawdziwe garden party. A raczej w rodzinne przyjęcie, co było jeszcze milsze.

Nigdy nie marzyła, że będzie miała tyle bliskich osób na świecie. Nie tylko Chase'a, Rosamund i Daisy, ale także Johna, Elinor i małego Charlesa. Była też matką chrzestną Richmonda, więc Emma i Ash także stali się jej rodziną. Nicola i Penny też nie zdołałyby się jej pozbyć, choćby nie wiem jak się starały.

Na przyjęciu była też obecna koza Marigold, która odwdzięczyła się za zaproszenie, „przypadkowo" pochłaniając cały kosz kanapek zrobionych przez Penny. I połowę samego kosza do tego.

– Nawet jeśli to jest tylko smuga na niebie, przynajmniej ma wspaniałą nazwę – stwierdziła Nicola. – Choć muszę przyznać, że nie najłatwiej się to

wymawia. – Kometa Mountbatten-Reynauda to prawdziwy łamaniec językowy.

– Prawdziwy łamaniec językowy – powtórzył Chase w zamyśleniu. – Ludzie zawsze wypowiadają ten zwrot, jakby to było coś złego. A co może być złego w językowych łamańcach? Ja tam je lubię.

– Ja też nie mam nic przeciwko językowym łamańcom – zgodził się z nim Ash. – Emma tak samo. Prawda, kochanie?

Alexandra i Emma popatrzyły na siebie. Cieszyły się, że ich mężów powoli zaczynała łączyć szorstka męska przyjaźń. Tyle że żaden z nich nie był łatwym człowiekiem nawet na osobności, a razem stawali się po prostu nieznośni.

– Ta nazwa to wina mojego męża. – Alex uparła się, że kometa powinna zostać nazwana od nazwisk ich obojga. W końcu Chase był razem z nią tamtej nocy i pojechał z nią, by zgłosić odkrycie. – Ja chciałam ją nazwać po prostu kometą Reynauda, bo przecież teraz też noszę to nazwisko.

– Owszem, ale kiedy ją odkryłaś, miałaś inne – odparł Chase. – Rozmawialiśmy już na ten temat. Możesz się podzielić ze mną zasługami, skoro nalegasz, ale nie będziesz ukrywać swoich osiągnięć pod moim nazwiskiem.

Kompletnie nie docierała do niego ironia tej sytuacji: żona, która ma podkreślać swoją niezależność, bo mąż jej to nakazuje. Alex zostawiła to bez komentarza. Za kilka miesięcy odbędzie się ważniejsza rozmowa na temat nadawania imion, i postanowiła zachować siły i argumenty na tamtą okazję.

Położyła dłoń na brzuchu i maleńkiej smużce, która się tam rozwijała. Jeszcze nie podzieliła się z nikim swoimi podejrzeniami. Chciała powiedzieć o tym Chase’owi dopiero, gdy będzie miała pewność. Nie chciała rozbudzać jego – i swoich – nadziei tylko po to, by zastąpiło je rozczarowanie.

Teraz zaczęła się nad tym zastanawiać na nowo. Wszelkie nadzieje i rozczarowania w tej mierze były również sprawą Chase’a.

Może powie mu jeszcze tej nocy.

Emma podała niemowlę Ashowi.

– Chcę jeszcze raz popatrzeć przez teleskop. Nie każdego dnia człowiek ma okazję obserwować kometę swojej przyjaciółki.

– To prawda – przytaknęła Alex. – Przyjrzyj się dobrze, póki możesz. Według wyliczeń pani Somerville moja kometa pojawi się następny raz za sto czterdzieści siedem lat.

– W takim razie musisz zostawić bardzo szczegółowe wskazówki dla swoich praprawnuków – stwierdził Ash.

– Najpierw muszą dochować się dzieci – roześmiała się Emma.

– Bardzo dobra uwaga. Zaraz się tym zajmiemy. – Chase złożył dłonie. – W związku z tym pozwólcie, że się z wami pożegnam. Dobranoc wszystkim.

Jej mąż był naprawdę okropny.

Chyba jednak nic mu nie powie tej nocy.

Podziękowania

Dla Brena, Tessy, Elle, Steve'a, Ruth, Kelly, Rose, Pana Dare i Dzieciaków:

Bez Was – wszystkich razem i każdego z osobna – nie miałabym szans skończyć tej książki. Dziękuję z całego niewyspanego, przesiąkniętego kofeiną, nieskończenie wdzięcznego Wam serca.

Przypisy

[1] *Chase* (ang.) pogoń (przyp. tłum.).

[2] Tu: czerwone wino z Bordeaux (przyp. tłum.).

[3] Dzwony, odmierzające czas na okręcie (przyp. tłum.).

[4] Majorat to sposób dziedziczenia przez najstarszego syna lub krewnego – jeśli brak potomków w prostej linii męskiej (przyp. tłum.).

[5] Ash jak zwykle używa szekspirowskich obelg. Tym razem z dramatu *Henryk I* (przyp. tłum.).

[6] Tamże (przyp. tłum.).

[7] Tamże (przyp. tłum.).